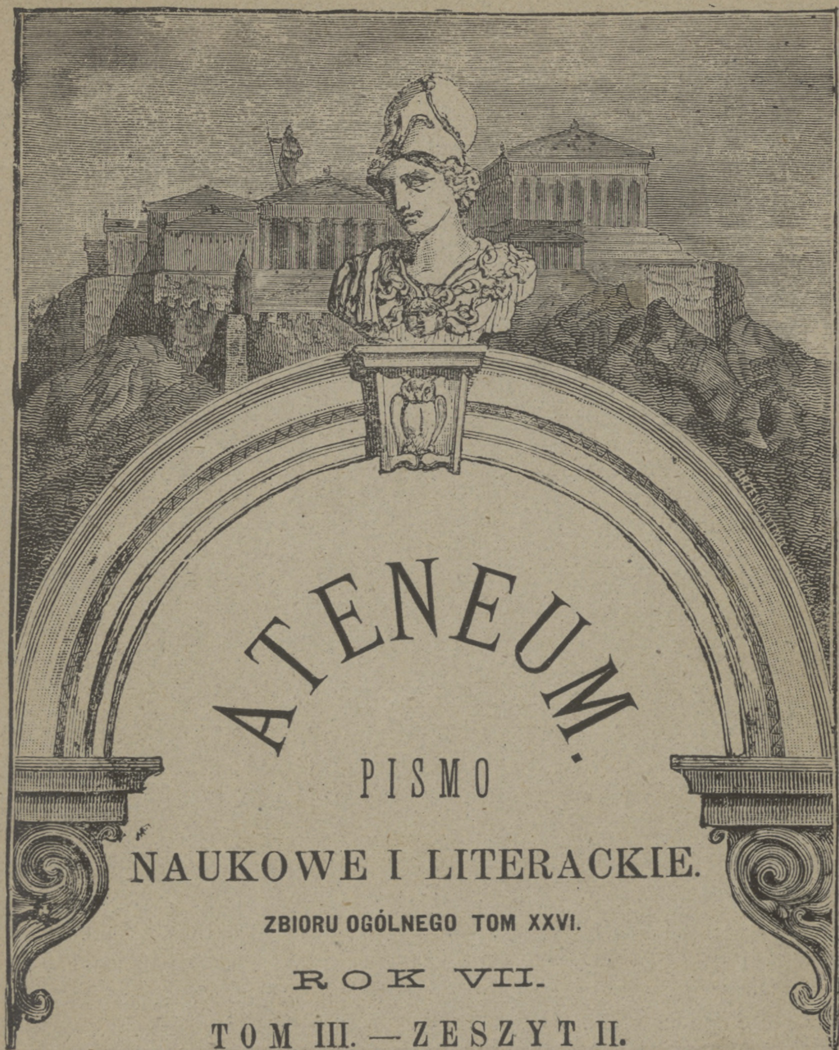


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVI.

ROK VII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Lipca 1882 r.

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

I.

Gorący dzień lipcowy kończył się, słońce zniżało powoli i już nie tyle żaru miały promienie jego, które ukośnie wpadały do saloniku Milewa, małéj wioseczki podolskiéj. Salonik ten, niezbyt wielki, miał ściany białe, zasiane złotemi gwiazdami, w których odbijało się słońce. Meble, karmazynowym atłasem kryte, nie jeden rok już widziały—świetny niegdyś kolor wyblakł na słońcu, a miejscami mole wyjadły szramy szerokie. Jednak umiejętna ręka pocerowała kosztowną materyę pohaftowała delikatne pokrowce z muślinu białego, zakryła niemi kolor wybladły i naprawki rozliczne, nadając salonikowi świeżość i elegancyę; wyglądal on niby bonbonierka, niby poduszeczka do szpilek na toalecie elegantki. Wszystko tam było wypieszczone po kobiecemu, a razem obrachowane na efekt, począwszy od kwiatów i roślin na oknach, co rozrosły się potężnie i szerokiemi, silnemi liśćmi śmiały się do słońca pijącego z nich wody krople, aż do najmniejszego graciku i cacka, których ilość ogromna ze szkła, bronzu i porcelany, gromadziła się wszędzie, gdzie tylko można coś było postawić.

Ostatnie promienie słońca świeciły na złotych gwiazdach obicia, ślizgały się po kryształowych wisiorkach świecznika, zwieszonego od sufitu, odbijały w dwóch dużych lustrach, naprzeciw siebie umieszczonych, a napełniały jaskrawem światłem ten efektowny salonik, w którym nawet dywany na posadzce miały tak świetnie ubarwione kwiaty, że i na nie spojrzéć było potrzeba.

W saloniku znajdowało się na tę chwilę cztéry osoby, państwo domu, Czarnowscy, i sąsiedzi, dwaj panowie Porajscy, stryj Karol i synowiec Bogdan.

Nie można było określić wieku gospodyni, pani Emilii. Jéj szczupła i zgrabna kibić, jéj bardzo piękne ręce, wysuwające się z szerokich rękawów jasnéj lekkiéj sukni, zdawały się zapowiadać młodą zupełnie kobietę. Ale podnosząc oczy na twarz jéj, doznawało się zawodu—włosy niegdyś kruczéj czarności, dziś do połowy białemi się stały, a niezliczona sieć zmarszczek pobruździla twarz całą, pocięła czoło, otoczyła usta i oczy i zsunęła się aż na szyję. Usta jednak zostały świeże jak dwa listki róży, a w miłym niezmiernie uśmiechu ukazywały dwa rzędy zębów nieposzlakowanéj formy, ale mocno przyżółconych bezustanném użyciem papiérosów. Para dużych oczu, ciemno-szarych w czarnéj oprawie, mocno podkrążonych, oświecała tę twarz zagadkową, co ślady burz tylu nosiła na sobie. Trzéj mężczyzni stanowili z sobą sprzeczność zupełną. Karol Porajski musiał być kiedyś pięknym bardzo, dziś twarz jego przykre sprawiała wrażenie. Żółtawa bladość twarzy, od któréj odbijały silnie jego krucze włosy, brwi i wąsy, nadawała mu charakter ponury, a szeroka łysina oryginalnie wyglądała, gdyż ani jeden włos biały nie mięszał się do czarnych. Usta miał wązkie, delikatnie wykrajane, ale bezkrwiste zupełnie, a uśmiech, który się po nich przewijał czasami, podobny był do skrzywienia. Oczy zapewne dawniéj były piękne, ale dziś, krwawe żyłki przerzynały białka, a źrenica błyszcząca, ukośne jakieś rzucała spojrzenia. Całą postać jego cechowała nieporównana dystynkcya; ubrany był wytwornie, z tą elegancyą ludzi wyższego towarzystwa, która czuwa nad każdym szczegółem, a nigdy nie bywa nadto wyszukaną. Twarz to była oryginalna, rozumna, a raczéj niepospolicie sprytna, ale przeżyta, zmęczona, zatarta i powleczona mgłą rozpaczliwego znudzenia.

Synowiec, Bogdan, był do niego podobnym, o ile podobnym być może młody człowiek w całéj pełni sił nie stéranych jeszcze, porywów niezawiedzionych dotąd, pragnień nie zaspakajanych i niezmarnowanego ducha, do człowieka który czarę życia wyczerpał aż od dna, aż do ostatniéj kropli mętów, co na spodzie osiadły. Rysy twarzy były te same, ta sama prawie postawa, tylko u Karola było więcéj wytworności, u Bogdana męzkości i siły; a jednak, o ileż oni różni byli od siebie—Karol był mumią, Bogdan wcieleniem młodości i życia.

Pan Czarnowski przedstawiał typ różny od tych dwóch ludzi. Był on pięknym mężczyzną. szeroko rozrosłym, z dużemi rękami i nogami. Na jego grubych białych palcach błyszczało kilka pierścionków, ciężki złoty łańcuch odznaczał się na białéj kamizelce.

Miał ciemne oczy z długą rzęsą, włosy jasne, piękną bursztynowego koloru jedwabistą brodę, usta czerwone, mocno wydatne, a zęby zdrowe i białe. Wyglądał na lat trzydzieści parę.

— Tak więc—mówił Karol—siostra pani zamiast przyjechać wczoraj, jak miała zamiar, będzie tu dopiero pojutrze...

— W saméj rzeczy—odparła pani Emilia—jeśli znowu co nie przeszkodzi.

Karol się skrzywił niemiłosiernie, co miało oznaczać uśmiech uprzejmy.

— Pani Sawińska powinna wziąść w rachubę niecierpliwość swoich dawnych znajomych—rzekł.

— Och!—odparła z uśmiechem pani Emilia—ci znajomi są już tak dawni, że mieli czas zapomnieć o niéj. Dwanaście lat!... wiele to rzeczy zapomni się przez ten długi przeciąg czasu...

— Nie wszystko się zapomina... czy wie pani o tém?

Pani Emilia wpatrzyła się w niego przenikliwie.

— A cóż się da zapamiętać tak długo? spytała, nie spuszczając oczu.

Karol przetrzymał jéj spojrzenie, uśmiechnął się dziwnie i rzekł spokojnie, z odcieniem szyderstwa w głosie:

— Pani łaskawa, dla ludzi, co dużo widzieli, najsilniejszém uczuciem jest ciekawość. Jestem pani Toli niezmiernie ciekawy.

— Pan ją zna przecież dobrze?—wtrącił Czarnowski.

— Znałem wybornie dwanaście lat temu, gdy była szesnasoletnią dziewczynką. Obiecywała wtedy bardzo wiele...

— Dotrzymała słowa... dorzuciła półgłosem pani Emilia.

— Bo też i życie dało jéj tyle... — rzekł Karol patrząc jéj w oczy—przecież była szczęśliwą...

Szare oczy pani domu miały dziwny wyraz jakiś.

— Nie—odparła jakby w zamyśleniu – nie była szczęśliwą i życie nie dało jéj tego, do czego prawo miała. Nie rozpoczynała zresztą życia pod dobrą wróżbą: wyszła za mąż bez przywiązania; dzieckiem była, gdy ją za Sawińskiego wydano, i poszła za wyraźnym rozkazem rodziców, którzy koniecznie tego małżeństwa pragnęli. Ona się w dziwny sposób opierała i został w jéj sercu jakiś żal dziwny, jakaś szczególna gorycz czy téż tęsknota—nigdy nie mogłam zrozumieć za czém...

Niedostrzegalny uśmiech przewinął się po ustach Porajskiego.

— Słyszałem, że pani Tola słynie z wesołości—rzekł.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Zdawało mi się, że pan—rzekła z naciskiem—musisz wiedzieć, że niektóre kobiéty są zawsze wesołe, a szczególniéj kiedy nie mają ochoty grać roli zapoznanych.

— Sądzę, że ta rola była niemożliwą?

— Sawiński był o dwadzieścia lat od niéj starszy, niemiły bardzo w obejściu i szalenie zazdrosny, a Tola się rwała do życia.

— Zazdrosny?—podchwycił Karol—czy miał prawo do tego?

Brwi gospodyni zsunęły się lekko.

— Nie można mieć bezkarnie lat siedmnastu, wyższego umysłu, niezwykłéj piękności, nieobrachowanéj żywości i starego męża,—rzekła dumnie trochę. Za Tolą szaleli ludzie i tracili głowy po ślubie więcéj niż przed, gdyż była na szerszym świecie...

Czarne źrenice Porajskiego strzeliły błyskawicą, jego ciężkie, zaczerwienione powieki się podniosły.

— A ona?—zapytał - czy ona kochała kogo?

Pani Emilia rozśmiała się z lekką ironią.

— Dziwne pytanie,—rzekła—ale jednak nie trudno mi odpowiedzieć. Nie—Tola nie kochała nigdy, żadnego z tych, co za nią szaleli...

— Nigdy? — podchwycił Bogdan z zajęciem—czy to być może, aby nie obudziło się w niéj serce? Czemu?

— Ja nie wiem—odparła Emilia.

— Czy może—ciągnął Bogdan—może ta tęsknota, o któréj pani mówi, to właśnie żal za tém uczuciem, którego nie doznała nigdy...

— Nie wiem—odparła krótko;—Tola nie lubi mówić o sobie, a ja nie badałam nigdy, aby nie nadać kształtów marzeniu, co racyi bytu nie miało...

Bogdan wpatrzył się w nią, jakby chciał a nie śmiał zapytać.

— I marzenie stanęło jéj na drodze do życia, do szczęścia może... rzekł z wyrzutem w głosie.

Niewidzialny uśmiech przemknął znowu po cienkich wargach Porajskiego—spojrzał na Bogdana i odwrócił się trochę. Zapanowało milczenie.

— I cóż pani Sawińska robić zamyśla—zapytał po chwili Porajski—podobno chce sprzedać majątek, który jéj mąż zostawił...

— Radziłem to—ozwał się Czarnowski—majątek rozległy, Tola nie może się sama nim zająć, spuszczać się musi na plenipotenta, a ten ją kradnie...

Porajski się znowu uśmiechnął.

— Podobno są jakieś ciężary—szepnął.

— Jakie ciężary!—przerwał szybko Czarnowski—żadnych niema ciężarów! zupełnie żadnych! majątek przepyszny! dochody świetne!

— Tak? a zatém, pani Sawińska pod każdym względem liczy się do świetnych partyj...

W głosie Porajskiego dźwięczało przyczajone szyderstwo, ale snać pani Emilia go nie dostrzegła, gdyż odrzekła zupełnie naturalnie:

— Spodziewam się! ale niechaj posagowicze nie ostrzą na nią ząbków—nic z tego! Tola bardzo niełatwo zdecyduje się pójść za mąż, i wątpię nawet, czy to kiedykolwiek nastąpi. Miała wiele bardzo świetnych partyj przez te półtora roku od śmierci męża—literalnie głowy tracą za nią w Odessie;—toteż trzeba tak silnie rozwiniętego rodzinnego uczucia jak u niéj, żeby porzucić to świetne życie i tutaj zakopać się na wsi...

— Chciałbym ją poznać—rzekł Bogdan w zamyśleniu—to musi być niezwyczajna kobiéta.

Pani Emilia uśmiechnęła się i z pod długiéj rzęsy rzuciła przenikliwe spojrzenie na Porajskiego. Ten miał głowę spuszczoną i wydawał się mocno zamyślonym.

Podano herbatę—Porajski był milczący, nic nie jadł, palił tylko cygara, popijając podany mu napój—herbatę. Bogdan za to był mocno ożywiony i z wielkiém zajęciem dopytywał się o coraz nowe szczegóły, tyczące się pani Toli. Przedmiot przypadał do gustu gospodyni, i odpowiadała chętnie na pytanie młodzieńca, nie szczędząc detali o świetném życiu, które w Odesie i na wsi prowadziła pani Sowińska, o jéj sukcesach rozlicznych, piękności, wdzięku i sprycie niezmiernym...

Zaledwo powstali od stołu, Karol kazał zaprzęgać, i w kwadrans obaj Porajscy wyjechali. Parę wiorst zaledwo dzieliło Milew od Zatorów, posiadłości Karola Porajskiego. Panowie odbyli tę podróż w zupełném milczeniu; gdy konie stanęły przed gankiem wyherbowany lokaj poskoczył i otworzył drzwiczki od powozu, potém poświecił panom do jadalnéj sali, gdzie czekał stół zastawiony.

— Rozgość się—rzekł Karol—zaraz ci służę, tylko się muszę rozebrać. Może życzysz sobie szlafroka? Bogdan wzruszył ramionami.

— Nie jestem niewieściuchem—odparł chłodno.

— Jak chcesz; baw-że się przez chwilę, zaraz wrócę.

Bogdan zaczął chodzić po pokoju, a podjąwszy szpicrutę z rękojeścią w złoto oprawną, uderzał nią po kanapach i fotelach, w miarę jak je mijał.

— Gdy skończysz swoją gimnastykę, może siądziemy do stołu— ozwał się po za nim ostry, szyderczy głos Porajskiego.

Bogdan zarumienił się mocno, rzucił szpicrutę i zasiadł naprzeciw stryja. Ten włożył był okazały szlafrok z pąsowéj materyi, białym atłasem podbity—wytworne obuwie zamienił na miękkie wygo-

dne meszty, a łysinę pokrył haftowaną złotem czapeczką. Jego piękne białe ręce wysuwały się z koronkowych mankietów, i wydawały woń delikatną rezedowéj pomady, któréj używał dla wydelikacenia skóry; włosy i wąsy, świeżo wypomadowane pachnącym olejkiem, lśniły jak heban. Bogdan spojrzał na niego przeciągle, i coś jak gniew i pogarda błysnęła mu w oczach czarnych—nic jednak nie powiedział...

Podano wieczerzę: smakowicie przyrządzone kotlety przypadły do gustu Porajskiemu, gdyż zjadł ich ogromną porcyę.

— Ależ, stryjaszku kochany... zauważył Bogdan.

Kochany stryjaszek się niemiłosiernie skrzywił.

— Mój drogi—przerwał niechętnie,—tyle razy ci już wspominałem, że ten honorowy tytuł od ciebie do mnie jest niewypowiedzianie komiczny, i upoważniłem cię do nazywania mnie po imieniu; zechciéj o tém pamiętać.

— A więc—ciągnął z lekkiem zniecierpliwieniem Bogdan—zajadasz, jakbyś się przez trzy dni wygłodził—cóż za fantazya napadła cię w Milewie, żeby nic do ust nie wziąść?

— I cóż cię w tém dziwi? Nie mam nigdy zwyczaju w podejrzanych domach jadać.

— Jakto podejrzanych? a cóż w Milewie jest podejrzanego?

— Wszystko: począwszy od jasnych muślinów pani Emilii i umeblowania salonu, od którego można dostać zapalenia oczu, a skończywszy na szkaradnéj herbacie i stęchłych ciastach, które tylko od gości podają. Co zaś do jedzenia, nie mam ochoty się rozchorować, połykając to co bezczelnie ludziom podają; widzę jak to przygotowuje gruba dziewka, która tylko co skończyła krowy doić. Nie mam ochoty zepsuć sobie apetytu.

Bogdan parsknął śmiechem.

— A! przyznam się, — zawołał—że to sybarytyzm, o którym mnieby się nigdy nie śniło!

— Żal mi cię, jeśliś nie uczuł nigdy przyjemności dobrego obiadu, podanego według przepisów i przyprawionego trochą głodu.

— Według mnie, wszystko smakuje, gdy jeść się zechce.

Porajski go zmierzył oczami z politowaniem.

— Ty nigdy nie potrafisz użyć życia—rzekł—oto cały szereg przyjemności, które cię omijają, bo nie jesteś w stanie ich pojąć. .

— Ja nie myślę, aby wyrafinowanie każdego zmysłu było używaniem życia—odparł Bogdan niecierpliwie. Jest to przygotowanie sobie ogromnéj ilości niemiłych wrażeń, których nie dozna zwykły śmiertelnik.

— Miałbyś słuszność, gdyby mój majątek nie wystarczał na życie, którego mi potrzeba. Ale ja się zabezpieczyłem zawczasu, i nim się do czego przyzwyczaiłem, obrachowałem dobrze czy ten nałóg będę mógł zaspokoić zawsze.

— A w razie gdybyś stracił majątek?

— To niemożebne. Przypuszczam klęskę—pożar, gradobicie, nieurodzaj: niechbym nie miał żadnego dochodu z majątków, pozostaną mi dochody z kapitałów.

— A jeśli i te zaginą?

— Nie wdaję się w żadne spekulacye; mam same procentowe papiery, w banku złożone, w domu trzymam tylko procent odbierany co kwartał, więc złodzieje mi nie grożą. Mogę być pozbawionym podróży za granicę, może mi zabraknąć pieniędzy na którą z moich fantazyi, na rasowego konia, albo na jedno z tych dzieł sztuki, które na wagę złota opłacam; ale na moje potrzeby codzienne—nigdy.

Bogdan patrzył na niego, wzruszając ramionami.

— Ależ,—zaczął po chwili,—kiedyś już tak ułożył sobie życie, zamknął drzwi przed wszelką troską, zabezpieczył się od niespodzianek—musisz się niemiłosiernie nudzić!

— Nudzić? żartujesz chyba! I któż ci powiedział, żem się wyrzekł niespodzianek? przeciwnie, szukam ich wszędzie, ale w świecie umysłowym. Widzisz, umiem się zawsze miarkować, i od każdéj przyjemności usuwam się nim dojdę do przesytu, tak że nigdy nie zajrzę na dno, do mętów, i wracam do niéj z zajęciem. Przytem, umysł mój jest rozwinięty, lubię piękno, a rozumna lub dowcipna rozmowa, dobrze napisana książka, obraz którego z mistrzów, piękne krajobrazy, muzyka—wszystko to są rzeczy, które umiem ocenić i które na wieczne czasy obronią mię od znudzenia.

— Pytam się często, czy ty jesteś rzeczywiście człowiekiem, a nie udoskonaloną maszyną!—zawołał z gniewem Bogdan.

— Zaręczam ci, że jestem człowiekiem z ciała i z kości, tylko cywilizowanym, wydelikaconym.

— Powiedz mi: czyś kiedy kochał cokolwiek?

— O! kochałem się przynajmniéj ze sto razy.

— A!... i jakże długo to trwało?

— To zależało od okoliczności: kochałem póki mię to bawiło, póki zajmowało, póki jeszcze było coś nieznanego. Zupełnie jakbym czytał zajmującą książkę, która mniéj lub więcéj sprawiała przyjemności, w miarę jak lepiéj lub gorzéj była napisaną, odwracałem kartkę po kartce, a gdy przeczytałem ostatnią, składałem książkę spokojnie, niekiedy z żalem że już ją skończyłem, ale nigdy z ochotą przeczytania jéj po raz drugi.

— Tak? — rzekł Bogdan przeciągle. — Ależ ty kochałeś siebie w drugich, i dopóty jedynie, póki cię to nie przestało bawić. Ty jesteś egoistą w całém znaczeniu tego wyrazu, do szpiku kości.

Porajski spojrzał z ukosa na synowca.

— Nie umiałem nigdy zrozumieć znaczenia słowa *poświęcenie*— rzekł po chwili. — Jestto płaszczyk, którym ludzie pokrywają chęć wyzyskania tych, których szumnie nazywają bliźnimi. Społeczeństwo dzieli się na dwie klasy, wyzyskujących i wyzyskiwanych, inaczéj mówiąc, rozumnych i ograniczonych; wolę należéć do pierwszych, co zdaje mi się zupełnie jest naturalném.

Bogdan się rzucił, chcąc odpowiedzieć, ale powstrzymał się i wzruszył ramionami.

— Nie mamy się co sprzeczać — rzekł po chwili — nie zda się to na nic, zmieńmy przedmiot rozmowy. Powiedz mi raczéj czemu, nazywając Milew domem podejrzanym, bywasz tam, a co więcéj, dzisiaj gwałtem niewal i mnie zaciągnąłeś, mnie, który bynajmniéj sympatyi do pani Emilii nie czuję.

Porajski zaczął się śmiać głośno.

— Mam ochotę być z tobą zupełnie szczerym— rzekł. — Byłem pewny, że pani Tola przyjechała, i od wczoraj ułożyłem sobie, że ją zobaczę, a chcąc mieć możność swobodnéj z nią rozmowy, wziąłem cię, abyś mi zajął gospodarzy.

— Mocno wdzięczny; ale cóż ciebie pani Tola obchodzi?

— Et! dawne dzieje — rzekł wymijająco Porajski — znałem ją przed ślubem, a ponieważ był to uroczy dyabełek, starałem się ją ukształcić.... rozbudzić świeże jeszcze serduszko; że zaś zachowałem nader miłe wspomnienie, ciekawy byłem dalszego ciągu znajomości.

— Czy tylko ciekawy?

Parajski odwrócił się żywo, nie odpowiadając na pytanie. Bogdan powiódł za nim okiem zdziwioném.

— Cóż to było między wami? — zapytał nalegająco — przecież mnie możesz wszystko powiedzieć.

Porajski powrócił do stołu i usiadł, zasłaniając twarz ręką, tak jednak, że przez palce mógł wyraźnie widzieć synowca, nie będąc przez niego widzianym.

— Ja sam niewiem co to było— rzekł. — Gdy z pensyi wróciła, szalenie mi się podobała; było to dziecko jeszcze, a już kobieta kapryśna, egoistka, a sprytna jak szatanek. Chciałem ją sobie pozyskać, byłem pewny że mi się to udało, aż raptem, pewnego pięknego poranku, przyznawszy mi się niemal poprzedniego wieczora, że mię nad życie kocha, oznajmiła mi, że jest zaręczoną z Sawińskim. Chciałem

się gniewać: rozśmiała mi się jak najśliczniéj w sam nos, odwróciła dumnie plecami, i tylem ją widział po dziś dzień.

— A! naturalnie, musisz być ciekawy pierwszego waszego spotkania.

— Porzuciłem książkę w nader zajmującém miejscu, nie już w pół tomu, ale stronnicy, kartki, wyrazu; teraz muszę ją dokończyć.

— I... jakże się to skończy?

— Ja niewiem, to zależy od niéj. — Gdyby... dawne wspomnienia żywo się odnowiły... to — kto wie?

— Jakto? — poświęciłbyś swobodę?

— Kto wie? gdyby nie było innego sposobu....

Bogdan żywo głowę podniósł.

— A gdyby—szepnął—gdyby... to co pani Emilia mówiła, o téj tęsknocie do ciebie się stosowało?

Ręka Porajskiego lepiéj zasłoniła twarz jego, a czarne źrenice rzuciły z pod téj zasłony badawcze spojrzenie na Bogdana.

— Czemu nie?— rzekł półgłosem — może to i obustronne.

— Jakto? czyżbyś i ty...

— Nigdy nie zapomniałem o niéj.

Bogdan przeszedł się po pokoju.

— Ciekawy jestem kobiéty, która mogła na tobie sprawić tego rodzaju wrażenie — ozwał się wreszcie.

Na twarzy Porajskiego ukazało się zadowolenie, po ustach przeleciał uśmiech pół szyderczy, pół pogardliwy. Bogdan nie widział tego, miał głowę spuszczoną.

— Ciekawy jéj jestem — powtórzył raz jeszcze półgłosem.

— Mogę ci zaręczyć, że nie jest to osobistość zwyczajna — rzekł sucho Porajski.

— Właśnie dlatego....

Porajski milczał i powstał wkrótce, dając tém synowcowi znak do odejścia. Gdy się drzwi za Bogdanem zamknęły, uśmiech nieopisanego szyderstwa przewinął się po jego cienkich, wązkich, bladych ustach.

— Złota rybka łatwo się chwyta na wędkę — szepnął.

II.

W Drewini, majętności hrabiego Sulimowskiego, na ogrodowym tarasie siedziało kilka osób. Sam hrabia, słuszny, szczupły, jasny blondyn, z długiemi angielskiemi faworytami, starannie ubrany, przechadzał się krokiem mierzonym. Żona jego, hrabina Natalia,

przerzucała jakąś świeżo wydaną książkę. O kilka kroków daléj młoda dwudziestoletnia dziewczyna, wpół leżąc na biegunowym fotelu, kołysała się zwolna, rozmawiając z naszym znajomym Bogdanem Porajskim.

Była to jedynaczka, córka domu, hrabianka Wanda, podobna do ojca kolorem włosów i rysami, ale różna zupełnie wyrazem. U hrabiego Alfreda oczy były za blade, brwi i rzęsy za jasne, czoło za niskie, usta za pełne; u hrabianki oczy ciemno-szafirowe ocienione były prawie czarną rzęsą, nad niemi sklepiły się regularne łuki brwi ciemnych bardzo, czoło, na które spadały włosy przycięte, nie mogło być wyższe bez zepsucia harmonii drobnéj twarzyczki, usta delikatnie wykrojone, blado-różowe zaledwie były. Na twarzy ojca jakaś pewność siebie uporna, co, znać, nigdy ustąpić nie chciała; oczy miały wyraz niepewny, okrągła broda znamionowała chwiejność i miękkość, a uśmiech tych ust mięsistych cechował najwyższe zadowolenie z siebie samego, widniejące z ruchu, którym rozczesywał jasne faworyty wypieszczoną ręką, ze spojrzeń, które z pod złotego pince-nez rzucał, słowem z postawy całéj. U córki przeciwnie znać było jakąś nieśmiałość, czy może usuwanie się dumne przed ludźmi: szafirowe oczy patrzały chłodno, poważnie, a czasami smutno bardzo; usta w chwili milczenia miały wyraz goryczy bolesnéj, co harmonizował z szeroką siną pod oczami pręgą, a po téj młodéj, drobnéj twarzy, przebiegał czasami wyraz ironii trochę smutnéj, a bardziéj jeszcze szyderczéj i pogardliwéj. Jéj rączki idealnie pięknych kształtów, bawiły się niedbale bukietem, który zda się im ciężył, bo wypadał z nich często, jakby siły brakło....

Bogdan z nią prowadził rozmowę, ale nie musiała go zadawalniać, gdyż głęboka brózda przerzynała jego brwi czarne, a ręka niecierpliwie szarpała łańcuszek od zegarka. Jasno-włosa dziewczyna patrzyła przed siebie przysłoniętemi oczami, jéj usta były zacięte, oczy chłodno błyszczące.

— I cóż ja na to poradzę—mówiła— nie umiem wierzyć na ślepo, słowa są niczém dla mnie. Nie wierzę, byście panowie umieli panować nad wrażeniami, i według mnie, byłoby szaleństwem liczyć na kruchą budowę na piasku wzniesioną zaręczeń waszych.....

Bogdan się rzucił.

— Ależ to oburzające — zawołał. — Więc każdy z nas ma być chorągiewką, którą wiatr wedle swego kaprysu wykręca? nic w nas być nie może stałego, nic na coby liczyć można?

— Może gdzieś tam na świecie szerokim znajdują się od téj reguły wyjątki, ale ja dotąd nie spotkałam ani jednego.

— Sądzę — rzekł Bogdan surowo trochę — że pani tak mało z nami miała do czynienia jak dotąd, iż nie służy jéj prawo rzucania klątwy na ród nasz cały. Przeczytanie kilku książek nie upoważnia do tego.

Po ustach Wandy przewinął się uśmiech smutny.

— Tak pan sądzisz?— spytała. — Ja znowu myślę, żem zdobyła to prawo doświadczeniem własném, a stwierdziła bólem. To nie frazes wyuczony z książki, to fakta, na które patrzę oczami własnemi....

— Alboż pani możesz znać życie? czyż pani miałaś czas żyć na własną rękę? a szczególniéj gdzież sposobność po temu.

Wanda rozśmiała się sucho, ostro.

— Co pan wiesz o mojém życiu?— spytała. — Nie znacie życia! oto frazes, którego z was każdy się uczy po wyjściu ze szkół i który się staje dopełnieniem waszego wychowania, waszym przewodnikiem w postępowaniu z nami. I dlatego taki antagonizm panuje między dwoma połowami rodu ludzkiego, które zamiast iść ręka w rękę, zużywają w walce między sobą siły, mogące być na co innego użyte....

— Ależ pani....

— Nie zaprzeczaj pan, tak zawsze się dzieje. Na każdą skargę kobiéty, na każde jéj słowo ostrzejsze, odpowiadacie, że ona życia nie zna.... A ja powiem, że się mylicie. Kobiéta pozna życie w swoim domu własnym, tam ona ludzi znać się nauczy....

— Nie będzie ich sprawiedliwie sądzić, jéj sąd nie miał czasu ani sposobności wypróbować się na szerszym świecie, będzie on odbiciem wpływów otaczających. I ludzi także znać się nie nauczy, bo stronnie na rzeczy patrzeć będzie zawsze.

— To dlatego, że starają się zabić tę myśl samodzielną i nałamać każdą do konwencyonalnego typu dobrze wychowanéj panny.

— A zatém, na moje wychodzi, że kobiéty życia nie znają i znać nie mogą, bo go nie widzą nigdy.

— Alboż pan myślisz, że każda da się oślepić? Nie, nie każda pozwoli się pozbawić samodzielności. A wierz mi pan, wiele się można nauczyć przy swojém ognisku rodzinném. Widzi się tam czasem codzienną walkę, taką drobną, upartą, a tak bardzo wyczerpującą siły; można tam poznać skarby uczucia, poświęcenia, albo znowu taką nieprzebraną moc egoizmu, próżności, lekkomyślności.... wierz mi pan, dom rodzinny, to dobra szkoła życia....

— Gdyby się na nią dobrze patrzeć umiało!

Wanda przesunęła ręką po czole.

— I cóż wiedziéć mogą o tém obcy ludzie? — spytała. — Na pozór wszystko gładkie, spokojne i ładne, a choć niejeden smutny, ciężki dramat rozgrywa się cicho między czterema ścianami, co nie

umieją go opowiedzieć, cóż to znaczy? Przecież ludzie nie wiedzą o niczém, a zatém nic nie istnieje.

I szafirowe oczy zimnym blaskiem strzeliły, między ciemnemi brwiami zarysowała się brózda głęboka, aż Bogdan zdziwiony poszedł za jéj spojrzeniem, szukając powodu zmiany téj twarzy młodéj. Zobaczył tylko hrabiego, co oparty łokciem o stół, rozmawiał z żoną, bawiąc się koronką jéj rękawa. Był to zwykły domowy obrazek, nic tu nie zdradzało dramatu....

— Widzi pani — rzekł po chwili — nieraz w pożyciu domowém strony się rozjątrzają wzajemnie i z tego powodu sądzą niesprawiedliwie, najczęściéj wina jest obustronną.

Wanda obrywała w milczeniu listki z bukietu.

— Nie — ciągnął Bogdan — pani niema prawa potępiać nas tak stanowczo. Niedobrze się wychodzi na takim braku wiary...

— Jak pan to rozumie?

— Gdy ludziom nie wierzymy, powoli ostyga w nas wiara w samo dobro, tém samém zacierają się lepsze strony naszego charakteru. Wierząc ludziom, mimowoli stajemy się lepszemi, żeby im dorównać....

— To znowu frazes, którego nam się każecie uczyć na pamięć, aby stał się naszém hasłem w życiu. Wygodne to dla was, gdy mamy zawiązkę na oczach. Ale ja widocznie nie jestem dosyć kobiétą,— podobno tak nazywacie brak łatwowierności—i nie wierzę wam; nie wierzę, boście niestali jak zwierciadło, które odbije przedmiot każdy.... póki jest przy niem.

— Więc my się tylko wrażeniami rządzić mamy?

— Jedynie,... a że one się szybko zmieniają, przeto liczyć na nie byłoby mocno niebezpieczném....

— Nie zaprzeczy pani, sądzę, że są uczucia lata trwające?

— Są wrażenia silniejsze i słabsze.... Czasem coś tak podziała na charakter i usposobienie, przekonanie i upodobanie, że zawładnie całą istotą. Zda się to już pewném, stałém, aż pewnego pięknego poranku, po długim, długim przeciągu czasu, przyjdzie jakieś wrażenie silniejsze i z tego co się zdawało tak trwałem nie zostanie nic— wiatr ślady zawieje....

— A!— rzekł Bogdan niemile dotknięty — więc pani odrazu zaprzecza uczucia każdemu, a gdy ono rzuci się w oczy, w ten sposób je pani tłómaczy... to zręczne; ale żal mi tych, co w nie wierzyć nie potrafią, bo to dowód, że nic sami nie czują.

Żywy rumieniec pokrył bladą twarz Wandy.

— A więc czemże pan wytłómaczy ową niestałość dziwną — zawołała żywo — czem wytłumaczyć to zapalanie się nagłe, co wy-

bucha jak ogień słomiany i jak on prędko gaśnie; owe zmiany nagłe, zrozumiałe wtedy tylko, gdy przypuścimy stanowczo, że już taka natura wasza!

— Po części masz pani słuszność. Są tacy, co podlegają wrażeniu każdemu, zmieniając się jak kameleony, ależ niepodobna wszystkich potępiać za to. Czyż dlatego, że są na świecie zabójcy, złodzieje, obłudnicy, każdy ma kraść zabijać lub kłamać?

— Zapewne, że nie. Ale niestałość, zbyt wielka wrażliwość, jeśli pana tamten wyraz razi, to właściwość ludzkiéj natury, tak jak głód i pragnienie: jeden posiada jéj więcéj, drugi mniéj, ale istnieje ona zawsze....

— A zatém — rzekł Bogdan szyderczo — jeśli na uczucie liczyć nigdy nie można, to ono jakby nie istnieje. Jakże więc pani życie rozumie? czegóż potrzeba do szczęścia?

— Szczęścia? to słowo nie przedstawia mi żadnego znaczenia, ja nie wierzę w szczęście....

— Jakże więc życie ułożyć bez tego czynnika?

— Żyć w sobie i w sobie znajdywać wszystko, co nam potrzebne.

— To jest zamknąć się w egoizmie i w sobie jedynie zatopić!

— Nie, trzeba żyć dla innych, ale niczego nie wymagać dla siebie, bo nic się nie dostanie. Nie żądać niczego od ludzi, ani od życia i nie spodziewać się niczego....

— I pani sądzi, że ludzie taką zasadą będą się w życiu kierować?

— Nie wymagam od nich tego, ale sama ani się oburzam, ani téż dziwię, znajdując w nich niedobory. Ale za to niechże i oni nie wymagają odemnie, ażebym te niedobory uważała jako zalety, a ich samych jako doskonałości...

— Jeżeli pani czujesz w sobie jakąś stronę lepszą, nie masz prawa zaprzeczać jéj innym.

Wanda spuściła głowę.

— I cóż ja zrobię — rzekła zniechęcona — zkądże zaczerpię téj wiary, któréj mi życie nie dało. Pan mówisz o uczuciu, ja dotąd widziałam tylko z jednéj strony egoizm, który wyzyskuje o ile się da położenie, z drugiéj miękką niedołężną słabość, która na wszystko pozwala, bo do obrony sił niema. Czytałam nieraz o takich aniołach białych, co serce człowiecze niosą w rękach, o mężach jak opoka silnych, ale to tylko w książkach. W życiu.... w życiu tak wszystko się kończy, jak *Książka pamiątek* Gabryeli naszéj....

Bogdan targał niechętnie wąsy czarne.

— I w życiu są tacy — rzekł smutno — tylko że najczęściéj rozminą się z sobą, ci co być powinni złączeni. Jedni wyciągają ręce

do uczucia, a spotkawszy je, odwracają głowę, mówiąc, że to fata morgana; drudzy nie umieją wiary wzbudzić i oto rozchodzą się. A potém narzekają na los, okoliczności, naturę ludzką, podczas gdy sami winni temu co się stało....

W téj chwili hrabia Alfred zbliżył się do młodéj pary i opierając się o krzesło Wandy, przesunął delikatnie rękę po jéj jedwabistych włosach. Dotknięcie było miękkie, na ustach hrabiego widniał uśmiech łagodny, a jednak delikatne łuki brwi ciemnych zsunęły się lekko i Wanda usunęła się zwolna z pod pieszczącéj ręki ojcowskiéj. Bogdan ze zdziwieniem spojrzał na ten objaw, a gdy się hrabia oddalił, on rzekł trochę szyderczo:

— Pani nie lubi ażeby jakiekolwiek uczucie objawiało się na zewnątrz....

— W saméj rzeczy....

Głos hrabianki zabrzmiał taką smutną goryczą, na twarzy odmalował się taki niesmak, że Bogdan zamilkł zmieszany, i dopiéro po długiéj chwili rzekł znowu:

— Ale wracając do naszéj rozmowy, zapytam raz jeszcze jak mamy życie ułożyć, żeby nam było możliwém?

Wanda zamyśliła się chwilkę.

— Rozsądek powinien nami kierować— rzekła. — Za jego radą iść nam potrzeba; to oszczędzi zawodów, rozczarowań i smutku. Uczucie nas zaślepia: to zły przewodnik, bo wiedzie na trudne drogi, które nie prowadzą do niczego....

— Ale według pani trzeba zawsze samotnym pozostać. Szczególniéj kobiéta, bo ta nie powinna wierzyć nigdy, — czyż ma oddać rękę na chłodno?

Wanda zarumieniła się gwałtownie, ale to trwało chwilkę jedną, późniéj zbladła bardzo, oczy zimno spojrzały.

— Powinna wybrać takiego, co przebył lata pierwszéj młodości, którego wrażliwość życie stępiło, który da jéj szacunek i uzna w niéj równą sobie. Nie da on jéj tego, co nazywacie miłością, ale za to nie będzie od niéj wymagał nic, prócz przyjaźni. Zgadzać się będą w pojęciach, a nie będzie między niemi wygórowanych wymagań....

Bogdan się rzucił gwałtownie.

— I pani, pani — zawołał — mogłabyś wyjść za mąż dla konwenansu, za takiego, przy którym nie zabije żywiéj serce....

Znowu płomienny rumieniec wystąpił na bladą twarz hrabianki Wandy.

— Czyż lepiéj całe życie na kartę postawić— rzekła — i potém z rozpaczą w sercu bezsilnie patrzéć na przegranę stanowczą?

— Lepiéj! — zawołał Bogdan — bo żyje się wtedy, żyje się całą pełnią życia! A jeśli przegrać mamy, zostaje nam ta pociecha, że przynajmniéj użyte zostały wszystkie władze naszéj istoty, żeśmy żyli jednem słowem!

Wanda opuściła ręce, z których wysunęły się kwiaty.

— Ależ ja właśnie żyć niechcę — rzekła z niechęcią — ja chcę spać i nie być budzoną, niechce żyć, bo życie to ból, troska, cierpienie, a ja już cierpiéć niechcę! niechcę.... niechcę....

I powtarzała to słowo ustami blademi, patrząc gdzieś w dal przed siebie z rękami splecionemi bezsilnie. Oczy się szkliły jakby łzami, co spłynąć nie mogły, usta zacinały boleśnie, między brwiami leżała bruzda. Bogdana coś targnęło za serce: on chciałby tę wiotką bladą dziewczynę schwycić na ręce jak dziecko i zanieść daleko, daleko — tam, do murowanego dworu, gdzie na kominku palił się ogień żywy i gdzie było ciepło, zacisznie, tak ciepło, że musiałaby stopnieć ta niewiara męcząca, ten chłód co bronił zbliżenia.... I drgały mu na ustach wyrazy namiętne, któremi chciał przekonać tę jasnowłosą, bladolicą dziewczynę o szczerości uczuć, byłby potrafił słów dobrać, bo kochał gorąco, całą duszą ognistą, całém sercem młodém. Ale hrabiowska córka patrzyła zimno przed siebie, szafirowe oczy szkliły się chłodnym połyskiem wody lodem ściętéj, drobne różowe usta okolił wyraz przejmującéj goryczy, smutnéj ironii i ręce Bogdana opadały, słowa mu marzły na ustach — milczał....

III.

— Potrzebuję rozmówić się z tobą — rzekł hrabia do żony po odjeździe Bogdana—przyjdź do mego gabinetu....

Gabinet hrabiego był to duży czworokątny pokój, obity malinowego koloru suknem. Na ścianie było kilka kosztownych obrazów, jedną z nich zajmowała wielka rzeźbiona szafa z czarnego dębu, zapełniona książkami. W rogu przy oknie stało ogromne bióro także z rzeźbionego dębu, podobne fotele, malinowém suknem kryte, rozstawione były po pokoju, miękkie i wygodne sofy tureckie stały po dwóch rogach, a na środku stół zarzucony dziennikami. Piękna bronzowa lampa, zwieszająca się od sufitu, lustro duże weneckie i kilka świeczników dopełniały całości tego pięknego pokoju.

Gdy weszła hrabina, Sulimowski wskazał jéj fotel i sam miejsce zajął naprzeciw, opierając się łokciem o biórko. Jego blado niebieskie oczy wpatrzyły się surowo w hrabinę, mięsiste usta wydęły bardziéj jeszcze, milczał, nie spuszczając oczu. Hrabina Natalia by-

ła mocno zmieszaną, lekki rumieniec wystąpił na twarz jéj zwiędłą; po długiéj chwili spytała:

— Czego potrzebowałeś Alfredzie?

Głos jéj był niepewny, cichy, lękliwy jakby.

— Chciałem cię zapytać co znaczą te wieczne rozmowy Wandy z Bogdanem Porajskim?

Hrabina żywo głowę podniosła.

— I cóż dziwnego, że ją on zajmuje? — spytała.

— Ja się nie pytam czy to dziwne lub nie, tylko co to znaczy, nie idzie mi o przedyskutowanie téj kwestyi.

Trudno było poznać ów miękki elegancko przyciszony, łagodnie wpadający w ucho głos hrabiego, w tych ostrych suchych dźwiękach, jak drewno chłodnych....

Hrabina spuściła głowę i cicho odparła:

— Sądzę, że ona mu się bardzo podoba i że zamyśla starać się o nią....

Oczy Sulimowskiego jeszcze chłodniéj, przenikliwiéj wpatrzyły się w żonę.

— A! — wyrzekł przeciągle — to tak; i ani ty, ani Wanda nie uznałyście za potrzebne powiedziéć mi o tém....

Znowu lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz hrabiny....

— Nie wiem nic o tém— szepnęła — ja tylko domysł stawiam...

— Sądziłem dotychczas, że matka powinna najpierwsza wiedziéć o tém ... widzę, że nie podzielasz mego zdania. ..

Hrabina żywo głowę podniosła, łzy jéj w oczach błysnęły.

— Jeżeli się komuś nie nada żadnych praw w domu, trudno żądać spełnienia obowiązku — zawołała gwałtownie. — Ja nie mam i mieć nie mogę rodzicielskiéj z Wandą powagi, ty wiesz przecie o tém, bo twoja to wina, a teraz mi robisz wyrzuty?

— Nie unoś się, Natalio; — rzekł lodowato Sulimowski — i wieleż razy powtarzać ci trzeba, że to jest nieznośnie *mauvais genre*, nim się pozbędziesz téj właściwości waszego świata. Trudno przerobić tę naturę swoją, na którą się pokolenia składały, zapomnieć wychowanie domowe, jestem wyrozumiałym; nie dziw się jednak, że mnie to razi fatalnie.

Hrabina coś chciała przemówić, tłómaczyć się, czy téż oburzyć znowu, ale spotkała te blade oczy, co nie schodziły z jéj twarzy, i zamilkła, już cicha, pokorna, lękliwa.

— Więc i ty zauważyłaś, że Bogdan się stara—ciągnął Sulimowski. — Zapewne to małżeństwo podobałoby ci się?

— Bogdan jest człowiek majętnym, dobrze wychowanym, położenie ma stosowne w świecie, a Wanda skończyła rok dwudziesty drugi: czas na nią.

— Wanda jest moją córką—rzekł dumnie Sulimowski;— na nią nie może być zawcześnie ani zapóźno. Wolałbym czekać dłużéj, ale dziś mam dla niéj stosowną partyę.

Oczy hrabiny błysnęły radością.

— W saméj rzeczy Bogdanowi nic zarzucić nie można—rzekła.

— Nie myśl o tém. Bogdan nigdy moim zięciem nie będzie.

— Jakto! i cóż możesz mieć przeciwko niemu?

— Osobiście nic.

— Czyż nie jest on młody, przystojny, bogaty, z dobrego rodu?

— Zapewne.

— Czyż jego reputacya zostawia co do życzenia?

— Nie słyszałem o tém.

— Czyż jest utracyuszem, szulerem, hulaką?

— Podobno że nie. — Skończyłaś już pytać?

— Ależ....

— Żadnego ale.— Bogdan, jeżeli ci tak bardzo o to chodzi, jest idealnym człowiekiem, znakomitą partyą, czem ci się tylko podoba, ale ja mam inne zamiary.

— Zamiary?—powtórzyła blednąc hrabina— i kogóż masz innego na myśli?

— Stryja Bogdana — Karola.

Pani Natalia zerwała się i stanęła przed mężem jak trup blada.

— Co? — zawołała głosem przerażenia pełnym — co?

— Nie egzaltuj się — rzekł z kolącą ironią hrabia — naucz się już raz sposobu bycia, przyjętego w świecie, do którego zostałaś wprowadzoną, a zapomnij manier używanych w domu twych rodziców. Nie przesłyszało ci się, siądź napowrót, bo jeszcze nie skończyłem.

Hrabina przesunęła obie ręce po czole i oczach.

— Ależ to niepodobna!—szepnęła—przecież ojcem jesteś!

— Właśnie dlatego chcę dla mojéj córki najlepszéj partyi z całéj okolicy, na dwadzieścia mil wokoło.

— I masz odwagę, masz serce, przypuścić podobieństwo związku jego z Wandą?

— Och! przez litość, daj pokój frazesom i szumnie brzmiącym wyrazom. Najprzód już ci to nie do twarzy nawet, jeśli było kiedy, a potém zamiast rozczulić, okropnie mię to denerwuje. Usiądź, bo mi niewygodnie mówić do ciebie.

I biorąc rękę żony, posadził ją napowrót.

— Teraz ja ciebie zapytam— rzekł ostro:— czy Porajski nie jest człowiekiem bardzo rozumnym? dobrze wychowanym, wytwornym? czy znasz kogoś przyjemniejszego w rozmowie, lepiéj umiejącego się znaleść, lepiéj wydać w towarzystwie? czy nie jest on wykształco-

nym wszechstronnie, oczytanym, czy jest na świecie jakiś prąd myśli, któryby jemu był obcym?

— Ależ charakter, charakter jego!—zawołała z boleścią Natalia.

— Charakter? czyż mu kto może zarzucić jaki skandal, jakieś wykroczenie przeciwko uczciwości?

— Czemże nazwiesz proces z krewnemi jego żony?

— Jego żona była przecież jedynaczką: skoro w intercyzie zapisali sobie wszystko na przeżycie, w razie gdyby on umarł, jéj krewni byliby wszystko zabrali. Rodzicom żony, gdyby żyli, byłby pewno oddał jéj posag, ale pocóż miał się ubożyć dla jéj dość dalekich krewnych?

— Ależ jéj ciotka na kolanach go błagała o niewielką, stosunkowo do reszty sumkę, od któréj ich byt zależał; nie darowizny chciała, ale pożyczki, a odmowa jego sprowadziła na nich ruinę!

— Czemuż nie umieli się rządzić?

— A wywłaszczenie Kołowieckiego?

— Był w swojém prawie.

— I ty, ty nazywasz go człowiekiem uczciwym?

— Czy winien co komu a nie oddaje? czy kogo oszukał? czy na jego słowo liczyć nie można? jakże mu mieć za złe, że od innych wymaga tego, co sam daje — ścisłości w interesach?

— Ależ jego biedna żona umarła zamęczona tym egoizmem strasznym człowieka, dla którego nie istnieje złe ani dobre, nic—tylko prawo i kodeks światowy!

— Żona jego była niemądrem stworzeniem, nieumiejącém zastosować się do swego rozumnego męża. Wymagała ciągłego uwielbienia, miłości jakiejś nieziemskiéj, i chciała go gwałtem ciągnąć za sobą w ów świat abstrakcyjnych idei, których mdła strawa może wystarczyć ograniczonéj kobiécie, ale nigdy poważnemu umysłowi mężczyzny.

Dwie łzy bujne stoczyły się po zwiędłéj twarzy hrabiny.

— Tak — rzekła z goryczą bezdenną — wy nazywacie świat moralny ideą abstrakcyjną, a gdy kobiéta nie przeniesie straty szacunku dla tego, którego kochała i czciła niegdyś, nazywacie ją ograniczoném stworzeniem, nie umiejącém się zastosować do swego rozumnego męża.

— Może zechcesz te filozoficzne dysputy odłożyć — rzekł lodowato hrabia;—kiedyindziéj będę ci z przyjemnością służył, dziś chciałem ci tylko oznajmić co o tém myślę, żebyś się nie posunęła do jakiegoś niewłaściwego kroku....

— I ty sądzisz... ty masz nadzieję, że Wanda na ten wybór się zgodzi?

— Mam tak dobre pojęcie o jéj rozumie, że w rzeczy samej nie wątpię ani chwili o tém. Żądam tylko żebyś o naszéj rozmowie, o obydwóch Porajskich, nie wspominała przy niéj zupełnie.

— Bądź spokojny — rzekła smutno — stało się po twojéj woli, myśmy obce sobie i nigdy między nami nie ma poufałéj szczeréj rozmowy. Nie chcąc abyś mię przez nią upokarzał, odsunęłam się sama, pozwoliłam, bo zabronić nie mogłam, na otoczenie jéj płatnemi nauczycielkami, które wybierałeś nie dla niéj, ale dla siebie. Dziś ja jéj nie rozumiem, ale niedarmo własném ją mlekiem karmiłam, niedarmo starałam się wpajać w nią zasady moralne — nie, ona nie przyjmie Karola!

Hrabia poczerwieniał mocno.

— W takim razie ja się w to wmięszam — rzekł.

— Tylko, że to nie ze mną sprawa—rzekła szyderczo Natalia— to już nie, jak ty nazywasz, córka parweniusza, co drogo musiał zapłacić za tytuł zięcia a nieszczęście córki; to twoja krew panie hrabio, twoje dziecko i ona ci nie ustąpi.

— Znajdą się sposoby — rzekł hrabia lodowato.

Natalia wstrząsnęła głową.

— Nie — odparła z goryczą — na nią sposobu nie będzie. Ona się nie zalęknie, wszedłszy w towarzystwo nieodpowiednie, jéj nikt na uwięzi trzymać nie będzie obawą śmieszności, nie dotknie upokorzeniem. Ona nikogo bać się nie będzie, bo ma dosyć swojéj wartości, nie potrzebuje jéj od nikogo, nad jéj kołyską błyszczała dziewięcio-perłowa korona, za nią dopłacać nie trzeba!

Brwi Sulimowskiego sfałdowały się gniewnie.

— Skończ już tę czczą gadaninę — rzekł głosem syczącym — mnie się ona nie oprze, co ja chcę — będzie.

Hrabina podniosła głowę.

— Wiesz dobrze, że Wanda ci nie ustąpi — rzekła zimno.

Hrabia zerwał się gwałtownie.

— Co! — krzyknął — ty śmiesz przypuszczać, śmiesz mówić, że ona mię nie posłucha! ty ją śmiesz buntować! ty, ty, którą wniosłem do siebie, choć nic mi dać nie mogłaś dla serca ani umysłu! ty masz czoło! ale ja to złamię, złamię! rozumiesz! rozumiesz, że cię zmiażdżę na proch, jeśli będziesz śmiała na włos mi się oprzéć!

I uderzył w biurko, aż zadźwiękło pod ciosem, i biegał po pokoju, pieniąc się niemal z gniewu, bo hrabina dotknęła słabéj strony: w samej rzeczy było bardzo niepewnem czy Wanda zechce ustąpić. W téj chwili zapomniał wytworny pan hrabia, że uniesienie jest fatalnie *mauvais genre* i rzucał się, jak najzwyklejszy plebejusz nie potrafiłby może. Hrabina wysunęła się zwolna i odeszła do sie-

bie. Dziś się dłużéj niż zwykle modliła. Straszno jéj było o przyszłość córki; nie bała się woli hrabiego, bo ta najprzód ulegała łatwo różnym wpływom, a potém nie przełamałaby Wandy, ale właśnie się córki samej lękała, jéj chłodu, jéj niewiary; nie bała się aby Sulimowski narzucił córce Porajskiego, ale serce w niéj zamierało na myśl, że Wanda może przyjąć go sama....

I długo długo ta myśl odpędzała sen od jéj powiek zmęczonych....

IV.

Po salonie Milewskim chodziła szybkim i niecierpliwym krokiem młoda dwudziestokilkoletnia kobiéta. Wysoka, smukła i giętka, szeroka w ramionach, wcięta w pasie jak szesnastoletnie dziewczątko, ruchy miała żywe i zwinne, a zgrabne jak u młodéj kotki.... Włosy czarne jak skrzydło kruka spadały w drobnych loczkach na czoło bardzo białe, tą żółtawą trochę białością brunetki, piętrzyły się w kosztowną fryzurę i spadały w kilku grubych puklach na utoczoną szyję. Oczy duże, ciemno-szare, podkrążone szeroką bardzo ciemną obwódką, ocienione długą czarną rzęsą, śmiało, wyzywająco, rzec można, patrzyły z pod delikatnych, regularnych łuków brwi hebanowéj czarności. Nos był trochę za duży, ale usta śliczne, świeże i pąsowe jak koral, a ząbki pod niemi jak perły białe i równe.

Miała na sobie suknię z czarnego bareżu, wyciętą mocno i tylko lekki koronkowy kamzucik przysłaniał jéj posągowych kształtów ramiona, ręce zostawiając odkryte. We włosy miała wpiętą na pół rozkwitłą różę różową, druga podobna stroiła kamzut u piersi.

Cała jéj postać była dziwnie ponętną: oczy, usta, wyraz twarzy, postawa, ruch każdy, wszystko to zwrócić każdego uwagę musiało, wszystko mówiło o tém, że ta kobiéta jest piękną, bardzo piękną.

Była to piękność pewna siebie, wyzywająca, chcąca zwrócić uwagę, bo wiedziała, że to na jéj korzyść wyjdzie. Z pewnością nikt z uszanowaniem nie usuwał się przed nią, ale za to każdego brała ochota zastąpić jéj drogę. Nie wybrałyby jéj matki za towarzyszkę dla córek swoich, ani rozsądni mężowie dla żony młodéj, ale w gronie mężczyzn i kobiét światowych, ta kobiéta musiała być w swoim żywiole, musiała czarować.

Zalotność leżała na jéj czole, wyglądała oczami, widniała w każdym ruchu, uśmiechu, spojrzeniu. Ubranie było obrachowane, aby jak najlepiéj uwydatnić powabną jéj postać, upięcie włosów, umieszczenie kwiatów, musiały być studyowane długo, ale usiłowania do-

pięły celu: ta kobiéta była bardzo piękną, a szczególniéj bardzo ponętną.

Była to znana nam już ze słyszenia pani Tola Sawińska. W chwili, gdy zniecierpliwiona uderzała o posadzkę drobną nóżką, wytwornie obutą w grecki bucik i ażurową czarną pończoszkę, weszła pani Emilia.

— Wiesz, zaczynam tracić nadzieję ujrzenia go dzisiaj!

— A toż czemu?— odparła pani Emilia na słowa siostry.

— Piąta dochodzi....

— Nic to, przyjedzie, ręczę ci. — Żebyś ty była widziała jego zaciekawienie, zajęcie się, gdy o tobie mówiono, jak on się dopytywał, usiłując nie zwracać uwagi, nie wątpiłabyś. A zresztą, jak nie dziś to jutro, przecież serce nie wyskoczy ci za nim? I uśmiechnęła się szyderczo.

— Żal mi przygotowań — odparła Tola.

Obie siostry spojrzały sobie w oczy i wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Biedny! — rzekła po chwili Emilia — śmiejąc się ciągle.

Tola podeszła do wielkiego lustra i przeglądając się z upodobaniem, spytała:

— Czy w saméj rzeczy znajdujesz go biednym? ja myślę że będzie aż nadto opłacony....

— Zapewne, ale on się łudzi, że jest zawsze głęboko kochany, że pamięć o nim lata przetrwała ...

— Jeżeli to złudzenie i nadal zachowa, jakąż mieć może pretensyę? Cóż jest na świecie rzeczywistego? to co wzbudza wiarę. Absolutnie biorąc—nic. Każda prawda jest nią dopóty, dopóki świat tak dobry, że jéj nie zechce zaprzeczyć; przez tyle lat przecież wierzono, że słońce się wkoło ziemi obraca....

— Możnaby i tutaj uwierzyć, że ziemia stoi na miejscu. Tylko strzeż się Koperników....

Pani Tola zaśmiała się swobodnie, srebrzyście.

— Wybieram zwykle ludzi dyskretnych — rzekła.

Emilia uszczknęła kilka delikatnych zielonych listeczków z wazonika i rozrzuciła je po włosach siostry, poprawiła loczki nad czołem, umieściła w nich listek i na ślicznéj twarzy złożyła gorący pocałunek.

— Jesteś prześliczna — szepnęła.

W téj chwili dało się słyszeć trzaskanie z bicza i powóz stanął przed gankiem. Tola krzyknęła lekko, zadrżała i zbladła.

— Tolu! co to jest! spokoju! bądź panią siebie i położenia! — zawołała żywo Emilia.

Uśmiech złośliwy przebiegł po zbladłych ustach Toli.

— Daj pokój—szepnęła—to doskonale, zmięszanie im większe, tém lepiéj mi posłuży...

W téj chwili we drzwiach salonu ukazał się Karol Porajski. Pani domu postąpiła zwolna ku niemu, z przymusem jakby i podała mu rękę, któréj on dotknął zaledwo, wymawiając słówko banalne. Wzrok jego pobiegł aż w głąb pokoju, Tola oparta ręką o fotel, pochylona nieco, nie poruszyła się z miejsca. Bladość jeszcze nie zeszła z jéj twarzy, gdy Karol zbliżając się, żywo ujął jéj rękę. Ale za jego dotknięciem, ciemny rumieniec oblał twarz całą i zsunął się aż na szyję śnieżną, Porajski uczuł że drobna rączka drży w jego dłoni. Coś jak wyraz tryumfu na twarz mu wyszło, chciał do ust ponieść trzymaną rączkę, ale w pół drogi wysunęła mu się ona, i spotkał tak mocno zdziwione spojrzenie wielkich oczu szarych, że się zmięszał na mgnienie oka, pytając sam siebie, co to wszystko ma za znaczenie?

Tymczasem Tola zajęła miejsce, rumieniec ustąpił z jéj twarzy, zostawiając zwykłą uśmiechniętą maskę światowéj damy, z któréj chyba nigdy jeszcze nikt nic nie wyczytał.

— Jakże się bardzo pan zmienił, zaszczebiotała swobodnie, doprawdy, nie byłabym pana poznała...

Karol nie takich słów, nie takim szczególniéj tonem wyrzeczonych, spodziewał się od niéj. Uczuł gniew niewypowiedziany na tę szczególną istotę.

— O! wiadomo, że pani umiesz zapominać łatwo—rzekł z mimowolną goryczą.

Siwe oczy pięknéj pani strzeliły snopem promieni, prześliznęły się po twarzy Karola i odwróciły znowu, a biała rączka potarła czoło, jakby chcąc odpędzić myśl jakąś.

— Zapominać?—szepnęła półgłosem—tak: to dobrze zapomniéć; szczęśliwi ci, co zapominać umieją...

— Sądzę, że pani do ich liczby należy?

— Staram się o to—odparła suchym głosem.

Zapanowało milczenie—przerwał je Karol.

— I jabym pani może nie poznał—rzekł—tak pani rozkwitła z tego pączka, co wprawdzie obiecywał wiele, ale sto razy jeszcze więcéj dotrzymał...

I obrzucił ją od stóp do głowy spojrzeniem tak wyraźnie malującém uwielbienie, że aż można się było obrazić. Ale piękna Tola nie zarumieniła się, nie spuściła oczu, przeciwnie, wlepiła je uważnie w swego towarzysza, chcąc wyczytać z jego twarzy wrażenia. Nic zobaczyła nic innego nad to, co mówiły słowa. Musiało ją ta zado-

wolnić, bo karminowe usteczka uśmiechnęły się ślicznie, odkrywając ząbki perłowe.

— Zestarzałam się okropnie—rzekła tym tonem zepsutego dziecka, który lubią przybierać piękne kobiéty, wiedząc, że im z tém do twarzy.

— Okropnie!—zawołał śmiejąc się Karol—twarz pani się pokryła zmarszczkami, oczy blask straciły, z niegdyś tak ślicznych ząbków zostało tylko wspomnienie...

Piękna pani zaśmiała się także.

— A jakimże sposobem, pomimo zmian tak rozlicznych pan mógł mnie poznać odrazu?—spytała.

— Bo, jeśli się pani zmieniła, ja zawsze tym samym zostałem...

— Nierozumiem; cóż to ma za związek z poznaniem mnie?

— Na tę chwilę niemogę tego pani wytłómaczyć... i czarne zmęczone oczy jego zatrzymały się na mgnienie oka na twarzy pani Emilii, co zasunięta w głąb kanapy, nie męszała się do rozmowy zupełnie.

— W samėj rzeczy, byłoby to nieco za trudném. Ot, nie szukając długo, przyznaj pan, żeś wiedział o mojéj tu bytności, dziwniejszém więc byłoby daleko, gdybyś pan wchodząc, wziął mnie za kogo innego.

Oczy Karola błysnęły, jak błyszczeć musiały za dni jego młodych...

— Czy pani wsamėj rzeczy tak sądzi?—zapytał, patrząc uporczywie w twarz Toli.

Ale oczy pięknéj pani wytrzymały to spojrzenie jak najspokojniéj: ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy, ani cień rumieńca się nie pojawił.

— A naturalnie—odparła zwykłym głosem.

— Czy... pani sądzi według siebie?

Szare oczy spuściły się szybko, piękne brwi lekko zsunęły, trwało to chwilę jedną, podniosły się znowu, marzące, zamglone niby tęsknotą, a może i łzą...

— Nieinaczéj—szepnęła, ale spojrzenie sprzeczało się z jéj słowami...

Karol nie widział, czy nie chciał widzieć téj mowy, wolał się obrazić za słowa. Rzucił się w głąb fotelu, jak by dotknięty mocno, po chwili poprosił o pozwolenie zapalenia papierosa, a otrzymawszy je, podał pani Emilii cygarnicę z kości słoniowéj delikatnie rzeźbioną, ujętą w czarną emaliowaną obwódkę. Pani Emilia przyjęła, on się posunął do Toli.

— O! ja tak rzadko palę—rzekła ta ostatnia.

— Może właśnie dziś przyjdzie fantazya?

— Kto wie? sprobuję, i delikatne paluszki ujęły papierosik, oglądzając go, jakby piękna pani była palaczem z profesyi. Obejrzała się za ogniem, w téj chwili Porajski podawał zapałkę pani Emilii, i zaraz zwrócił się do niéj, sam równocześnie zapalając cygaro. Ale nie zręcznie podawał, albo téż myślał tylko o osobie, zapałka zgasła, nim papieros był zapalony.

— Jaki pan niezręczny—szepnęła Tola—nie można ognia dostać od pana...

Karol pociągnął parę razy cygaro, żeby go rozszerzyć i pochylił się do niéj.

— Służę pani—rzekł cicho,—to ogień mój własny, nie pożyczany...

I nie wypuszczając z ust cygara, przysunął się tak blisko, że piękna pani mogła przyłożyć do ognia swój papierosik. Spoiły się ich oczy przez tę chwilę i zatonęły w sobie. Oczy Porajskiego fosforycznym blaskiem strzeliły i mówiły: piękna jesteś! Oczy Toli pozostały zimne, a odpowiedzią ich była: wiem o tem—i cóż z tego?

— Jakże teraz się bawią w Odesie?—zagadnął pierwszy Karol,—swobodnie i wesoło.

— Jak zwykle o téj porze, zjechało się dużo ludzi, i miasto zapełnione gwarem, wre życiem, aby z końcem sezonu znowu w sen zapaść zimowy—odparła Tola.

— Sądzę, że pani Odesie niesłusznie nadaje miano i cechę miast kąpielowych. Ona przedewszystkiém jest i na zawsze zostanie miastem handlowém, więc życie trwać musi rok cały.

— Masz pan słuszność, zawsze jedni będą sprzedawać to co inni kupić zechcą. Zawsze ludzie będą mieli na sprzedaż cukier, herbatę, towary łokciowe, swoje sumienia i nazwiska, serca i dusze, i zawsze się znajdzie naiwny kupiec, który się na tych towarach oszuka...

— Dlaczego ma się koniecznie oszukać?

— Bo wszystko co jest na sprzedaż musi być obrachowane na zysk jak największy: Nadaje się towarowi wartość rzeczywistą, o ile można najmniejszą, przykleja świetną etykietę, stempluje zagraniczną plombą i ogłasza szumną reklamę, a jeśli po pewnym upływie czasu cukier się okaże niesłodki, towary zleżałe, sumienie nadpsute, nazwiska sterane, serca zniszczone, a fałszowane dusze,—na skargi i krzyki odpowiadają, że trzeba było się pilnować przy kupnie i targu...

— Jakto! więc rzetelności niema zupełnie?

— Nierzetelnością więcéj zyskać można, a przecież zysk jest celem.

— Zgadzam się na to, ale przecież zysk jest różnego gatunku, nie każdy do jednego dąży...

— I owszem: różnią się szczegóły, ale cel główny u każdego podobny. Zyskać dużo pieniędzy, znaczenia i dobréj opinii, oto do czego każdy dąży, tylko różnemi drogami...

— A zadowolenie wewnętrzne?

— Ono przychodzi właśnie, gdy ów cel bywa osiągnięty.

Karol popatrzył na nią przez chwilę.

— Widać że pani była długo na targowisku, i przekonała się dowodnie,—podkreślił głosem,—że wiele rzeczy kupić i sprzedać można. Ja zaś, pozwolę sobie innego być zdania: dla mnie, to co się kupuje, nie ma już tem samém żadnéj wartości...

Szare oczy Toli strzeliły snopem błyskawic, ironiczny uśmieszek usta wykrzywił.

— Mnie się zdaje,—rzekła po chwili,—że dla pana to tylko ma wartość, co się samo przez się opłaca dobrze... Pan przyjmuje to, co za darmo przychodzi, ale płacić za coś? Nie, pan do kupujących nie należy...

Porajski wstrząsnął się cały, ale w tejże chwili odzyskał panowanie nad sobą i odparł spokojnie:

— I na sprzedaż nic nie posiadam, zostaje więc jedynie wolna wymiana. Dobrze pani mówi, że do kupujących nie należę, że to jedynie ma cenę u mnie, co się dobrze opłaca; szych i wszystkie wartości konwencyonalne niczém są dla mnie.

— Co pan nazywa konwencyonalną wartością?

— Wszystko, co ludzie cenić zwykli dla tego jedynie, że tak wszyscy robią. Naprzykład, abonament na włoską operę, posiadanie wyścigowéj stajni, salonowe amatorskie talenta wszelkiego rodzaju, życzliwość kobiét, przyjaźń mężczyzn.....

— Jakto! życzliwość kobiét, to wartość konwencyonalna?

— A naturalnie. Ja dbam tylko o niektóre kobiéty, a o tych życzliwość nie idzie mi wcale, wolę nienawiść, bo wtedy niedaleko już do innego uczucia, jedynego o które mi chodzi, gdy mam do czynienia z kobiétą, która mi się podoba. Co zaś do przyjaźni mężczyzn, ta mi jest zupełnie obojętną, bo nic z niemi niemam do czynienia.

— Przecież oni stanowią opinię!

Porajski wzruszył ramionami.

— Zapewne!—odparł chłodno—ale ja jestem zwolennikiem systemu władców wschodu. Z przyjemnością, jak oni osłoniłbym się firanką z jedwabiu i złota, żeby mnie ludzie nie widzieli. Mając przyjaciół, jest się narażonym co chwila na pytania jak najniedyskretniejsze,

które na jaw chcą wydobyć najtajniejsze strony naszego życia, naszéj istoty moralnéj. Zażyłość jest zgubną, bo nasze słabe strony stają się własnością owych rzekomych przyjaciół, którzy je mogą wyzyskiwać, rozgłaszać, jednėm słowem, korzystać z nich. Podczas gdy, odsunąwszy się od ludzi, można nad nimi górować, zachować swój urok, którego niepodobna utrzymać z przyjaciółmi.

— Pan daruje, przecież bardzo często zyskuje się na bliższém poznaniu.

— Zapewne, ale trzeba się zatrzymać na właściwéj granicy. Nigdy zupełne poznanie nas przez kogokolwiek nie przyniesie nam korzyści, ale zawsze szkodę.

— Tak więc najwyższa filozofia życia jest: nie oddawać się nigdy zupełnie?

— Przynajmniéj jest ona najpraktyczniejszą...

W téj chwili wpadł pan Czarnowski i rzucił się do gościa, witając go serdecznie. Pani Tola powstała i podeszła do fortepianu, zabrzmiało kilka akordów i tęskny, namiętny, marzący, wypłynął z pod jéj palców walc Straussa. Dziwnie przypadała ta harmonia do grającéj: w postaci Toli grały te same uczucia, co dźwięczały w jéj muzyce, jéj szare oczy mówiły o tęsknocie jakiejś, purpurowe usta o namiętności gwałtownéj, a fortepian pod jéj białemi palcami drgał cały uczuciem. Dotknięcie było miękkie, aksamitne, uderzenia klawiszów zlewały się w całość jednolitą, Tola grała temperamentem. Od pierwszych akordów, Porajski żywo głowę podniósł; lubił muzykę, jak lubił wszystko, co uderzało jego wytworny zmysł estetyczny, sam grywał pięknie i znał się na muzyce. Ta kobiéta cała w purpurowych odbłyskach zachodzącego słońca, co przeciskało się przez firanki czerwone, ta kobieta tak piękna, drgająca życiem, dobrą była tłómaczką tych dźwięków, któremi Niemiec artysta poruszyć zdołał opiłych bawarskiem piwem współziomków swoich. Jéj postać cała była ilustracyą do téj muzyki...

Gospodyni domu wyszła, Porajski chciał się przysunąć do Toli, ale Czarnowski jakby na przekor wciąż go zabawiał rozmową, nie zrażając się nieukrywaną niechęcią. Nareszcie wyczerpała się cierpliwość Porajskiego, powstał przerywając w pół frazesu rozmowę o zbiorach spodziewanych. Zbliżył się do fortepianu, ale Tola miała głowę spuszczoną, nie patrzyła na nikogo, jakby zasłuchana w melodyi, co z pod jéj palców płynęła. Usiadł obok—nieporuszyła się.

— Pani... — rzekł półgłosem.

Nie słyszała. Odwróciła się na drugą stronę i uderzyła mocniéj w klawisze, jakby chcąc zagłuszyć ten głos, co ją budził z zadumy.

— Pani... Tolu...—powtórzył Porajski, pochylając się tak blisko, że go zaleciał zapach jéj włosów.

Nie drgnęła nawet. Na twarzy może i malowało się jakie wrażenie, choćby gniewu albo niechęci, ale Porajski nie mógł jéj widziéć, była odwróconą od niego. Szybkim ruchem powstał i nim się Tola spostrzegła, już siedział z drugiéj strony, już patrzył jéj prosto w oczy. Z tych oczu szarych spływały wolno po twarzy dwie ciche grube łzy.

Nie zmięszała się, nie zarumieniła, tylko zwolna odwróciła głowę, podniosła ręce z klawiszów i przesunęła je po twarzy.

— Pani—zaczął znowu Karol—co to jest, co to znaczy?

Tola zaśmiała się sucho.

— To znaczy, że pan jest bardzo niedyskretnym i nie trzyma się przepisów salonowéj grzeczności, która nie pozwala zaglądać do niczyjego serca ani usposobienia — odparła zimno.

Karol się cofnął niemile dotknięty.

— Te przepisy tyczą się przecież obojętnych,—szepnął—tych, o których ocieramy się po salonach, nie wprowadzając ich do swego życia; czemuż pani je mnie, mnie przypomina?

— Bo pan zapomniał widać o nich...

— A! więc ja dla pani mam być jednym z tych komparsów salonowych... czy tak jest w rzeczy saméj?

Szare oczy orzuciły go spojrzeniem przeciągłém, obojętném, spokojném.

— A czemże dzisiaj, dzisiejszy pan Porajski chce i może być dla Toli Sawińskiéj?

W głosie Toli było pytanie, domagające się odpowiedzi. Porajski uczuł, że go przypierano do muru, musiał albo się posunąć odrazu, albo téż wszystko utracić. Znalazł się w krytycznem położeniu, jeżeli niepodobna było nic nie odpowiedziéć, jeszcze niepodobniéj odpowiedziéć zanadto...

— To nie zależy od niego—odparł cicho, głosem miękkim—kiedyś, dawniéj, okazano mu, że jest niczém...

Błysk gniewu zapalił oczy Toli.

— A zatém, pocóż pyta raz drugi?—rzekła wyniośle.

— Bo pragnie innéj odpowiedzi...

— A na cóż mu ona potrzebną?

Znowu zawahał się chwilę.

— Aby wiedziéć prawdę i do niéj stosować swoje postępowanie —wyszeptał.

Tola zaśmiała się ostro.

— Dajmy pokój przeszłości,—rzekła—nie trzeba poruszać popiołów, bo można sobie palce poparzyć aż do żywego; nie bardzo bezpiecznie igrać z ogniem.

— A! więc nie same popioły zostały jednak!

— Szukając jednego wspomnienia, możemy natrafić na drugie, czasem idziemy do piwnicy po wino, zapalamy zapałkę, chcąc je znaleść, i oto iskra pada na proch rozsypany po ziemi, o którym nie wiedzieliśmy wcale; nie igraj pan z ogniem, ja radzę. .

Karol się rzucił gwałtownie.

— To niepodobna! —zawołał z gniewem—to być nie może!

— Czemu?—spytała wyzywająco piękna pani.

Znowu się zmięszał.

— Czemu?—powtórzył—bo. . bo pani płakała...

— I cóż z tego? alboż pan wiedzieć możesz, jakie wspomnienie zostało spłoszone słowami pana? alboż powiedzieć możesz z jaką chwilą splątały się u mnie te dźwięki Sztraussowskiego walca? alboż pan mnie znasz i wiedzieć możesz, co ja kiedy myślałam i czułam, nawet kiedyśmy się znali, a cóż dopiéro przez tych długich lat dwanaście... Nic, nic pan nie wiesz i wiedzieć nie możesz...

— To też dlatego pytam! ja chcę i muszę wiedzieć!

— A jakiemże prawem domagasz się pan odpowiedzi?

Fala krwi zalała bladą twarz Porajskiego.

— Prawem... prawem dawnego znajomego...—wyszeptał.

Oczy Toli sypnęły iskrami.

— Moi znajomi,—podkreśliła głosem—nie pytają mnie o nic, zadawalniając się tém, co łaskawie im powiem czasami. Nie wprowadzam ich nigdy do mego życia, wiedzą oni, że im trzeba się trzymać w przyzwoitéj odległości, że inaczéj znać ich przestaję...

— A jeśli oni nie chcą się tém zadowolnić, ale przeciwnie, wejść w życie pani?

— Zamyka się im drzwi przed nosem.

— Drzwi można wyłamać...

-- Hałas sprowadzi świadków i trzeba za swój czyn być odpowiedzialnym...

Ich spojrzenia starły się razem. Czarne źrenice Karola ogniem fosforycznym strzeliły, szare oczy pięknéj pani dumnie, jak lód zimno patrzały i szkliły się blaskiem polerowanéj stali.

— Nie probuj pan,—rzekła głosem, w którym drgała ostro sycząca nuta piekielnego sarkazmu,—nie probuj pan, radzę... Lepiéj spokojnie odcinać kupony od procentowych papierów, to zajęcie takie szlachetne, w tak dobrym guście, w sam raz stosowne dla pana.. ono nie pozbawi nikogo równowagi umysłowéj. Zostaw pan innym py-

tania, tym którzy pragną żyć i żyją, nie bojąc się odpowiedzialności za słowa swoje, bo mówią tylko to co myślą; pytania to rzecz nie dla pana, to *mauvais genre*...

Porajskiego oczy pożerały tę cudnie powabną istotę, co przechyliła się w tył, opierając piękną głowę o poręcz krzesła. Życie drgało w każdéj jéj fibrze, przepływało falą gorącą, potężną po tych oczach błyszczących, zarumienionéj twarzy, śnieżnych ramionach i postaci całéj. Stępione nerwy ukraińskiego magnata, uderzane silném wrażeniem, zbudziły się i zatętniały życiem, jakiego już dawno nie miały. Zbudził się z odrętwienia, zapragnął życia, a tu purpurowe wpółotwarte usta kazały mu stanąć na miejscu... I tak miało zostać? nigdy! wszak to on najpierwszy zbudził do życia tę młodą wtedy istotę, on ją urabiał na to czém dziś była, on miał do niéj prawo największe! Miałże pozwolić, aby go odsunięto jak komparsa? albož to było możebne? Tola pokaprysi i ulegnie, ale on nie chciał czekać na to. Schwycił rękę Toli i ściskając ją gwałtownie, zawołał.

— A jednak pytam! pytam i odpowiedzi wymagam!

Tola spokojnie, bez gniewu, wyciągnęła rękę z jego dłoni.

— Pan odpowiedzi wymagasz? i jakiem prawem, powtarzam.— Pytasz pan, i poco, proszę raz jeszcze?

— Poco? aby do odpowiedzi pani swoje postępowanie stosować!

Tola zaśmiała się przeciągle, szyderczo.

— Dwanaście lat długich minęło,—rzekła ostro —szesnastoletnie dziecko dużo widziało, a więcéj jeszcze przeżyło. Dziś, stała się ona kobiétą, z któréj życie dawno starło puszek złudzeń, barwę ideałów, umiejącą sądzić ludzi i rzeczy, nie biorącą słów za fakta, ale tylko za czczą gadaninę...

I wstając od fortepianu odeszła; w tejże chwili pani Emilia zaprosiła gości na herbatę, Porajski posunął się żywo, chcąc rękę podać Toli, ale nim doszedł, już ona ujęła siostrę pod ramię i przeszła do sali jadalnéj. Tam usiadła między siostrą a szwagrem, i zawiązała żywą rozmowę, błyszczącą dowcipem. Pomagała jéj siostra, Porajski milczał z początku, ale widząc że żadna z pań nie wciąga go do rozmowy, sam się wmięszał. Potoczyła się iskrząca gawędka i przeciągnęła tak długo, że Porajski zdziwił się, spojrzawszy na zégarek. Próbował odciągnąć Tolę od towarzystwa, ale daremnie; widząc że dziś nic nie poradzi, wstał żegnając się. Gdy podała mu rękę Tola, zatrzymał ją w swojéj i do ust poniósł, ale z gniewem zobaczył, że ta rączka drobna jak aksamit miękka, ani drgnęła, pozostała zupełnie bierną, obojętną. Czyż ta kobiéta za nic go miała?

Po jego odjeździe, Emilia przysunęła się do siostry.

— Cóż?—szepnęła.

— Postawiłam ultimatum!

— I jak sądzisz?

— Doszło do żywego.

— Wygrasz?

— Niewiem. On silny...

Emilia brwi zsunęła.

— Byłażbyś ty względem niego słabą?—spytała.

Tola wzruszyła ramionami.

— Wiesz,—odparła,—że my kobiéty nie darujemy nigdy, jeśli nie dopniemy celu. Prędzéj czy późniéj, mężczyzna zapłacić nam musi, za pierwsze nasze kroki daremne. Ja wprawdzie wtedy wyszłam z honorem, ale ostatnie słowo nie przy mnie zostało, teraz podnosimy znów karty.

— Więc, niejesteś pewną siebie?

— Zaręczam, że ani na jedną linię nie odstąpię od swego ultimatum. Ale, jeżelim siebie pewną, to powodzenia mniéj znacznie. Znam przeciwnika: może być nierozegrana znowu.

— Czy niebyłaś za ostrą? on mógłby niewrócić...

Tola wzruszyła ramionami.

— Za trzy dni zobaczysz go znowu—rzekła. Tacy ludzie nie ustępują aż stracą zupełnie nadzieję powodzenia, a tracą ją wtedy dopiéro, gdy oczywistość wykole im oczy. Ale, czy w chwili ostatniéj usunie się lub téż ustąpi, nie mam pojęcia..

— Przyszłość okaże...

(d. c. n.) *Julijan Morosz.*

KWESTYA NIEMIECKA
NA SCHYŁKU XVIII WIEKU,
ZWŁASZCZA WE FRANCYI.

La France et l'Allemagne sous Louis XVI. Avec un appendice contenant des lettres et des mémoires inédits de Vergennes par Alexandre Traczewski, professeur à l'université d'Odessa. Paris. 1881. (1)

Pan Traczewski jest dość rzadkim w dzisiejszych czasach objawem uniwersalnego niemal historyka. Wyrosłszy na wytrwałém studyum archiwów rosyjskich, rozpoczyna on samodzielną historyczną pracę od dziejów polskich, które bogaci cenném, z prawdziwym talentem napisaném dziełem z dziejów XVI wieku (2); przerzuca się następnie na drugi koniec Europy i to w czasy najnowsze i ogłasza, po części na podstawie urzędowych sprawozdań posłów rosyjskich w Madrycie, źródłową rzecz o Hiszpanii (3); traktuje potém w niemieckiém piśmie nieobojętny i dla naszych dziejów alians austryacko-rosyjski z r. 1781 (4); przechodzi dalej do wewnętrznych dziejów rzeszy niemieckiéj i mierzy się z tak trudnym i tak zawiłym tematem, jakim była dotąd i jakim podobno jeszcze długi czas pozostanie kwestya niemieckiego związku książęcego r. 1785 (5); wreszcie w ostatnim czasie obiera sobie przedmiot z historyi fran-

(1) Datę 1880 położono na tytule przez omyłkę, przedmowa do dokumentów, które stanowią drugą część książki, nosi datę 13 lipca 1881.

(2) Polskoje bezkorolewije po prekraszczenii dinastii Jagiellonow. Moskwa, 1869. Zob. o téj książce sąd prof. W. Zakrzewskiego w dziele: Po ucieczce Henryka, Kraków 1878. Wstęp, IV.

(3) Ispania XIX wieka, 1871.

(4) Sybel'a Historische Zeitschrift, 1875, IV.

(5) Książka ta wyszła w języku rosyjs. w r. 1877.

cuskiéj, a raczéj historyi powszechnéj i obdarza historyografię francuską publikacyą, w któréj w sposób dość niemiłosierny obala przyjęte dotychczas zapatrywania na postać swego bohatéra. O interesie, jaki wzbudziła w francuskim świecie naukowym ostatnia ta, po francusku ogłoszona, praca historyka rosyjskiego, wystarczy, jeźli powiemy, że wywołała nader liczne oceny, a nawet formalną odpowiedź pióra kompetentnego w tym przedmiocie pisarza p. A. Sorel i dość energiczną replikę ze strony p. Traczewskiego (1). Komu nie obce, że polemika, zwłaszcza naukowa, jest rodzajem białego kruka we Francyi, ten już choćby w tym objawie będzie widział pewien dowód osobliwości książki pana T.

Bo téż w nowéj téj pracy, napisanéj sposobem ciętym, lapidarnym i w którym bynajmniéj nie znać usiłowań łamiącego się z trudnościami językowemi cudzoziemca, autor jéj, jak powiedziałem, niemal do góry nogami wywraca powszechne dotychczasowe mniemania. Nie jest naszym zamiarem iść za autorem lub jego przeciwnikami w labirynt ich dowodzeń; chcemy tylko zaznaczyć stanowisko historyka rosyjskiego, przedmiot pracy i ogólne rezultaty jego badań, przyczém się niejednokrotnie sama przez się nadarzy sposobność wypowiedzenia naszego osobistego o sprawach omawianych zdania.

I.

Kwestya niemiecka — powiada autor — gra rolę przeważną w dziejach Francyi. Jest ona wcześniejszą od innéj zasadniczéj kwestyi polityki francuskiéj, którą przeżyła i przetrwała, t. j. kwestyi angielskiéj. Mimo tę jéj ważność, daleko do tego, ażeby rzeczona kwestya niemiecka, albo wyraźniejszemi słowy, polityka mocarstw wobec rzeszy niemieckiéj, była należycie wyświeconą we wszystkich fazach jéj wieki trwającego rozwoju. Autor założył sobie wyświecić i objaśnić z ogólno-dziejowego stanowiska stan téj kwestyi niemieckiéj we Francyi za panowania ostatniego z Burbonów przed wielką rewolucyą francuską; a że przez cały niemal czas rządów tego monarchy ster spraw zagranicznych poruczony był hrabiemu Vergennes (1774 — 1786), przeto téż praca autora pojawiła się także pod tyt. La politique de Vergennes. Interes naukowy podobnego usiłowania uderza w oczy bez dalszych komentarzy. Kwestya niemiecka jest

(1) Zobacz artykuł p. Sorel p. t. Vergennes et sa politique, w tomie XV pisma Revue historique, r. 1881, p. 273, i odpowiedź p. Tr. w tomie XVI tegoż pisma pod tyt. Vergennes et ses apologistes, p. 327 (zeszyt z lipca-sierpnia 1881).

jakoby filarem, na którym się wspiera od trzech wieków z górą gmach całéj polityki europejskiéj; natomiast może są mniéj jasne właściwe znamiona i trudności, cechujące rozwiązanie tego zagadnienia.

Powiedziano to już tylekroć, a przecie może jeszcze niedostateczną ilość razy, że właściwym kluczem do rozwiązania zagadki t. zw. nowoczesnych dziejów Europy, jest należyte rozumienie historycznego antagonizmu, który w XVII zwłaszcza wieku wrogo od siebie oddzielił i do dwóch przeciwnych pchnął obozów dwa potężne domy: Habsburgów i Burbonów, z których jedni francuską, drudzy hiszpańską i czesko-węgierską dzierżyli koronę, ci ostatni łącząc z niemi, nie dziedzicznie wprawdzie ale faktycznie cesarskie Niemiec berło. Wzajemna walka tych dwóch dynastyj jest jakoby osią, około któréj obraca się myśl dziejowa; reszta mocarstw grupuje się już to około jednego, już około drugiego obozu. Hasłem w wielkim tym boju, gdy z widowni dziejowéj ustąpiły lub przynajmniéj na drugi plan zeszły interesa religijne, hasłem bojowém, mówię, jest niedopuścić owego *imperium universale*, do którego, wedle twierdzenia statystów francuskich, nigdy nie przestawał dążyć dom habsburski. Z upadkiem jednak hiszpańskiéj linii tego domu, która jako starsza i potężniejsza zawsze była właściwą dziedziczką światowładnych niegdyś zamysłów Karola V; z głębokim upadkiem Hiszpanii i niepomiernym wzrostem Francyi, pod berłem zaborczego Ludwika XIV-go, zagrażającéj bytowi drobniejszych potęg, zmienia się stan rzeczy i dotychczasowe hasło zwraca się właśnie przeciw temu mocarstwu, któremu dotąd w koncercie anti-habsburskim pierwsza i najważniejsza była przypadła rola, t. j. właśnie przeciwko Francyi Ludwika XIV. Niebawem okaże się, że dotychczasowe formy dziejowego życia już się przeżyły i że innym miejsca ustąpią. Powoli i nieznacznie poczyna się wykluwać nieznana dotąd idea równowagi europejskiéj. Wilhelm III angielski, który niegdyś w ciężkich opałach francuskiego najazdu zdołał uchronić od niechybnéj zguby rodzinną swą Holandyą, jest, można powiedzieć, twórcą lub przynajmniéj inicyatorem tego nowego kierunku. Wygaśnięcie hiszpańskiéj linii Habsburgów i przejście ich spuścizny pod berło Burbonów, jak z jednéj strony okazuje gwałtowną potrzebę téj nowéj zasady życia politycznego, tak też daje jéj zarazem wyborną sposobność okazania swéj żywotności i historycznego uprawnienia w 15-letnim niemal krwawym z Burbonami boju. Stwierdzona traktatami pokojowymi jeszcze bardziéj niż tą powszechną wojną nowa zasada — przypomina nagłą zmianę polityki angielskiéj i holenderskiéj w rokowa-

niach w Gertruydenburgu i wiadome powody téj zmiany— zawładnie odtąd życiem politycznem narodów europejskich i jakkolwiek nie bez wielkich zmian, to przecież stale i w gruncie rzeczy, w właściwéj swéj istocie, nienaruszona, będzie odtąd panować nad niém aż po dni dzisiejsze, które w stypulacyach niedawnego kongresu berlińskiego nową jéj nadadzą sankcyą.

Ta radykalna zmiana jednak zasady historycznéj, która w ostatnich wiekach kierowała życiem społeczeństw europejskich, nie mogła nie wywrzeć stanowczego wpływu na naturę polityki, a tém samém dyplomacyi europejskiéj. W dalszém następstwie odbiła się ona nawet na historyografii tych czasów. Wytłómaczę się zaraz bliżéj.

Polityka europejska, prosta dotąd i w ogólności, jak powiedziałem, łatwo polegająca na dualistycznym między Habsburgami i Burbonami antagonizmie, odtąd się niepomału wikłać i komplikować poczyna: dawne alianse i związki ustępują miejsca nowym; naturalni niegdyś sprzymierzeńcy, którzy w zgodném ze sobą działaniu przepędzili znaczną część dziejowego życia swego, spotykają się obecnie nierzadko w przeciwnych sobie obozach, ażeby, gdy minęła potrzeba chwili, gdy szala równowagi ku innéj poczęła przechylać się stronie, inne znowu nawiązać alianse i z równą je porzucić łatwością. Rozumie się to zwłaszcza o Holandyi, Portugalii, Prusiech, a nawet o Szwecyi i Anglii, ażeby z tego koncertu wyłączyć naszą rzeczpospolitę, która w tych czasach już i cienia porządnéj polityki nie miała. Im daléj też w wiek XVIII, tém bardziéj wikła się kwestya polityczna, dotycząca Niemiec, które teraz dopiéro właściwie zostają centralnym punktem polityki europejskiéj, niejako tą areną, na któréj się odtąd wytrwale będzie toczyć daremny, bo ostatecznie rezultatu w czasach o których mowa nie przynoszący, bój militarny i dyplomatyczny o supremacyą w nowéj Europie: areną podobną do téj, jaką w końcu XV i pierwszéj połowie XVI wieku stanowiły północne Włochy, jaką w XVII były hiszpańskie Żuławy i wolne a zjednoczone Niderlandy. Ten zaś wzrost dziejowéj ważności Niemiec, jako też, to coraz wzmagające się wikłanie polityki europejskiéj w odniesieniu do Niemiec, spowodowane są głównie: z jednéj strony przez niepomierne wzmożenie się Anglii, któréj królowie dzierżą w Niemczech elektorstwo hanowerskie, a z drugiéj jeszcze bardziéj, przez pojawienie się już to w samych Niemczech już u ich granic, dwu nowych potęg, obu pierwszorzędnego znaczenia, t. j. Prus i Moskwy, które niebawem do pięciu podniosą cyfrę wielkich mocarstw europejskich. Utrudnia to dziś jeszcze dla historyka zrozumienie tych czasów—jakoż czasy Maryi Teresy aż do téj chwili jeszcze czekają na swego historyka — a podówczas zbiło z tropu i zakło-

potało niejednego ze statystów europejskich. Uczuła tę trudność zwłaszcza dyplomacya francuska, w któréj od połowy XVIII wieku, w miejsce jednego, jak było dawniéj, dwa obok siebie istnieją prądy, spierające się ze sobą, a nieraz nawet wprost się wykluczające wzajemnie.

W istocie zasadą dawnéj tradycyjnéj polityki francuskiéj w jéj pierwotnéj czystości (jak mawiali w XVIII w. chwalcy i zwolennicy dawnego systemu) była, zainaugurowana jeszcze przez Franciszka I, a przez następców jego z rzadkiemi przerwami konsekwentnie naśladowana, przez Henryka IV i dwóch wielkich kardynałów zwłaszcza genialnie pojęta, polityka walki przeciwko Habsburgom, polityka, która w specyalnie nas tu obchodzących Niemczech przybierała charakter walki przeciwko głowie świętego rzymskiego imperyum, należącego tytułem faktycznie przez całe wieki do rodu katolickich królów Kastylii i Aragonii. Była to zarazem polityka protegowania książąt rzeszy niemieckiéj — i to bez różnicy wyznania — jako wewnętrznych wrogów i ustawiczną zaporę przeciw samowoli „nadwornéj kancelaryi“ wiedeńskiéj. Raz się pozbywszy stuletnich przeszło walk swoich z Anglią, Francya zwraca uwagę swoję na wschód i dąży nieprzerwanie do uzyskania tu, kosztem Niemiec, naturalnych swych granic, a zarazem moralnego i materyalnego wpływu w saméjże rzeszy. Kwestya niemiecka staje się, zwłaszcza od czasu kiedy z wstąpieniem Filipa V na tron hiszpański, według głośnego słowa Ludwika XIV wraz z Pirenejami znikł i antagonizm francuskich i hiszpańskich interesów, staje się mówię, jakoby duszą zagranicznéj polityki francuskiéj. Atoli w pierwszéj połowie wieku XVIII, jak już wspomniano, występują na horyzont polityczny dwie nowe potęgi, których działanie z konieczności niemało musi zmienić dotychczasową naturę kwestyi niemieckiéj. Wprawdzie na początku XVIII wieku nie wiele się jeszcze kłopotała Rosyą reszta Europy. Francuska przynajmniéj dyplomacya polegała w téj mierze najzupełniéj na mocarstwach, sąsiadujących z Rosyą, jéj wrogich a z Francyą oddawna złączonych węzłami przyjaźni i wspólnych interesów. Mocarstwami temi były Szwecya, rzeczpospolita Polska i Wysoka Porta. Atoli zapory te, które Rosyą trzymały zdala od Europy powoli słabną, tak iż mocarstwo rosyjskie stanie niebawem, wskutek zupełnéj zwłaszcza niemocy naszéj rzeczypospolitéj, niejako w sercu Europy, bo u granic rzeszy niemieckiéj i w ogólnych europejskich sprawach groźnie odtąd dopomni się głosu. Kwestya niemiecka załatwiać się w dotychczasowy sposób teraz już nie da, bo na szali losów rzeszy zaważył odtąd niemałym ciężarem wpływ rosyjskiego imperyum.

Ale nietylko zewnętrzny, nieistniejący lub przynajmniéj nie wiele dotąd uwzględniany, czynnik miał wpłynąć na skomplikowanie téj kwestyi. W sobie saméj i z siebie saméj miała się rzesza niemiecka przekształcić. W istocie, zamiast jednego wielkiego mocarstwa w Niemczech mamy ich tam od połowy XVIII w. dwa, dwa potężne państwa: Prusy stanęły obok Austryi (1). Małe niegdyś margrabstwo brandeburskie, istny wychowanek dyplomacyi francuskiéj, przybiera, po poprzedniem jeszcze wyniesieniu go do rzędu królestw, pod Fryderykiem II rolę wielkiego mocarstwa i w trzykrotnym zwycięskim boju zyskuje raz na zawsze wstęp do wielkiego koncertu państw pierwszorzędnych. Zachodziło pytanie, jak się wobec téj zmienionéj sytuacyi politycznéj Niemiec zachowa rząd arcychrześciańskiego króla.

Odpowiada na to pytanie pamiętny alians z r. 1756, zawarty pomiędzy Ludwikiem XV a cesarzową Maryą Teresą, reprezentującymi jakoby dwa przeciwne bieguny dotychczasowéj polityki europejskiéj: zdarzenie, jeźli odliczymy obie rewolucye, amerykańską i francuską i podziały Polski, z pewnością najważniejsze w dziedzinie faktów politycznych tak przecie bogatego w tego rodzaju wypadki XVIII wieku.

Nie wchodząc w rozjaśnienie trudnego, dotąd nie całkiem rozwikłanego zagadnienia: w jaki sposób nastąpiła tak zupełna zmiana, nietyle w dotychczasowym systemie europejskim (bo dawny system dualistyczny był już nadwątlony od przeszło pół wieku) jak właściwie w pojmowaniu kwestyi niemieckiéj, spytajmy raczéj, jaki był lub jaki mógł być program zwolenników i twórców tego nowego monstrualnego (jak mówili jego przeciwnicy) systemu; spytajmy o program, boć przecie dziś już nikt nie zechce widzieć w pamiętnym traktacie z r. 1756 jedynie owoc kaprysu czy intryg, obrażonéj przez Fryderyka W. a ujętéj przez cesarzowę Pompadury i p. Traczewski powiada z wielką słusznością, że gdy kto chce koniecznie dopatrzyć się wszędzie biograficznego żywiołu w dziejach, to niech nie zapomina, że poza faworytą królewską kryły się osoby, którym na imię było Choiseul, Broglie, Bernis i inne. Program ten zaś był w krótkich słowach następujący: Austrya osłabiona przez utratę Szląska; Prusy mają trwać i nadal, ale jako drugorzędne mocarstwo; Polska, Turcya, Szwecya a nawet Dania jak dawniéj miały stanowić zaporę przeciwko Rosyi. Otóż i nowy sposób pojmowania kwestyi niemieckiéj.

---

(1) Słowa *Austrya* używam przyjętym zwyczajem zamiast domu austryackiego Habsburgów. Wiadomo, że polityczna Austrya czyli cesarstwo austryackie powstało dopiero w roku 1804.

System równowagi oddawna w Europie panujący ma tedy być przeniesiony i zastosowany do Niemiec, tak jednak, iżby Francya wpływem swoim, co więcéj dyplomacyą, finansami i wojskiem swojém ciężyła po austryackiéj stronie; w ten sposób zdawało się nowe Prusy i dawna Austrya łatwiéj zdołają sobie wzajem dotrzymać kroku; wolniejsza z téj strony Francya będzie w stanie oddać się rozwiązaniu kwestyi handlowéj i kolonialnéj, o którą niedawno temu z Anglią, od długiego czasu przerwane, odnowiła boje.

W podobny sposób, powiedzmy to zaraz z góry, pojmowała kwestyą niemiecką i dyplomacya *rosyjska*, mianowicie za panowania Katarzyny II. Już oddawna, od niepamiętnych prawie czasów, związki przyjaźni i wspólny interes głównie przeciw Polsce łączyły w. książąt moskiewskich z domem habsburskim; skoro zaś w w. XVIII Rosya wystąpiła czynnie w sprawach Europy, po raz pierwszy w roku 1747, a właściwie jeszcze poprzednio w sprawie spornéj elekcyi polskiéj r. 1733, stało to się w obu razach w przeciwieństwie i na niekorzyść Francyi, a poniekąd i złączonych z nią Prus. Elżbieta jakkolwiek z pomocą Francyi wstąpiła na tron, była przez cały czas rządów swoich zaciętą przeciwniczką jéj alianta Fryderyka II i jego zaborczych planów. Fryderyk II, mówiono w Rosyi, niebezpieczniejszy jest dla niéj, niżeli Szwecya, Polska i Francya. Król pruski sam wyznawał, że jedynie śmierć Elżbiety, zaszła w najkrytyczniejszéj dlań chwili, zbawiła go od niechybnéj, jak sądził, zguby. Krótkie i bezmyślne panowanie Piotra III nie może tu wchodzić w rachubę, a Katarzyna II ledwie objęła ster rządów, oświadczyła zaraz w pierwszym swym manifeście, że Prusy uważa za śmiertelnego wroga Rosyi. P. Traczewski dowodzi, że traktat, który Fryderyka II przez 16 lat w przyjaznych stosunkach utrzymywał z Katarzyną, nie sprzeciwia się bynajmniéj temu twierdzeniu, gdyż traktat ten miał jedynie na celu wyzyskać Prusy przeciwko Polsce i pozwolić carowéj zwrócić się na południe przeciw Turcyi. Nadto obok traktatu z Prusami istniał jeszcze dawny, niebawem odnowiony traktat z rywalką Prus, Austryą. Celem tedy polityki rosyjskiéj w Niemczech, tak kończy swe rozumowanie p. Traczewski, było utrzymać siły niemieckie w równowadze, jakiéj dla swych celów potrzebowała Rosya (1).

Wobec tego jednakiego pojmowania kwestyi niemieckiéj na dwóch przeciwległych krańcach Europy samo przez się nasuwa się pytanie, dlaczego do tak odmiennych, do tak wręcz przeciwnych

---

(1) Dowiódł tego autor już dawniéj (1877), w powyżéj wspomnianém swém dziele o związku książąt niemieckich.

doszło rezultatów? A że te rezultaty były w istocie wielce odmienne i różne od siebie, na to nie trzeba przywodzić na pamięć ani wypadków ostatniéj wojny prusko-francuskiéj, ani ogłoszenia cesarstwa niemieckiego w dawnéj siedzibie Burbonów i przeciwstawiać temu upadkowi Francyi ustawiczny, niczém nie wstrzymany wzrost Rosyi. Nie potrzeba zaś bynajmniéj tak daleko sięgać w przyszłość, bo już za życia twórcy aliansu austryackiego Ludwika XV, coraz bardziéj malał i niknął wpływ Francyi na rzeszę niemiecką, póki mu późniéj zwycięstwa armii rewolucyjnych i wojenny geniusz Napoleona I, nowéj, przeważnéj, ale jak się okazać miało, chwilowéj tylko nie nadały przewagi. Spowodowało to wielu historyków i statystów do srogiego ganienia owego aliansu austryjackiego. Broglie, niegdyś sam jeden z twórców jego, pisał z widoczną przesadą w r. 1775, że Francya, dzięki fałszywéj drodze, na któréj się zabłąkała w alians z Austryą, zeszła do znaczenia trzecio- lub zgoła czwarto-rzędnego mocarstwa.

Pan Traczewski innego jest zdania. Według niego przyczyna leżała gdzieindziéj, leżała przedewszystkiém w głębokim upadku politycznéj Francyi wogóle, a monarchii francuskiéj w szczególności. Ale specyalny bezpośredni powód, dla którego zainaugurowany w r. 1756 zwrot w pojmowaniu kwestyi niemieckiéj nie przyniósł dla Francyi pożądanych owoców, p. Tr. upatruje w rychłém, niemal natychmiastowém *porzuceniu właśnie tego nowego sposobu widzenia rzeczy*, i to przez te same osoby, które najczynniéj przyłożyły się do zawarcia traktatu z r. 1756. Sam Ludwik XV, Broglie, kardynał Bernis, zmienili swe przekonania. Jedyny Choiseul wytrwał konsekwentnie w nowym sposobie zapatrywania, ale Choiseul tylko krótki czas sterował nawą polityki francuskiéj i to jeszcze w czasie owego wielkiego znużenia, które zapanowało w Europie po wojnie 7-letniéj. „Można powiedzieć—konkluduje p. Tr.—*że alians francusko-austryacki istniał tylko na papierze.*“ Zdaniem historyka rosyjskiego tak wielką była siła dawnego systemu politycznego, taka tęgość rutyny dyplomatycznéj, w któréj wyrosły ówczesne generacye statystów francuskich, że ledwie się poważono zrobić krok jeden w odmiennym kierunku, a już się ze strachem cofnięto napowrót, by dawno ubitym iść daléj torem. Jako owoc tego ducha rutyny, który charakteryzuje, według zdania autora, ówczesną dyplomacyą francuską, jako dokument, zarazem popierający to jego twierdzenie, uważa p. Tr. słynną *korespondencyą sekretną* króla Ludwika XV, którą dopiero ostatnia publikacya księcia Broglie w prawdziwém wystawiła świetle (1).

(1) Le secret du roi. Correspondance secrète de Louis XV avec ses agents diplomatiques 1752—1774, par le duc de Broglie, de l'académie française. Paris, C. Levy, 1878. 2 tomy.

Nie była tedy ta korespondencya, za co ją dotąd uważano, kapryśną zabawką lub rezultatem małoduszności Ludwika XV, lecz była wyrazem dawnego systemu, który nie licząc się ze zmianą sytuacyi, wzrostem Prus i Moskwy spowodowaną, w walce z Habsburgami i w popieraniu książąt rzeszy niemieckiéj, a zatém i Prus, widział główne zadanie Francyi. Jako przedstawicielka téj idei przetrwała téż owa korespondencya sekretna całą generacyą. Tutaj drobna uwaga. Nie chcę przeczyć, że korespondencya sekretna z czasem stanęła w szorstkiéj opozycyi z jawną polityką dworu wersalskiego, atoli samo porównanie dat chronologicznych poucza, że w swoim zawiązku nie miała ani cienia charakteru opozycyjnego. Poczęła się bowiem ta korespondencya w r. 1745, a choćby nawet dopiero w r. 1752, w każdym razie tedy w czasie, kiedy jeszcze mowy nie było we Francyi o zmianie dotychczasowego systemu politycznego. Że mimo to była sekretną, tego przyczyny chyba już widocznie w osobistym charakterze Ludwika XV szukać należy. Jeżeli zresztą w jednym z licznych swych memoryałów Broglie powiada, że pierwszym przedmiotem korespondencyi sekretnéj była Polska, to się to, mojém zdaniem, nie sprzeciwia bynajmniéj owemu wyżéj wyłożonemu zapatrywaniu pana Tr., albowiem zapominać nie należy, że mocarstwa, które po śmierci Augusta II pognębiły wolność elekcyi polskiéj i usunęły kandydata dworu wersalskiego, były właśnie, jedno, odwiecznym wrogiem Francyi t. j. cesarstwo Habsburgów (jeźli o cesarstwie ich mówić można), a drugie, t. j. Rosya, naturalnym rywalem Prus. Przewodnią tedy myślą rzeczonéj korespondencyi było zgnieść lub upokorzyć oba te mocarstwa, za pomocą aliansu, do którego obok Francyi i trzech jéj wschodnich przyjaciół: Polski, Szwecyi i Turcyi, miały wejść także i Prusy. Konsekwentnie téż z tą przewodnią myślą „królewskiego sekretu,“ powiada nam wspomniany Broglie, jeden z głównych współpracowników tajnéj korespondencyi — ale już w czasie aliansu z Austryą — że kiedy w wojnie siedmioletniéj ministeryum jawne (ministère ostensible) wojowało z Prusami, ministeryum tajne myślało o nowém nawiązaniu dawnych, traktatem z r. 1756 przerwanych, węzłów z dworem berlińskim. Pan Tr., jak już z powyższego wynika, uważa ten kierunek za zgubny i jemu przypisuje niemoc dyplomatyczną Francyi. My z naszego stanowiska, nie dając się uwieść złudzeniom sentymentalnéj polityki, nie powinniśmy téż z drugiéj strony zapominać, że ten system, którego wyrazem stała się korespondencya sekretna, mniejsza o to czy mu przyświecała genialna myśl polityczna czy téż tylko odziedziczony po przodkach zmysł kancelaryjnéj rutyny, owe, jak mówiono, zasady polityki francuskiéj w jéj pierwotnéj czystości, nie

zbękarconéj jeszcze austryackimi aliansami (1), albo téż ostatecznie tylko zagadkowy kaprys ukoronowanego rozpustnika, którego wysokiéj, zdaniem mojém, inteligencyi politycznéj (p. Tr. innego jest zdania) nie umiał dotrzymać kroku charakter jego; że ten system, mówię, jeżli nie zdołał istotnie przeszkodzić upadkowi naszéj ojczyzny, to przecie wytrwale i uczciwie dążył przynajmniéj do tego, ażeby mu zapobiedz. Wspomniany Broglie powiada wyraźnie, a mnogie dokumenty, jeszcze przed 15 laty przez Boutaric'a wydane stwierdzają prawdziwość tego jego twierdzenia, że tajne ministeryum starało się zapobiedz „smutnemu rozwiązaniu odgrywającéj się na północy tragedyi." A przecie o téj saméj tragedyi wyrażał się pan d'Aiguillon, istny minister „na okaz" (bo *ministre ostensible*), godny sługa swego pana, jakkolwiek zacięty wróg Austryi, że „dwór wersalski patrzyłby obojętnie na wszystko, cokolwiek-by mogło wydarzyć się w Polsce" (2).

Ale odszedłem od właściwego przedmiotu. Ludwik XVI ledwie wstąpił na tron swego dziada, kazał spalić całą tajną korespondencyą i nawet nie spytał o jéj treść. Równocześnie jednak powołał do steru spraw zagranicznych hrabiego Gravier de Vergennes, gorliwego współpracownika rzeczonéj korespondencyi. P. Tr. powiada, atoli bez podania dowodów, że świeżo wydane źródła dowodzą antiaustryackich tendencyi Ludwika XVI. Gdzieindziéj mówi o jego „śmiertelnéj nienawiści" do Austryi, nazywa go wychowankiem tego koła, które przechowywało w pierwotnéj ich czystości dawne tradycye polityki francuskiéj. Jeden nawet rozdział pracy p. Traczewskiego zatytułowany jest: *L'austromanie de Louis XVI.* Gdy Vergennes również nie był przychylnym austryackiemu aliansowi, nie było już więcéj powodu do tajnego korespondowania, gdyż król i minister byli w zupełnéj ze sobą zgodzie, nie miał jeden co ukrywać przed drugim. Czemuż jednak, skoro już w r. 1770 ustąpiła z francuskiego ministeryum główna podpora nowego, na aliansie z Austryą opartego, systemu, to jest książe Choiseul, czemuż, pytam, rzeczona korespondencya przetrwała mimo to jeszcze całe 4 lata, jakkolwiek książe d'Aiguillon nie grzeszył z pewnością zbytnią do Austryi sympatyą? Podobniejsze do prawdy, że wnuk był uczciwszy od dziada, że miał większe wyobrażenie o swéj godności i obowiązkach monarszych, że mniéj się lubował w krętych drogach,

---

(1) Principes de l'ancienne politique française dans sa pureté primitive, avant qu'elle fût adultérée par les systèmes autrichiens.

(2) La cour de Versailles verrait avec indifférence tout ce qui se passerait en Pologne. Flassan, Hist. de la diplom. Franç. VII, 87.

i że wreszcie, miasto pani Pompadour, Dubarry i pensyonarek osławionego zwierzyńca (*parc aux cerfs*) miał przy swym boku jednę tylko kobiétę własną małżonkę, o którėj nie należy zapominać, że to była córka Maryi Teresy.

II.

Nie może być zadaniem niniejszego artykułu, który ma na celu jedynie zwrócić uwagę publiczności naszéj na doniosłe pytania poruszone przez pana Tr., nie może, powiadam, być jego zadaniem, przechodzić szczegółowo we wszystkich jéj fazach rozwój kwestyi niemieckiéj za ministeryum hr. Vergennes, jak ją z powszechno-dziejowego stanowiska przedstawia i ocenia autor omawianéj pracy. Wystarczy, skoro po kilku rysach do charakterystyki kierującego ministra, podamy parę ogólnych uwag o jego polityce, jak ją p. Tr., a jak my pojmujemy. Autor, który, jak wspomniano, nie sympatyzuje z owemi pierwotnemi zasadami polityki francuskiéj w jéj dawnéj czystości, nie może téż mieć wielkiego uznania dla wyznawcy tych zasad, jakim według niego był Vergennes. Trudno w istocie o sąd surowszy, niżeli ten, który p. Tr. wydaje o zdolnościach ostatniego z wydatniejszych ministrów dawnéj monarchii francuskiéj; a dodać potrzeba, że dotychczasowy sąd historyków francuskich był przeważnie korzystny dla dziejowéj reputacyi ministra. Jeszcze niedawno pewien kompetentny w téj mierze autor wyrażał się z prawdziwym entuzyazmem o swym bohatérze: „Jedno z wielkich imion, jeden z ostatnich wielkich przedstawicieli dawnéj naszéj dyplomacyi" (1). P. Tr. innego jest zdania. Było to, powiada on o panu Vergennes, istne uosobienie téj monarchii niedołężnéj, chwiejnéj i fałszywie pobożnéj (dévote), która niebawem z trzaskiem runąć miała. Jaki pan, taki sługa, pomyślał autor. Jak zresztą Ludwik XVI był lepszym od systemu, owego osławionego *ancien régime*, tak i Vergennes więcéj był wart, aniżeli system, który przedstawiał. Była to przecie, ciągnie daléj autor, uosobiona gnuśność (l'inertie) i pokora; bał on się wszystkiego i wszystkich, a nikt jego się nie bał. Sam, z umysłu, nie obraził nikogo; od drugich, intrygantów zarówno, którzy go otaczali, jak i od obcych rządów częste znosił urazy; ale jakże to czynił? milczał i robił, jak gdyby ich nie czuł zgoła. Zdawało się, jakoby Vergennes nie pragnął niczego innego, jak tylko przesunąć się niepoznany

---

(1) Geffroy: Gustave III et la cour de France, I, p. 125. Świadectwa korzystne o panu V. zebrał Sorel w swéj krytyce zapatrywań Traczewskiego, p. 278.

po świecie, z obawy, żeby sobie jakiego nieszczęścia nie ściągnął na głowę. Zdarzało się, że w przeciągu dwóch dni dwa przeciwne o jednéj i téj saméj sprawie wyrażał zdania. Historyk rosyjski, pomimo dokumentu, na którym chce oprzeć to swoje twierdzenie, idzie widocznie zadaleko, kiedy powiada, że Vergennes już to kłamał i odwoływał, już też podsuwał jedne akta w miejsce drugich i że fałszował daty dokumentów. Ale p. Tr. oddaje najzupełniejszą sprawiedliwość prywatnemu charakterowi ministra, i w tym względzie przyjaciele hrabiego mogą być wdzięczni autorowi, że z bogatych skarbów francuskiego „archiwum narodowego“ (na którém w ogóle cała praca jest opartą) przytoczył wyjątki z korespondencyi ministra, które w istocie okazują go w nader sympatyczném świetle. Nie dziw, że w czasie, w którym wodząca opinią na pasku filozofia, przyklaskiwała otwarcie rozbiorowi Polski, minister, który takie jak Vergennes wyznawał zasady, był przedmiotem drwinek a nawet pośmiewiska publiki. W pracy, o któréj mowa znajdujemy też kilka próbek wierszowanych pamfletów, którymi, niczego nie szczędzący dowcip francuski, chłostał osobę pierwszego ministra arcychrześciańskiego króla. Łatwiéj pisać pamflety, aniżeli być cnotliwym na tak wysokiém jak Vergennes stanowisku. Skoro to są rzeczy świeżo wydane, a osobistość pana Vergennes w najwyższym stopniu winna nam być sympatyczną, nie waham się przytoczyć tu niektórych z téj korespondencyj wyjątków.

„Jeżeli“—pisał Vergennes do swego króla, ledwie objął stér spraw zagranicznych i pod świeżém jeszcze wrażeniem niedawno dokonanego rozbioru Polski,—„jeżeli siła jest prawem a użyteczność tytułem posiadania, to jakież na przyszłość będzie bezpieczeństwo mocarstw? Jeżeli ten rozbój polityczny jeszcze dłużéj potrwa, to pokój rychło będzie gościńcem, otwartym jedynie zdradzie i wszelkiemu bezprawiu.“ Innym razem pisze Vergennes: „król francuski jest tak potężnym, iż może się obyć bez ni.zyjego upokorzenia? Do barona Breteuil pisał: „Gdyby wszystkie mocarstwa chciały uznać jak mało warte są sztuczki polityczne, świat byłby lepiéj rządzony, ministrowie mniéj umęczeni, a ludzkość nie stękałaby tak pod ciężarem błędów, do jakich szalona ambicya prowadzi... Kiedyż już raz będziemy w tém szczęśliwém położeniu, w którém można będzie jawnie stwierdzić swe zamiłowanie w pokoju i odsłonić zamiary bez narażenia się na zarzut niedołęstwa? Jeślibym kiedy ujrzał rzeczy w tym błogim stanie, powiedziałbym wtedy z całego serca: *Nunc dimittis*... Teraz puścisz sługę swego, Panie!“

Widzimy, był to istny *principe de la paz*, prawdziwy „książę pokoju“, który wzniosłe nauki religii chrześciańskiéj starał się w życiu

publicznėm w praktyczne wprowadzić zastosowanie. Ale sentymentalizm w polityce, jeźli kiedy, to podówczas nie był dozwolony. To téż ten człowiek, z swemi zasadami sprawiedliwości międzynarodowéj, dziwnie musiał odbijać od Katarzyny II, od Fryderyka II, od Józefa II, Kaunitz'a i tylu innych, których wydał bogaty w téj mierze schyłek XVIII wieku. Zda się, jak gdyby duch jakiegoś idealnego pietyzmu, u Francuza tém trudniejszy do zrozumienia, tchnął ze słów ministra, co w parę lat po dokonaniu największego gwałtu, o jakim pamięć zachowały dzieje, mógł spokojnie pisać do swego pana: „Król arcychrześciański oddycha tylko dla dobra rodu ludzkiego; podobny do najwyższego sędziego, może on uważać tron swój jako trybunał, który Opatrzność ustanowiła, ażeby przezeń nakazać uszanowanie dla praw i własności władców... Jego wyroki przyjmie świat z uszanowaniem, przykład jego więcéj sprawi niż oręż jego. Sprawiedliwość i pokój zapanują wszędzie, a cała Europa będzie z wdzięcznością przyklaskiwać dobrodziejstwom jego, przekonana, że pochodzą od jego mądrości, cnoty i wielkoduszności." Tylko nawiasem zauważmy, że Vergennes nie był dworakiem. Takie to niemal prawo dziejowe, częstém stwierdzone doświadczeniem, że im duszniejszą i cięższą rzeczywista atmosfera, tém pochopniéj tkliwsze i czulsze umysły uciekają się w urojone światy własnéj fantazyi, żeby w nich znaleść ochłodę i otuchę w ciężkich próbach przygniatającéj ich zewsząd rzeczywistości. W tym czasie w Niemczech pisał sielanki Gessner, w Francyi Bernardin de St. Pierre w prześliczne obrazki układał świat swoich marzeń. W tym wieku pseudo-reformatorskim, gdy szczęście narodów obliczano na ilość dusz i kwadratowe mile, a w bezprawnych zaborach upatrywano szczyt mądrości politycznéj, miło widzieć męża, który był dość wysoko postawion, ażeby głos jego usłyszała historya i wdzięczne dlań zachowała wspomnienie. Jest to rzecz osobistego sądu, ocenić czy Vergennes zasłużył na godność ministra, którą, rzecz nieobojętna, aż do swéj śmierci przez lat 12 piastował, czy téż, jak uważa p. Tr., był raczéj winien pozostać człowiekiem prywatnym albo drobnym urzędnikiem kancelaryjnym. Zimna analiza wzruszy podobno ramionami na tę czułostkowość ministra, co ostatni kierował losami wielkiéj monarchii: sympatyi—historya, ta przynajmniéj, co według wyrażenia francuzkiego historyka (H. Martin) kochać, czuć i wraz z innymi cierpieć umie, z pewnością mu nie odmówi. Do dziś dnia to zresztą jeszcze nie dowiedzione, czy dyplomacya a uczciwość i zasady sprawiedliwości koniecznie różnymi muszą iść tory. Jest w tém traf szczególny, czy też opatrznościowe zrządzenie nie bez głębokiego znaczenia, że tak ostatni monarcha, jak minister, co ostatni zamknął ów długi szereg sławnych

statystów francuskich, byli lepsi i nieporównanie więcéj warci od wielu swych poprzedników. Król odpokutował na rusztowaniu winy swych ojców; minister umarł na 3 lata przed wybuchem rewolucyi i zapewne tém tylko (jeżli się tak wyrazić wolno) uratował od gilotyny głowę. Przynajmniéj każe się wszystko domyślać, że gdyby był żył dłużéj, i Vergennes wraz z Ludwikiem XVI-m padłby ofiarą wielkiego ruchu.

III.

Niedołężną jednak, niedołężną w zupełném znaczeniu tego wyrazu nazywa p. Tr. politykę pana de Vergennes, politykę dogorywającéj monarchii francuskiéj. Zdaniem jego, ani w kwestyi bawarskiéj, ani w kwestyi wschodniéj, po części dość ściśle z niemiecką złączonéj, ani w sprawie zamiany terytoryum i w sporach między Austryą i Holandyą, ani wreszcie odnośnie do usiłowań Fryderyka II, celem utworzenia ligi książąt niemieckich, nie powiodło się ministrowi francuskiemu. Była to wiecznie polityka pośredniczenia, zwlekania z dnia na dzień, długich memoryałów, wreszcie nawet czasem i energicznych przedsięwzięć, których jednak nigdy nie wykonano. Wnosząc z usposobienia ministra, jak je p. Tr. maluje, dość to wszystko do prawdy podobne, jakkolwiek pamiętać należy, że minister spraw zagranicznych nie był zarazem ministrem finansów, koniecznych do energicznego przeprowadzenia powziętych zamysłów, a światu całemu wiadomo, w jakim stanie była podówczas narodowa gospodarka fracuska, i że ten smutny jéj stan miał nie póżniéj jak we trzy lata po śmierci p. Vergennes doprowadzić do zwołania stanów generalnych, a tém samém być pierwszym bezpośrednim powodem wybuchu owéj lawy, co niebawem miała z nadsekwańskiego wulkanu (według słów naszego Adama) zalać cały dawny porządek rzeczy. Nawiasem tylko i jako *curiosum* dodam, że się znalazł historyk nam dosyć bliski, bo nikt inny jeno Rulhiére, podobno, który się nawet poważył twierdzić, jakoby Vergennes był pierwszą przyczyną zwołania stanów generalnych (1). Powtarzam, że sądząc po usposobieniu nie dość rezolutném francuskiego ministra, twierdzenie powyższe pana Tr. jest możliwe a nawet prawdopodobne; jakkolwiek, ażeby sąd ten był niezbity i żeby uderzał w oczy w sposób jaśniejszy i bardziéj przekonywający, potrzebaby może nieco szczegółowsze podjąć tych

---

(1) Zob. Le comte de Vergennes, première cause des états-généraux, bezim. ale przypisywane autorowi dziejów nierządu polskiego.

kwestyi badanie, niżeli to mógł uczynić autor w pracy, w której całą niemiecką Ludwika XVI-o rozbiera i ocenia politykę. Jednéj tu prócz tego pozwolę sobie uwagi, która jednak dotyczy zasadniczego zapatrywania autora. Mojém zdaniem, jeżeli w poszczególnych kwestyach, dzięki zapewnie właściwemu sobie brakowi energii, Vergennes nie był szczęśliwy, to przez to jeszcze nie zdaje mi się, ażeby téż jego zapatrywania polityczne były fałszywe, ażeby zatém i ogólny kierunek jego polityki, o ile Niemiec dotyczył, był błędny. Vergennes sam powiedział: „Nie byłbym był zawarł traktatu z r. 1756, ale dopóki ten traktat istnieje, winienem go zachować.“ Mimo to nie da się zaprzeczyć, że sympatye polityczne pana Vergennes nie były po stronie domu austryackiego. Mnogie dokumenty przytoczone przez p. Tr. nie pozwalają wątpić o tém. Ale i o zbytnią dla Prus sympatyą nie pozwalają posądzić go podane w pracy p. Tr. wyjątki z jego korespondencyi. Fryderyka II kładzie Vergennes bez ceremonii, w rzędzie „*rabusiów politycznych*“ (brigands politiques); nazywa go na inném miejscu „*un chef de bande*“; jeszcze gdzieindziéj „wściekłym z zazdrości kochankiem“ (*un amant jaloux et furieux*). To co do „wielkiego“ króla. Że jego polityki Vergennes nie uważał za lepszą od niego samego, mnogie tego dałyby się przytoczyć dowody. W r. 1774 pisze Vergennes m. i. do Ludwika XVI. „Ulubionym zamiarem króla pruskiego jest poróżnić w. król. mość z cesarzem w tém jest i był zawsze jego interes; gdy jednak alians w. kr. mości z dworem wiedeńskim wzajem obu mocarstwom pożytek i korzyść przynosi jest nadzieja, że cesarz nie da się schwytać w łapkę itd.“

Jakąż tedy była polityka ministra francuskiego? Widocznie lawirować pomiędzy dwoma mocarstwami, nie zrywać z żadném, i trzymać je wzajem w równowadze, jedno przez drugie. I była to, mojém zdaniem, polityka jedynie stosowna. Mogło się jakiś czas zdawać mężom stanu w Wersalu, że potęga Fryderyka II-o może się stać groźną dla Francyi, że Austrya utratą Szląska osłabiona, mniéj jest niebezpieczną dla niéj; można się było zwłaszcza obawiać zaborczego umysłu Fryderyka; mógł Broglie pisać jeszcze w r. 1773-m, „Króla pruskiego można poczytać jako najpotężniejszego w obecnéj chwili ze wszystkich monarchów europejskich“; atoli w obec rzeczywistéj słabości Prus, ich jedynie sztucznéj, bo tylko geniuszem przebiegłego monarchy podtrzymywanéj wielkości, podobna opinia długo utrzymać się nie mogła. Sam ów zresztą Broglie był właśnie najgorętszym zwolennikiem aliansu pruskiego. Fryderyk II postarzał się, wrażenie zwycięstw jego odniesionych w młodszych latach zatarło się powoli; przedsiębiorczy niegdyś, energiczny i śmiały, stał on się teraz zgryźliwym, skąpym i podejrzliwym, ustawiczną podagrą tra-

pionym starcem. W listach jego pisanych do siostrzeńca, a wydanych przez Ranke'go czytamy dewizę, która dokładnie znamionuje usposobienie pustelnika z Sans-Souci w tych czasach. Dewizą tą jest: *Festina lente*. Fryderyk II, najśmielszy w młodym wieku nowator, stał się konserwatywnym na stare lata, stał się „Habsburgiem", jak z głęboką ironią przyznaje sam p. Tr. Miejsce jego, albo przynajmniéj jego rolę objął „ambitny i romantyczny" syn Maryi Teresy, Józef II, którego „wrzący i marsowy geniusz" stał się, jak niegdyś młodego Fryderyka daleko sięgające zamysły, postrachem Europy. Wiedziano dobrze w Wersalu, że armia i finanse austryackie nie ustępowały w niczém armii i finansom pruskim. Józef II zaczął od Polski; potém jak się ironicznie wyrażał król pruski, „poprawił fizyonomią" (*régla la figure*") swéj monarchii na lewym brzegu Dunaju; wreszcie zabrał Turkom w r. 1777 Bukowinę. Teraz dopiéro zwrócił się na zachód. Czyż miała Francya dopuścić, ażeby zabrał Bawaryą? lub w parę lat później, żeby ją zamienił za oddalone i niepewne, w każdéj chwili łupem Francyi stać się mogące Niderlandy austryackie? lub téż wreszcie, żeby w połączeniu z Rosyą zawojował i podzielił się Turcyą? Obawy, jakie obudzała ta ambicya Józefa II-o, wyraził sam Vergennes bardzo dobitnie w podanym w r. 1777 królowi swemu memoryale. Powiada on tam między innemi, że Austrya dopóty będzie przyjazną Francyi, dopóki się będzie obawiać Fryderyka. „Raz obaliwszy potęgę króla pruskiego, gdzie znajdziemy zaporę przeciw ambicyi domu austryackiego?" (1). Kto bezstronnie i bez fałszywego sentymentalizmu ocenia sytuacyą, a na minione wieki nie patrzy przez szkła późniejszych wypadków, temu słowa te łacniéj trafią do przekonania, niżeli interesowne acz przezto nie mniéj szczere żale Maryi Teresy, które p. Tr. przytacza w swéj pracy. Pisała ona w tym samym mniéj więcéj czasie (1778) do córki (Maryi Antoniny) jak następuje: „On to (Fryderyk) chce zostać dyktatorem i protektorem całych Niemiec. I wszyscy wielcy monarchowie nie wezmąż się za ręce, ażeby przeszkodzić podobnemu nieszczęściu, które prędzéj czy późniéj na wszystkich spadnie? Nie mówię tu o Austryi, bo to sprawa wspólna wszystkim książętom. Przyszłość się nam nie uśmiecha. Ja tego nie dożyję, ale moje drogie dzieci i wnuki moje, nasza święta religia, nasze dobre ludy, uczują to aż nadto..." Marya Teresa mówiła *pro domo sua*, a mówiła pod wrażeniem ciężkich strat, których nigdy nie była wstanie przeboleć. Możnaby jéj słowa wziąć za proroctwo, gdyby proroctwa miały jakie znaczenie w historyi, która się przeszłością i tylko przeszłością zajmuje. Że dwór wersalski nie poszedł na lep tych i im

(1) Flassan, VI, 127 (wyd. z r. 1804).

podobnych w listach Maryi Teresy tak częstych lamentów, i że się we Francyi nie łudzono co do rzeczywistego stanu rzeczy, dowodem właśnie wspomniany już memoryał pana Vergennes. Pisze on w nim daléj, przechodząc do innego szeregu myśli: „Z tego, iż dom austryacki straszniejszy jest dla Francyi, niżeli król pruski, nie wynika jeszcze, żeby nie należało troskliwie śledzić także ambicyi tego ostatniego. Wszelki nabytek, któryby wzmógł potęgę jego nad Renem, winien być przedmiotem zapobiegliwości dworu francuskiego; natomiast należy wedle możności przeszkadzać, ażeby go nie uszczuplono nad Odrą i nad Łabą (1)". Rozumiéć należy ażeby go nie uszczuplił dom austryacki. Znakomity historyk i statysta czeski; Franciszek Palacky powiedział w r. 1848 czy 1849-m, w chwili, kiedy groźne ruchy we wszystkich częściach monarchii austryackiéj całym jéj bytem zachwiały, że gdyby Austrya nie istniała, toby ją w interesie równowagi europejskiéj wynaleźć, stworzyć należało. *Mutatis mutandis* mogliby byli statyści francuscy w wieku przeszłym to samo o Prusiech powiedziéć, wprawdzie nie ze względu na równowagę europejską, ale w interesie podobnéj równowagi w Niemczech i w interesie owéj zaciętéj, jaką od wieków Francya z Habsburgami toczyła walki. W istocie, gdy potęga Szwecyi w początku 18-o wieku głęboko upadła i gdy na niczém spełzły tak często ze strony Francyi ponawiane usiłowania rzucenia Polski przeciw domowi habsburskiemu, nie pozostało francuskiéj dyplomacyi nic innego jak związać się albo z Prusami albo z Rosyą. Co do Rosyi, to jak już wyżéj powiedziałem, uważano ją w pierwszéj połowie XVIII-o w. jeszcze za barbarzyńską i niewiele nią się kłopotano, zwłaszcza we Francyi; była ona nadto odwieczną aliantką Habsburgów. Pozostały jedynie Prusy i tych się téż nadal trzymać postanowiono, z zastrzeżeniami, które z powyższego jasno wynikają. W polityce francuskiéj z drugiéj połowy XVIII-o wieku trzy odmienne dadzą się kolejno odróżnić fazy. Pierwszą była owa tradycyjna polityka walki przeciw Habsburgom, polityka, którąby było przesadném nazwać pruską gdyż nią nie była, będąc jedynie *anti-austryacką polityką*. Na nowe tory wstąpiła zewnętrzna polityka Francyi z zawarciem aliansu z r. 1756-o; była to odtąd *polityka austryacka, anti-pruska*. Trzecią fazę wreszcie zainaugurowali twórcy i współpracownicy tajnéj korespondencyi, a prowadził daléj Vergennes: ta nie była ani austryacką ani pruską—była to *polityka równowagi*. Jakoż, mojém zdaniem przynajmniéj, jedynie stosowną dla Francyi polityką było wzajemne utrzymywanie w równowadze obu wielkich mocarstw niemieckich, a tak właśnie postępo-

---

(1) Tamże.

wał Vergennes. Tego rodzaju polityka jak najlepiéj załatwiała kwestyą niemiecką, właśnie dla tego, że utrzymując *status quo* w Niemczech, nie załatwiała zgoła téj kwestyi. Jedyném bo jéj załatwieniem, było narodowe złączenie się Niemiec pod jedném berłem, czy to w téj formie, w jakiéj je dziś widzimy czy wszelkiéj innéj, mniéj lub więcéj do niéj zbliżonéj. I tu dotykamy innego o wiele ważniejszego zagadnienia. O ile było w mocy statystów francuskich przeszłego wieku przewidzieć, względnie powstrzymać i przeszkodzić podobnemu kwestyi niemieckiéj rozwiązaniu. Pan Tr. wprawdzie nigdzie tego wyraźnie nie powiada, atoli wrażenie robi takie, jak gdyby na niedołężną politykę pana Vergennes chciał zepchnąć winę postępu narodowéj idei niemieckiéj. „*Gouverner c'est prévoir*," powiedział, niepomnę który statysta, podobno markiz d'Argenson, który w latach 1744—1746 był ministrem spraw zagranicznych. Atoli w 8-m dziesiątku lat ostatniego stulecia ani Sadowa ani Sedan przewidzieć się nie dały, boć jeźli już wówczas i daleko wcześniéj istniały i to bynajmniéj w ciemię nie bite praktyczne szkoły dyplomatów, w których nawiasem powiedziawszy, rzadko uczciwéj uczono polityki, to na odwet szkół proroków już od czasów starego zakonu na świecie nie było. Nadto, raz jeszcze powtarzam, mojém zdaniem nie mylił się bynajmniéj Vergennes, skoro Prusy uważał za mniéj niebezpieczne dla swéj monarchii aniżeli Austryą Józefa II. „Armia i skarb nie stanowią jeszcze mocarstwa," powiedział raz Vergennes, w przystępie niedobrego humoru, z odniesieniem do Prus; a że miał słuszność, i to słuszność najzupełniejszą, dowiodła najlepiéj względna niemoc Prus za następcy Fryderyka II, dowiodło przedewszystkiém owo budujące doprawdy bankructwo pruskiéj potęgi pod ciosami, jakie jéj w r. 1806-m zadali napoleońscy generałowie, bankructwo, jakiemu na szczęście i na chwałę innych narodów nie wiele podobnych w dziejach świata znajdziesz przykładów.

Pan Tr. wspomina w końcu swéj pracy o „*integracyi*" politycznéj Niemiec i powiada, że wszystko parło do tego połączenia się, do zjednoczenia w jednéj wielkiéj całości rozdartych ułamków rzeszy niemieckiéj. Bardzo wątpię, a raczéj stanowczo przeczę, ażeby już wtedy istniała w Niemczech ta dążność inaczéj jak w stanie drobnego, zgoła niedostrzeżonego zarodu. Ale *gdyby* nawet było inaczéj, gdyby w istocie już wówczas istniał w Niemczech ten prąd, jaki np. wśród ucisku rządów napoleońskich objawił się w nieudaném usiłowaniu majora Schilla (1809), *gdyby*, powiadam, to któż mógł przewidzieć, kto obliczyć, czy to zjednoczenie odbędzie się pod egidą Hohenzollerów czy Habsburgów, i kto przeto w przeszłym wieku mógł do tego zastosować swoje działanie? Dohm, chwalca Fryderyka II,

zachował w pamiętnikach swych ciekawe świadectwo o sile wrogich królowi pruskiemu uczuć, jakie panowały w Niemczech około r. 1780 (1). I nie dziw, całe on życie swoje, pół wieku blisko, targał się na powagę świętego rzymskiego imperyum, za nic miał jego wiekiem omszone tradycye; wiadomo, ile razy napróżno starał się o sklecenie związku książąt niemieckich na swoję korzyść, on, król przecie niemiecki, gdy tymczasem dyplomacya francuska przy lada jakiéj sposobności, bez trudu, tworzyła alianse i ligi wszelkiego rodzaju. Wiadomo także, z jakim niesłychanym trudem dopiéro pod koniec życia sklecił wreszcie ów mizerny „związek książąt," a sklecił jedynie dlatego, że zaborcze plany jego rywala, Józefa II, wystraszyły niedołężne książątka rzeszy z gnuśnego sybarytyzmu, do którego od dawna przywykli, i kazały im zapomnieć na chwilę o nienawiści, jaką doń czuli. U tłumów zaś, u mas, u ludu, u tego co ostatecznie stanowi właściwą, choć podówczas jeszcze bezwiedną siłę narodu, Fryderyk II sympatyi ni wpływu mieć nie mógł; nie miał go też w klasach inteligentnych i u ludzi pióra, bo dla jednych jak dla drugich za mało był Niemcem, za dużo Francuzem. Słowem, w położeniu, w jakiem się na schyłku XVIII-o wieku znajdowały Niemcy, sądzę, że nie pruski monarcha, ale jeżeli kto, to chyba jego młody, zapalny i jak on machiawelistyczny rywal i wielbiciel, Józef II, mógł coś wydobyć, wykopać, wygrzebać z konstytucyjnego śmieciska, jakiém na pociechę i pośmiech zarazem światu całemu świeciło, jak szerokie i długie, „święte rzymskie imperyum germańskiego narodu." Józef bo II-gi choć w swoich dziedzicznych ziemiach starał się ze znaną, sobie właściwą, bezwzględnością o przeprowadzenie niemieckiéj zasady, któréj wyłączne (wiadomo, z jakim skutkiem) chciał zapewnić panowanie. A ulubiony plan jego uzyskania Bawaryi, którego się podobno nigdy całkiem nie wyrzekł, równie jak i usiłowania, dążące do podniesienia powagi cesarskiéj, zdawały się świadczyć o dalekiéj doniosłości zamysłów jego i co do Niemiec. Atoli, żeby mu narodowe ich zjednoczenie pod swojém berłem, lub choćby utorowanie doń drogi i rzucenie pierwszéj podwaliny, żeby mu to dzieło, nie mówię, stanęło, ale choćby mignęło przed oczyma, tego, ile znamy jego charakter dziejowy, żadną miarą o nim powiedzieć nie możemy. Bo też, jak już nadmieniłem, rola niemiecka podówczas jeszcze bynajmniéj nie była uprawną, ni sposobną pod zasiew podobnego ziarna. Twierdzić przeciwnie, znaczyłoby przenosić wyobrażenia czasów znacznie późniejszych, epoki mianowicie ponapoleońskiéj na schyłek XVIII-o wieku i w ogóle czasy przedrewolucyjne. W ówczesnych Niemczech

(1) Denkwürdigkeiten, I, 40—46.

poczucie narodowe albo się zgoła jeszcze nie było ocknęło, albo odzywało się tylko lękliwie, sporadycznie, to w jakiejś żałośnéj odzie na rozdarcie i poniżenie ojczyzny, to śmieléj, w jakim dramacie, nie politycznym (bo ten nie istniał) ale „mieszczańskim“ jak go nazwano, o ciasnym zazwyczaj zakroju, ale tém szlachetniejszéj zato tendencyi; wreszcie w poczciwém usiłowaniu, mozolnie prawdy się dogrzebującego historyka, książęta zaś i monarchowie, co podówczas panowali w Niemczech należeli do drapieżnéj gromady tych, co więzili Schubart'ów na Hohenasperg'ach i przed którymi uciekać musiało, co czuło geniusz w piersi; owi despoci, których (jakkowiek ich nawet nie wprowadził na scenę) napiętnował na wieki Schiller w „mieszczańskiéj tragedyi.“ *Intryga i miłość*“ owi książęta, co poddanych swych za czerwone złote sprzedawali do Ameryki jak rzeźne bydło, ażeby za ten istny koszt krwi ludzkiéj kupować naszyjniki obcym awanturnicom, którym sen odbierały laury faworyt arcychrześciańskiego króla!

Dopiéro wielki, niwelujący, wszystko jak ogień czyszczący wpływ rewolucyi francuskiéj i obudzone przez ucisk jarzma napoleońskiego uczucie wspólnéj ojczyzny niemieckiéj, które wywołało podziwienia godny ruch narodowy 1813 r. ruch, niezapominajmy, którego Prusy jak były inicyatorem i kierownikiem, tak téż aż po niedawne jeszcze lata wyzyskiwać go nie przestały, dopiero te wypadki przygotowały prawdziwie grunt dla myśli zjednoczenia Niemiec; to téż w kilkanaście lat potém, na słynnym kongresie wiedeńskim bystre oko Talleyranda mogło już dostrzedz, a raczéj i wtedy jeszcze dopiéro przewidzieć niebezpieczeństwo, jakiém groziła Francyi owa jak ciężka chmura w dusznéj ówczesnéj atmosferze wisząca „integracya“ (żeby użyć wyrazu p. Tr.) polityczna Niemiec. To téż dyplomacya francuska, postawiona na kongresie na nowo wobec trudnego problematu kwestyi niemieckiéj, nie mogła lepiéj usłużyć swéj sprawie, jak odwlekając wedle możności to zjednoczenie, a dopięła tego głównie przez zachowanie, (wbrew połączonym usiłowaniom Prus i Rosyi), niepodległéj Saksonii, co nawiasem powiedziawszy, nas pruskiemu poddało rządowi, jak o tém świadczą dowodnie świeżo w téj mierze ogłoszone nowe źródła (1). Ale ministra Ludwika XVI-nie obwiniłbym, że nie widział z zupełną jasnością w chaosie niemieckim, w którym w istocie nie wiele się widzieć dało, że przedewszystkiém nie przewidział, co się podówczas przewidzieć nie dało. Polityki tedy jego, uznając, że nie była zbyt świetną, że przedewszystkiém grze-

---

(1) Zob. Pallain: Correspondance inédite du prince de Talleyrand etc. Paris, 1881.

szyła bardzo często słabością w wykonaniu, nie jestem skłonny potępić tak stanowczo, jak to czyni p. Tr., a powolny upadek francuskiego wpływu i znaczenia w Niemczech odnoszę raczéj do upadku politycznego Francyi w ogóle w przeszłém stuleciu, a w bieżącém, do zgubnego (dla niéj) wpływu, jaki na Niemcy wywarły wojny napoleońskie, konsolidując mocarstwa niemieckie i wracając narodowi dawno utracone uczucie jednéj wspólnéj ojczyzny.

IV.

To co wyżéj powiedziałem o niemieckiéj polityce pana de Vergennes jest tak dalece prawdziwém, do tego stopnia nietylko on, ale wszyscy niemal francuscy mężowie stanu, z jedynym może wyjątkiem Choiseul'a, byli przekonani o konieczności zachowywania wobec Niemiec owéj polityki, którą w niedawnych obradach francuskiéj izby deputowanych nazwał ktoś *la politique de la balançoire*, że w r. 1756-m Ludwik XV upierał się przez długi czas, z pewnością nie przez skrupuł sumienia ani przez uszanowanie dla tradycyi, ażeby do traktatu, który miał stanąć z Austryą, wpisano artykuł na korzyść króla pruskiego. P. Tr. nazywa to żądanie arcychrześciańskiego króla naiwném: niewątpliwie, ze stanowiska obcego obserwatora może się ono wydać takiém; austryackiego ambasadora mogło nawet w śmiech wprawić, jeżli go przypadkiem, co prawdopodobniejsza, nie oburzyło; boć przecie Kaunitz nie taił się z tém zgoła, że, jeżli pragnie przymierza i związku z Francyą, to jedynie, ażeby użyć jéj finansów i wojska przeciwko Prusom. Ale jakaż korzyść miała ztąd wyniknąć dla Francyi, jaki mianowicie interes miała taż Francya, ażeby cesarzowa wróciła w posiadanie zabranego jéj Szląska? Próżno pytamy. Uchodziło jeszcze przymierze z Austryą, bo zostawiało Francyi wolne ręce do boju z Anglią, uchodził alians odporny, z zaczepnego jakaż korzyść? a zaczepnym był *de facto*, jakkolwiek nie co do formy ów słynny alians z r. 1756. Skutki nie dały długo czekać na siebie: wyniszczywszy się dobrowolnie dla obcego interesu w równie kosztownéj jak krwawéj wojnie siedmioletniéj, w nagrodę tego Francya osadzona została na koszu przez Austryę, w sprawie polskiéj. Z właściwym sobie brutalnym sarkazmem mawiał też Fryderyk II, że traktat z r. 1756 zrobił z Francyi „folwark austryackiego domu“ (*la ferme de la maison d'Autriche*). I oto powód, dla którego politycy francuscy, dlaczego sam Ludwik XV, dlaczego inni twórcy aliansu austryackiego, Bernis, Broglie, Maurepas, Castries i inni tak rychło go odstąpili, dlaczego wreszcie Vergennes, zachowując z konieczności ten alians, nie okazywał dlań wielkiego entuzyazmu.

Ten „nowy system“ polityki francuskiéj, jak go nazywał Broglie, a raczéj ten dawny, po wielkich ministrach XVII wieku odziedziczony i tylko stosownie do okoliczności zmieniony system polityki francuskiéj w kwestyi niemieckiéj miał przeżyć monarchią francuską, która go stworzyła. W pismach politycznych z epoki rewolucyjnéj, ulotnych broszurach i prasie peryodycznéj zarówno jak w poważnych memoryałach góruje zawsze nienawiść przeciwko Austryi; przyjazna jéj jakiś czas polityka dworu była nawet jednym z mnogich powodów żalu opinii publicznéj we Francyi przeciwko dworowi. W r. 1792 żyrondystowskie ministeryum Ludwika XVI zmusza go do wydania wojny Franciszkowi II, ale nie jako cesarzowi, bo cesarz był cesarzem Niemiec, a z Niemcami nic nie chciano mieć do czynienia, jeno jako królowi Czech i Węgier. Gdy z Prusami zawierano pokój w Bazylei, to żeby z większemi siłami skuteczniéj módz następnie uderzyć na Austryą. Wojny drugiéj i trzeciéj koalicyi nie zmieniły tego anti-austryackiego kierunku, a łatwe nad wszelki wyraz zwycięstwo, odniesione nad Prusami w r. 1806 nie mogło jak tylko w nim utwierdzić. Jaka od czasów restauracyi była polityka rządów francuskich wobec Niemiec, o tém gdy czasy te właściwéj historyi jeszcze nie mają, wyrokować już dzisiaj trudno.

W ostatnim rozdziale cennéj swéj pracy wykazuje autor, na podstawie archiwalnych materyałów francuskiego ministeryum spraw zagranicznych, że polityka, jaką Rosya zachowywała statecznie wobec kwestyi niemieckiéj była wręcz przeciwną polityce francuskich mężów stanu. Powszechnie, a przynajmniéj osobom, które nie sięgają daleko pamięcią a historyi nie znają, zdaje się, jakoby Prusy i Rosya od niepamiętnych czasów w wzajemnéj ze sobą zostawały zgodzie. Otóż tak nie jest. Już dawniéj napomknąłem, jakie było stanowisko Katarzyny II w kwestyi niemieckiéj. Autor ilustruje je w sposób dosadny, kiedy z pamiętników Görtza przytacza, jak Fryderyk II, już nad grobem stojący starzec, pomimo aliansu, który go łączył z carową, wołał: —Powiedzcież mi, mamże ja czy nie alians z Rosyą? (1). Stosunek następcy Fryderyka II do Rosyi i jego stanowisko w sprawie odradzającéj się na sejmie czteroletnim Polski, są zbyt wiadome, ażebym się tu nad niemi miał szerzéj rozwodzić. Po Pawle, gdy jeszcze był w. księciem, spodziewano się w Berlinie, że po śmierci matki zainauguruje zwrot w polityce rosyjskiéj. Jakoż był on, jak niegdyś za Elżbiety przyszły jéj następca Piotr, przyjacielem Fryderyka II. Katarzynę to niepokoiło: obawiała się zmiany po swym zgonie, a nie życzyła jéj sobie. W tym celu starała się tak

(1) „Dites-moi, suis-je ou non en alliance avec la Russie?“

ścieśnić węzły przyjaźni łączące ją z Austryą, ażeby jéj następca nie był w stanie ich zerwać. Mówiła: „Zmartwiłabym się, gdybym wiedziała, że śmierć moja, podobnie jak śmierć Elżbiety ma być hasłem do zmiany całego systemu polityki rosyjskiéj.“ Obawa ta była płonną. Wstąpiwszy na tron Paweł okazał się przyjacielem Habsburgów, dla nich dał się wciągnąć do pamiętnéj drugiéj koalicyi przeciwko Francyi; pierwszego konsula podburzał na Prusy, starał się złagodzić nienawiść jego do Austryi.

Aleksander I, znany światu powszechnie jako obrońca Prus, wcale nie dwuznacznie wyrażał się o kwestyi niemieckiéj. Duroc pisał z Petersburga (13 messidora r. IX): „Wynagradzając za straty jak przystoi Austryą i Prusy, cesarz rosyjski nie chce dopuścić, ażeby Austrya, którą on uważa za naszego naturalnego wroga (t. j. za wroga Francyi) zbytnio się zwiększyła.“ Była to tedy koncesya dla Francyi, ale w zamian za te ustępstwo, pisze daléj Duroc: „cesarz spodziéwa się, że Francya nie zwiększy zbytnio potęgi Prus, które Rosya uważa za swojego nieprzyjaciela.“

W parę lat potém, gdy się (w końcu 1804) wykryła dwuznaczność dworu austryackiego wobec Rosyi, wysłannik francuski w Petersburgu zapewniał Talleyranda, podówczas ministra spraw zagranicznych, że to nie nadwątli bynajmniéj przyjaznych związków, jakie oddawna łączą dwór wiedeński z petersburskim. „Związki te — przytaczam dosłownie—polegają w znacznéj części na dawném nawyknieniu, na zawiści, którą tu mają do Prus i do nas, wreszcie na przekonaniu, że jedynie Austrya byłaby skłonną służyć i podzielać zamiary Rosyi.“ Niedawo przedtém w. książę mówił do posła francuskiego: „Że nienawidzi Prusaków, *że jest w téj mierze dobrym rosyaninem* i że radby się bił z nimi“ (1). Prawda, że w r. 1807 gabinet rosyjski udzielił pomocy pobitym pod Jeną i Auerstädt Prusakom. Jakie jednak wspomnienie zostawiła po sobie ta pomoc i jaka w ogóle była podówczas wzajemna Prusaków i Rosyan o sobie opinia, o tém mamy wcale niedwuznaczne świadectwo. Wysłany po pokoju tylżyckim do Petersburga Lesseps pisał w sierpniu 1807 do Talleyranda: „Przejeżdżając przez Prusy, gdzie nieuniknione klęski, jakie za sobą prowadzi każda wojna, pożałowania godny przedstawiają widok, bardzo jasno widziałem, że lud pruski mniéj miał żalu do Francuzów, jak do Moskali swych sprzymierzeńców. Wszędzie mi mówiono, wskazując na opłakane téj pomocy następstwa: Lepiéj mieć Francuzów nieprzyjaciołmi, niżeli Moskwę przyjazną. Moskale

---

(1) Qu'il détestait les Prussiens, qu'il était en cela bon Russe et qu'il se battrait bien volontiers contre eux.

bowiem obchodzili się z nami w sposób jak najokrutniejszy, a fatalna pomoc, którą nam dali, stała się dla nas źródłem długiego szeregu nieszczęść.“ Tak się Prusacy skarżyli na Rosyan. Ci ze swéj strony równą im płacili monetą. Wspomniany Lesseps pisze daléj: „Pogarda, jaką Moskale czują dla Prusaków nie mogłaby być większą, a powodem do niéj niezdecydowana i niedość szczera postawa (*conduite peu franche*), jaką według twierdzenia Moskali od kilku lat zachowywał gabinet berliński. Nietylko że nie okazują choćby pozornego współczucia dla nieszczęść Prusaków, ale owszem publicznie okazują obojętność swą w téj mierze i powiadają otwarcie: — Mają na co zasłużyli.“

O następcy Aleksandra I Mikołaju wiadomo tylko, że zbrojną pomocą, udzieloną Austryi w ciężkich chwilach węgierskiego powstania uratował zagrożony byt monarchii Habsburgów, a pamiętać należy, że uczynił to w chwili, gdy Fryderyk Wilhelm IV, król pruski, z tytułu pokrewieństwa, prosił go usilnie o pomoc właśnie przeciwko tym samym Habsburgom, dla których ratowania Paszkiewicz przeprawiał się przez Karpaty. Była to tradycya nietylko Katarzyny II i Piotra W., bo daleko po za nami, średnich, można powiedzieć wieków sięgająca; tradycya, która w ten sposób przetrwała w Rosyi aż niemal do dni dzisiejszych. Zgodnie z Prusami szła Rosya jedynie tylko w sprawie polskiéj, dowodem zwłaszcza pierwszy i trzeci rozbiór. Podobnież, gdy na kongresie wiedeńskim Hardenberg domagał się *całéj* Saksonii dla swego pana, Aleksander I i ministrowie rosyjscy gorąco go w tém popiérali, ale nietajno nikomu, że w nagrodę za to mieli dostać całą dawną Wielkopolskę. Pomoc udzielona Prusom w r. 1807 i 1813 przeciw Francyi, łatwo da się wytłómaczyć obawami, jakie wzbudziła przemoc Napoleona i ledwie że jest w stanie stanowić wyjątek od powszechnéj reguły.

Rola ostatniego wreszcie z wielkich mocarstw europejskich t. j. Anglii, w kwestyi która nas obchodzi, jest jasną. Aliantka najpierw domu habsburskiego przerzuci się Anglia w r. 1756 na stronę Prus i wytrwa odtąd w przymierzu z niemi. To zbliżenie się Anglii do Prus było nawet jedną z najważniejszych, jeźli nie najważniejszą przyczyną słynnego aliansu francusko-austryackiego. Gdy bowiem Francya, poróżniona z Anglią o handlowe i kolonialne sprawy, nie mogła być w jednym i tym samym wraz z nią obozie, zdawało się rzeczą naturalną, postarać się o innego sprzymierzeńca. Późniéj, gdy smutne doświadczenia siedmioletniéj wojny i zupełna niemoc Francyi w sprawie polskiéj, nawróciły nieco gabinet francuski do dawnego systemu, Broglie całkiem na seryo proponował Ludwikowi XV (w r. 1773) zawarcie aliansu z Anglią. Do tego jednak nie

przyszło, a wojna o niepodległość Zjednoczonych Stanów Północnéj Ameryki, miała niebawem potém spowodować nowe pomiędzy dwoma wielkiemi mocarstwami zachodniéj Europy zerwanie.

Tylko nawiasem wspomnę tutaj, że mi niepodobna żadną miarą pisać się na zdanie pana Tr., jakoby „Rosya była naturalną rywalką W. Brytanii.“ Jest nią niewątpliwie dziś i jest od dość dawna, ale nie była nią w połowie przeszłego stulecia. Dokumenty współczesne przeczą temu twierdzeniu, że tylko tu przytoczę wyjątek z jednego z nich, jako dotąd niewydanego, który i tak pod niejednym względem zasługuje na uwagę. Podczas wojny siedmioletniéj, czasu bliżéj oznaczyć nie umiem, gdy Francya wraz z Austryą, Rosyą, Szwecyą i Saksonią toczyła bój przeciwko złączonym z Anglią Prusom, Choiseul pisał, jak następuje do ambasadora francuskiego w Petersburgu, markiza L'Hôpital'a. „Alians nasz z Rosyą jest tylko przypadkowy i skutkiem osobliwszych okoliczności. Nie powinno nam wiele zależéć na utrwaleniu go, gdyż nasi dawni sprzymierzeńcy, Turek, Szwecya i Dania (Choiseul nie mówi zgoła o Polsce) są naturalnymi nieprzyjaciołmi tego mocarstwa. Nie należy nam zaś przyczyniać się ani do rozwoju jego despotyzmu na północy, ani do popierania jego, coraz rosnącego, wpływu w Niemczech. Rosya jest zbyt oddaloną od nas, ażebyśmy kiedykolwiek mogli w żywsze z nią wejść związki handlowe. Handel rosyjski pozostanie na zawsze w ręku Anglików, którzy nie mając ani tych samych interesów politycznych, ani tych samych powodów do zawiści co my (les mêmes jalousies que nous) *będą zawsze koniecznymi cesarstwa rosyjskiego aliantami*. Utrzymujmyż tedy alians obecny, ale bez przywiązywania doń zbytniéj wartości. Najlepsza rzecz którą zrobić możemy, jest użycie tego aliansu dla zawarcia trwałego z jego pomocą pokoju“ (1). Doświadczenia lat późniejszych okazały, że owo *zawsze*, o którém mówi Choiseul nie stwierdziło się; niemniéj jednak wyrażone w powołanym akcie zapatrywania były nietylko obrazem ówczesnych usposobień i przekonań dworu wersalskiego—przekonań, które mogły być mylnemi, ale odpowiadały rzeczywistemu stanowi rzeczy. Nie potrzeba zbytniéj znajomości dziejów polskich, ażeby wiedzieć że partya angielska w ówczesnéj Polsce była zarazem partyą rosyjską i że ostatni król polski był politycznym wychowankiem angielskiego ambasadora, najpierw w Dreznie a potém w Petersburgu, kawalera Hanbury Williams. Jeżeli w wojnie siedmioletniéj Anglia znalazła się w obozie

(1) „Les Anglais seront toujours pour l'empire russe des alliés nécessaires.“ Cały ten cytat wzięty jest z nieogłoszonéj dotąd książki p. C. Dareste o markizie de L'Hôpital. Por. Journal des Débats z 6 grudnia 1881.

przeciwników Rosyi, to było raczéj skutkiem dynastycznéj, niżeli narodowo-angielskiéj polityki Jerzego II, który jako książę rzeszy niemieckiéj, dbały o swe elektorstwo hanowerskie, zbliżył się do Fryderyka II, ażeby w przymierzu z Prusami ubezpieczyć przeciwko Francyi dziedziczną swą ziemię, któréj Austrya nie chciała bronić, jak pod warunkiem, że się gabinet londyński zobowiąże dopomódz jéj do odzyskania utraconego Szląska. Otóż na tém Anglii zgoła zależeć nie mogło; parlament nie byłby pozwolił podatków na podobną wojnę, a nadto uważano to za rzecz niemożliwą. Lord Holderness nie wahał się w liście do barona Mitchell'a posła angielskiego w Berlinie nazwać podobnego żądania po prostu szaleństwem (1). Jakie zresztą pomimo urzędowo ogłoszonéj wojny było w Petersburgu usposobienie dla Anglii t. zw. młodego dworu, rozumiem, zwłaszcza Katarzyny, i jak ówczesny stolnik litewski, Poniatowski, pracując wrzekomo dla celów Augusta III przeciw Prusom, działał podobno raczéj na rzecz Anglii, polskiemu czytelnikowi dostatecznie wiadomo.

W kilkanaście lat późniéj, gdy po dokonanym już zresztą rozbiorze Polski, gabinet wersalski wzywał rząd angielski do wysłania floty na morze śródziemne, w celu zrobienia demonstracyi przeciwko Rosyi, gabinet angielski nietylko odpowiedział odmownie, ale nadto oświadczył, że owszem pomagać będzie Katarzynie. Znany z bezstronności, zarówno jak żywych sympatyi dla naszéj sprawy, historyk francuski bierze ztąd pochop do nazwania gabinetu angielskiego czwartym zabójcą Polski (2). P. Tr. przeniósł tu widocznie o cały wiek wstecz dzisiejsze wyobrażenia.

Badając dzieje jedynie w ułamkach, w poszczególnych kwestyach, w etapach (*sit venia verbo!*) chronologicznych, bardzo łatwo gubi się historyk w szczegółach; zamiast naukowego zbadania przedmiotu wysuwa się na pierwszy plan obrazowa i sentymentalna strona wypadków. Słowa te rosyjskiego historyka niewątpliwie dużo w sobie mieszczą prawdy, gdyż pewna jest, że im szerszą jest przestrzeń objętych faktów, im rozleglejszą zbadana epoka, tém podnioślejszą też będzie konkluzya historyczna, tém trwalszy i pewniejszy sąd historyczny. Atoli nie należy też zapominać z drugiéj strony, że prawda historyczna nie jest żadnym aksyomatem, *a priori* jakby nowego rodzaj objawienie, z nieba zesłanym, lecz że historya jest,

---

(1) Zob. Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego, z autografu francuskiego przełożone przez Bron. Zaleskiego. Drezno, 1870, str. 444.

(2) Henri Martin. Histoire de France, XVI, 304. Le cabinet de St. James peut bien passer pour le 4-me des meurtriers de la Pologne.

nie waham się twierdzić, umiejętnością w równym przynajmniéj stopniu doświadczalną i empiryczną, jak spekulacyjną i wyrozumowaną, umiejętnością, która wniosków nie wyprowadza, jak tylko z tego, co analitycznie zbadała, z faktów historycznie doświadczonych, obserwowanych, nie lupą wprawdzie ani teleskopem przyrodnika, ale niezawodzącém nigdy, skoro go się dobrze użyć umie, szkłem krytyki historycznéj. Ażeby synteza historyczna była doskonałą, potrzeba żeby się opierała nietylko na dostatecznéj ilości zbadanych analitycznie faktów, ale żeby taż analiza była należycie podjętą i żeby przedstawiała wszelkie pożądane dobrego wykonania rękojmie. Otóż zazwyczaj, zbyt często, u nas zwłaszcza, ma uczony sposobność stwierdzić prawdziwość francuskiego przysłowia: *Qui trop embrasse mal étreint.* Mimowoli przychodzi tu na pamięć ów sułtan turecki czy kalif arabski, który po długim żywocie, spędzonym w pracy i sumienném pełnieniu przepisów Koranu, zapytany, ile téż chwil prawdziwie szczęśliwych naliczyćby mógł w życiu swojém, miał odpowiedzieć: *jedną*, a tą jest obecna. Tak i sumiennemu historykowi, za całe lata zmudnéj, rzemieślniczéj, nieraz zgoła bezpłodnéj analizy, stanie częstokroć jedna, jedyna chwila.... *syntezy*. Szczęśliwy, jeżeli nią do prawdy zbliżyć się zdołał!

Atoli te uwagi niechaj nie odnoszą się do cennéj i sumiennéj pracy pana Traczewskiego, na któréj nowe i w wysokim stopniu samoistne poglądy chcielibyśmy tém niniejszém sprawozdaniem zwrócić uwagę światłéj publiczności naszéj.

Stanisław Lukas.

Paryż, 24 grudnia 1881.

Ze smutkiem przychodzi nam zawiadomić czytelników, że ręka, która skreśliła powyższy artykuł, zastygła już na zawsze. Nasze piśmiennictwo historyczne utraciło w Stanisławie Lukasie młodego, zdolnego i już zasłużonego pracownika, a społeczeństwo — zacnego człowieka.

Urodzony w Tarnopolu 19 listopada 1855 r., zdał egzamin dojrzałości w szesnastym roku życia, poczém wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu Lwowskiego i rzucił się z zapałem do studyowania dziejów. W seminaryum historycznem, które pod kierunkiem profesora Liskego wydało już cały szereg badaczów, Lukas znalazł się w właściwéj dla siebie atmosferze: w nauce posuwał się szybko naprzód i umiał zjednać sobie przyjaźń kolegów, a serdeczną życzliwość nauczyciela. Za staraniem szanownego profesora Liskego otrzymał Lukas w 1878 r. stypendyum na dwuletnią podróż zagra-

niczną; dla dalszego pobytu na zachodzie zdobywał środki własną pracą. W Berlinie prowadził studya pod kierunkiem profesorów Waitza i Droysena, w Paryżu słuchał kursów paleografii i prawa narodów, a nadto zajął się samodzielnie badaniami historycznémi w archiwum ministeryum spraw zagranicznych.

Powróciwszy do kraju, miał zająć docenturę historyi powszechnéj w uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał stypendyum Gałęzowskiego, aby jeszcze przez rok jeden badania archiwalne za granicą prowadzić, a potém słowem i piórem nauce służyć, kiedy nagle śmierć w dniu 17 czerwca r. b. położyła kres pracy jego i nadziejom.

Ważniejsze pisma Stanisława Lukasa są następujące:

Przyłączenie Mazowsza do Korony polskiéj,

Monografia o *Erazmie Ciołku*,

Rozbiór Podługoszowéj części kroniki Wapowskiego,

O rzekoméj wyprawie tureckiéj Olbrachta z r. 1497.

Dyplomacya Sobieskiego,

i artykuł powyżéj wydrukowany.

Prócz tego pisywał rozbiory i recenzye pism historycznych. Jak na młodzieńca, który dopiero 27 rok życia liczył, jest to nie mało.

Główny jednak plon usilnéj pracy Lukasa stanowią stosy wypisów i notat do dziejów XVII wieku, który to materyał nie będzie stracony dla nauki, z woli bowiem nieboszczyka przejść ma w ręce profesora Liskego.

Tam, gdzie samo życie przemawia za sobą, wszelkie pochwały z naszéj strony byłyby zbyteczne; dodamy więc tylko, że przeglądanie „starych szpargałów“ nie zobojętniło Lukasa dla ludzi i rzeczy spółczesnych, że czuł żywo, a uczuciu folgował nie deklamacyą lecz czynami, jak świadczy kolega jego p. Ludwik Finkel, który nam powyższe szczegóły o zmarłym przyjacielu nadesłał.

(*Przyp. Red.*)

WYSPY NUKUORO

(Z PODRÓŻY PO OCEANIE WIELKIM).

13.

Życie familijne nukuorczyków odznacza się wielką wolnością stosunków i równością społeczną obu płci. Już poprzednio było wzmiankowaném, że kobiéty mają prawa własności i mogą odziedziczać tytuł i najwyższą władzę; tu należy jeszcze dodać, że i w życiu prywatném i w stosunkach swych do płci męzkiéj są również zupełnie wolnemi. Do chwili zawarcia stałego związku małżeńskiego (hei potu) dziewczyna wydziela hojnie swe względy wszystkim wielbicielom, którzy pomiędzy sobą znowu nie są zazdrośni, gdyż są świadomi, że wszystko polega na wszechstronnéj wymianie i odmianie. Z chwilą stania się żoną, kobiéta zaciera swą poprzednią niemoralną wolność i swobodę, przez przykładne i pracowite życie w rodzinie.

Para, zamierzająca się połączyć węzłem małżeńskim, zna się już dokładnie poprzednio i prawie zawsze żyje szczęśliwie w następstwie. Przed pobraniem się formalném, przyzwolenie rodziców bywa szukaném, lecz uzyskanie takowego nie jest koniecznem. Jeżeli młode małżeństwo nieżyje przy rodzicach, to otrzymuje oddzielny dom dla siebie, a w rodzinach spokrewnionych bliżéj z naczelnikami, ma miejsce obrzęd religijny oddzielny. Krewni i kapłani zgromadzają się w domu nowego małżeństwa, gdzie takowe siedzi na ziemi i ma przed sobą głąb' pura, pokrajany na małe kawałki. Jeden z kapłanów mruczy swe zaklęcia nad tém jadłem; pan młody bierze z tego trzy kawałki, nowa żona czyni to samo i ceremonia jest skończoną. Każdy z kapłanów otrzymuje jedno taro w prezencie.

Pomimo tego specyalnego obrzędu, związek małżeński jest bardzo luźnym i zupełnie zależnym od woli stron interesowanych. Jeżeli kobiéta mniema być przekonaną o niewierności swego małżonka, al-

bo inny ma jaki powód do niezadowolenia, wtedy poprostu wraca do swych rodziców i wzbrania się wracać do męża. Jeżeli postanowienie jéj rozwodu jest stanowczém, to zawiera związek nowy z innym mężczyzną i mąż w takim razie wié, że nie ma ratunku. Rozwód taki bynajmniéj nie wpływa na dzieci spłodzone w małżeństwie. Te które żyją z matką odwiedzają swe rodzeństwo żyjące u ojca i odwrotnie. Z takich kłótni małżeńskich, nie powstaje żadne niebezpieczeństwo dla społeczności tutejszéj, gdyż chociaż zazdrość gra główną rolę, to jednak kara „sae sae“ za jakikolwiek gwałt jest tak obowiazaną, że bijatyki publiczne, mord i tym podobne zbrodnie, są nieznanemi. Jeżeli zazdrość uzasadniona jest przyczyną kłótni, to rozwód ma miejsce bardzo łatwo, gdyż luźność obyczajów kobiét, żyjących wolnemi, daję zawsze mężczyznie pewną pociechę. Szczęściem przyznać należy że rozwody i kłótnie poważne są bardzo rzadkiemi, do czego może i przykłada się liczebna drobność tutejszéj społeczności. Mężowi służy nawet prawo karcenia niepokornéj żony, lecz wolność ta jest zdradliwą, gdyż kobiéty tutejsze są tak silnéj budowy ciała i tak zuchowatego usposobienia, że mąż chcący dać wyraz swéj przewadze, naraża się na wspólnictwo, jeżeli nie na część lwią w zamierzonéj karze. Biorąc więc rzeczy przecięciowo, małżeństwa tutejsze żyją przykładnie i zwykle małżeństwa młodsze skupiają się koło rodziców i mieszkają razem w jedném domostwie.

Zgodnie ze swém społecznėm równouprawnieniem, kobiéty w życiu prywatném są równe mężowi i dzielą z nim zajęcia i uciechy. Muszą one wprawdzie wyłącznie uprawiać taro i przędzenie; tkactwo do nich tylko należy; lecz zato „tapu“ nierozdziela ich od mężów i nie zakazuje żadnych pokarmów, tak jak to ma miejsce na sąsiednich wyspach Karolin. Jedynym wyjątkiem jest tylko czas regularności kobiécéj, gdzie ta musi się udawać do oddzielnego publicznego domu „hale tapeo,“ gdzie wszystkie kobiéty razem swą słabość przebywają. Przez ten czas zwykle 3—4 dni kobiéty dotknięte znajdują się pod „tapu“, wolno im wprawdzie pracować w plantacyach tara, ale wzbronionėm jest mężczyznom i kobiétom nie będącym wstanie podobnym jeść pokarm z ich ręki.

14.

Z chwilą gdy kobiéta ma stać się matką, nowy nawał obrzędów religijnych gromadzi się nad rodziną. Na długi czas przed narodzeniem się dziecka, zostaje rozstrzygniętém, czy takowe ma żyć, lub czy ma być poświęcone zwyczajowi, który choć tak straszny na pozór, ma na celu dobro ogólne. Rozstrzygnięcie zależy tu od naczelnika

świeckiego, który rządzi się rozmaitemi względami. Ze względów tych dzisiaj najgłówniejszym jest, czy pokrewieństwo kobiéty ciężarnéj jest dostatecznie liczne, by było wstanie dostarczyć zapasów żywności przez czas obrzędów „te takotonga te tamaliki,“ który obejmuje kilka miesięcy. Pominąwszy ten wzgląd, może naczelnik powołać się na względy społeczne ogólne, jak np. przeludnienie i tutaj liczy się np. wielu dzieciom kobiéta pewna już życie dała. Ów wzgląd na przeludnienie upada dzisiaj, gdy społeczność cała nie dochodzi dwustu dusz i może być imiennie znaną przechodzącemu świadkowi. Jako badaczowi, należy mi szukać prawdy bezwzględniéj i choć ciężką jest rzeczą wykazywać słabość natury ludzkiéj, w cząstce chociażby społeczeństwa ludzkiego, niepodobna zapoznawać, że obecne społeczeństwo nukuorskie oswoiło się raczéj z ideą dzieciobójst..a i zapomina, że stopniowo się wkradające lenistwo, niechęć uprawiania nieco większych plantacyj, przy pierwotnéj zmysłowości przyrodzonéj, kładzie kres ich bytności. Pozornie dzisiaj taro rozstrzyga o życiu dziecka i pomimo że ludność jest tak nieliczną, dzieciobójstwo jest wykonywaném.

W razie gdy zadecydowaną jest śmierć, rodzina stara się odpędzić płód przez silne tarcie i ściskanie, gdy pomimo tego dziecko urodzi się żywe, zostaje ono zaduszoném przez przykrycie ust i nosa ręką. Zwłoki zostają grzebane w piasku w pobliżu domu i cała sprawa zostaje zapomnianą.

Gdy życie mającego się narodzić dziecka ma być oszczędzoném, to w razie, gdy to jest pierwszém dzieckiem kobiéty, ma ona wraz z mężem swym podledz ścisłému tapu przez pięć miesięcy przed połogiem i jeszcze jeden miesiąc po takowym, przez który to czas niewolno im się zajmować żadną pracą ręczną. Jeżeli kobiéta rodziła już poprzednio, wtedy jéj tapu skraca się na miesięcy trzy, a mąż wychodzi wolno.

Wszystkie obrządki z powodu rodzenia się nowego członka społeczności, objęte są nazwą, „te takotonga huhua.“ Para małżeńska mająca się stać przedmiotem takowych, zostaje umieszczona w jednéj z świątyń mniejszych, gdyż świątynie główniejsze, jako: Amalau, Tehaka asula, Hale waka, Sapokanga itp. są wyłączone od takiego użytku. Tutaj mąż z żoną żyją odizolowani pod ścisłém tapu i tylko najbliżsi krewni zaopatrują ich w żywność. Mężowi wolno wybiedz za rybami, ale niewolno zająć się inną robotą. Kobiéta przez cały ten czas musi iść trzy razy dziennie do morza i kąpać się. Poród odbywa się w obecności tylko męża i najbliższych krewnych w postaci leżącéj. Jedna osoba odbiera dziecko, druga przecina sznurek pępkowy nożem z perłowéj macicy. Wszystkie ślady porodu

(jak czepiec itd.) zostają topione w morzu. Po urodzeniu dziecka położnica spoczywa w postawie na pół siedzącéj w objęciach jednéj z kobiét, a wszyscy obecni wychodzą na dwór i okrzykiem „hanau-o!“ obznajmiają okolicę o nastąpioném urodzeniu. Jest to znak dla kapłanów, którzy pośpieszają do położnicy, by wykonać obrzęd „te haka lóto.“ W obrzędzie tym wszyscy obecni kapłani biorą małą, w szczególny sposób przygotowaną matę do ręki i potrząsając takową horyzontalnie po nad głową położnicy i obecnych obchodzą całe wnętrze świątyni lub domu, a późniéj i cały obręb domostwa na dworze. Potém oddalają się wszyscy obecni i pewna stara kobiéta, będąca kapłanką, zabiera położnicę na brzeg morski, gdzie łamie nad jéj głową dwa orzechy kokosowe i wylewa zawarte w nich mleko na takową. Na tém kończy się jedna część „takotonga.“

Obrzędy zwane „te takotonga seanga“ są zakończeniem uroczystości połączonych z narodzeniem się dziecka i trwają one jeden miesiąc po porodzie. W czasie tym położnica znajduje się w towarzystwie trzech kobiét, czterech małych chłopców i dwóch małych dziewczyn w świątyni, gdzie każdego dnia ma miejsce „taro taro“ do bóstw, poczém kobiéta idzie trzy razy dziennie do morza kąpać się. Po upływie miesiąca kobiéta wraca do domu rodzinnego i do zwykłych swych zajęć.

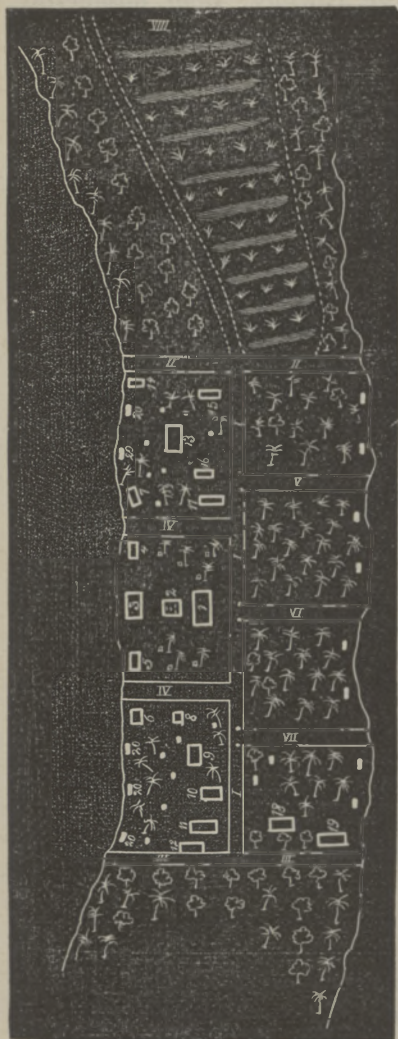
15.

Ludność cała Nukuoro żyje zgromadzona w jedném osiedleniu, znajdującém się na południowém końcu wyspy głównéj Nukuoro. Osiedlenie to z swemi licznemi drogami i budynkami publicznemi, z których wszystkie są oznaczone oddzielnemi nazwami, przypomina urządzenie się polinezyjskie; jest ono rezydencyą krajowców, których grunta, dostarczające żywność, znajdują się w oddaleniu i po części rozproszone na innych wyspach laguny. Wszystkie drogi zostają utrzymywanémi w dobrym porządku tak samo i budynki, których w stosunku do tak drobnéj ludności jest liczba bardzo znaczna. Liczne palmy kokosowe i chlebowe drzewa rozsypane po miejscu, dają całości pozór sielski a ścisłe tapu i w skutku tego panująca spokojność—pewną uroczystość. Największa część budynków są świątyniami, z pozostałych tylko mała część jest zamieszkaną, reszta stoi pustkami i jest używaną do użytku podręcznego, na składy itp.

Nukuoro zajmuje południowy koniec wyspy tego samego nazwiska i gdy wyspa tu jest wązką, zajmuje oba jéj brzegi od Wschodu i Zachodu (Fig. 2). Środkiem osiedlenia ciągnie się od północy do południa jedna ulica główna, zwana „te ala tu,“ która spotyka się na

krańcach osiedlenia z dwiema ulicami, przecinającymi szerokość całej wyspy. Północna z tych zwie się: „te hai awa tutanga," południowa: „te hai awa te mala mala". Na zachodniej stronie od „te ala tu" znajdują się dwie, do brzegu morskiego idące drogi, dzielące część zachodnią osiedlenia na trzy prawie równe części. Z dróg tych północna zwie się „te ala suki te marae eng a iho", południowa: „te ala suki te marae eng a akhe" gdyż obie obejmują w swém obrębie serce całego Nukuoro, marae (rynek) publiczny.

Fig. 2.



Szkic planu osiedlenia Nukuoro.

Marae (2) znajduje się w samym środku pomienionej części i jest ogrodzone kamiennym wałem koło 2 stóp wysokim, wejście do którego znajduje się na południowo-zachodnim końcu. Wewnątrz tego ogrodzenia znajdują się trzy kamienie, wyobrażenie bóstw Maurusanga, Sahumani aitu i Sahumani matua, nadto dzida drewniana wielkich rozmiarów, przedstawiająca bóstwo Wae matua. Na wschodniej stronie tego ogrodzonego marae stoi świątynia Amalau (1) budynek około 10 stóp długi, na zachodniej zaś, równolegle do wybrzeża budynek zwany „Sawae" (3), poświęcony duchowi naczelnika Ko Wawe. Wstęp do tego domu jest wzbronionym i służy on zwyczajnie od zawieszania wielkich sieci rybackich, będących własnością publiczną i używanych tylko podczas wielkich uroczystości.

W obu częściach, położonych na północ i południe od Marae, znajdują się wszystkie świątynie i domy publiczne wspólne, zwane

„hata“ w których nieżonaci mężczyzni spędzają noce wspólnie i do których wstęp jest kobiétom wzbronionym, z wyjątkiem dwóch stojących tuż przy Marae i przed którémi mają miejsce tańce kobiéce w czasie „takotonga.“ Tu znajdują się również: dom pośmiertny, w północno-zachodnim końcu i „hale holau“ domy rozproszone po brzegu, przeznaczone do przechowywania czółen i przyrządów rybackich. Pomiędzy témi budynkami publicznémi rozproszonemi są „tohotu“, t. j. mieszkania i domostwa prywatne, pomiędzy którémi ciągną się liczne ścieżki ocienione gajami kokosów i chlebowego drzewa.

Na przyłączonym szkicu, liczby odpowiednie oznaczają:

I. Droga główna, „te ala tu.“ II. Ulica albo droga „te hai awa tutanga.“ III. Te hai awa te mala mala. IV. IV. Le ala suki te marae. V. te hai awa tua moake. VI. te wai henua. VII. te hai awa tua te holan. VIII. Plantacye publiczne tara. 1. Amalau. 2. Marae. 3. Sawae. 4. hata Maurisanga. 5. hata Sopuku. 6. hata laingiesa. 7. hata Holan 8. Świątynia Tahakaasula. 9. Tohotu, domostwo naczelnika świeckiego. 10. hale tapau. 11. hale kapitia. 12. te atu rangi (mieszkanie te ariki tokotonga). 13. Świąt. Sapokanga. 14. Dom pośmiertny. 15. Świąt. kuporu (Upolu) 16. Świą. Hakaekenoa. 17. Świąt. Monaki. 18. hale hai lengu, dom w którym zostaje przyrządzaną kurkuma. 19. hale tapes, dom w którym kobiéty odbywają regularność miesięczną. 20. domy rybackie rozproszone po brzegu.

Jak z powyższego szkicu jest widném, na stronie wschodniéj od drogi głównéj znajdują się trzy ulice, dzielące tę stronę na cztery części. Domostwa są tu nieliczne i w skrajnych .częściach znajdują się tylko domy „topeo“ i „hai lenga.“

Na północy od osiedlenia znajduje się „husi“ t. j. plantacye publiczne tara, bananów i kurkumy.

Jakkolwiek liczba domostw jest bardzo liczną, zaledwie tylko 25 jest zamieszkanych.

Nukuorczycy nazywają świat pozostały po za obrębem ich własnéj oczyzny „te raro te rangi“ tj. pod niebem. Znajomość innych wysp została przyniesioną częścią z pierwotnéj ich ojczyzny, częścią przyniosły je przypędzone czółna. Dzisiejsi nukuorczycy, pomimo że ich czółna odznaczają się doskonałém wykończeniem, nie są żeglarzami i nie utrzymują oni stosunków z sąsiedniemi wyspami. Czy i dawniéj tak samo było, możnaby wątpić, gdyż wiele okoliczności w miejscowym przemyśle i sposobach życia wskazują na bliskie zetknięcie się z karolińczykami.

Krajowcy odróżniają cztery okolice świata: te iho—północ, te akhe—południe, otua—wschód i otai—zachód i wichry otrzymują swe nazwy od takowych.

Czas bywa liczonym nocami (po) i każda z nich ma oddzielną nazwę. Takich nocy trzydzieści, stanowi miesiąc jeden. Miesięcy jest dwanaście i nazwy ich są prawie identyczne z karolińskiemi. Nazwy te są:

1. Mataariki (na Polinezyi tak samo, na Karolinach Meeriker). 2. Takero. 3. Manu (Karolińska nazwa Man). 4. Ititi (Na Karolinach: Iiż). 5. Sarapoli (Na Karolinach: Sozopuel). 6. Maitiki (Na Karolinach: Mejczyk). 7. Majlapa (Na Karolinach: Meejlap). 8. Seta (Na Karolinach: Sóta). 9. Oracka. 10. Tumuru (na Karolinach: Tumur). 11. Tahola (Na Karolinach: La). 12. Ramaj (Na Karolinach: Aramój).

Nazwy wyżéj wymienionych miesięcy zdają się być wziętemi od sąsiednich Karolińczyków, a nie od południowych polinezyjczyków, chociaż nazwa „Mataariki“ dla plejad, znajduje się i na południu. Znaczenie tych nazw, odnoszące się do pewnych gwiazd na niebie, jest nieznaném u nukuorczyków i istnieje dobitnie na północnych wyspach, tak że mniemanie, że nazwy te przyszły z północy jest może nie za śmiałém.

Znajomości gwiazd w ogóle znalazłem na Nukuoro tylko szczątki, tak: plejady są znane pod nazwą: „mataariki“; Takero oznacza pas Oriona (gwiazdy δ, ε, ξ), dla Siriusa (α pra wiekowy) „te tua méa,“ dla Aldebarana (α Tauri) „te tua tea.“ Droga mleczna zwie się „te waenga“ (rozdzielacz, od wae, dzielić).

16.

Krajowcy wysp Nukuoro posiadają w stosunku do swéj ludności ograniczonéj, znaczny przemysł, w którym biorą udział płcie obie.

Zatrudnienie męskie, obejmuje: budowę domów i czółen, dzierganie sieci rybackich, kręcenie lin i przyrządzanie przyborów rybackich i żeglarskich, rybołóstwo i częściowe zaopatrywanie rodziny w pokarm. Kobiéty mają w swém zarządzie: uprawianie tara i tkactwo, przyrządzanie kurkumy i mączki z Arowroot.

W codziennych zatrudnieniach domowych obie płcie biorą udział, lecz zatrudnienia wymagające więcéj wysiłku, jak włażenie na drzewa chlebowe i palmy w celu zrywania owoców, jako téż pierwsze przeoranie (rozkopanie) twardéj ziemi w plantacyach tara, jest udziałem mężczyzn.

Roztlenie ognia i przygotowanie pieca krajowego (imu) należy zwykle do kobiét, lecz przyrządzanie jadła dla rodziny lub dla szczególnych uroczystości zostaje dzielonėm przez całą familię. Ogień zo-

staje otrzymywanym przez tarcie dwóch kawałków drzewa, który to sposób nazywa się „wala wala“. Jeden kawałek (katunga) leży horyzontalnie i drugi (sikaria) zostaje tarty jednym końcem, w postawie skośnéj. Sposób otrzymania ognia przez wiercenie (te ahi mili) został wprowadzonym przez rozbitków z wyspy Jap.

Potrawy zostają gotowane w sposób trojaki: albo zostają pieczone wolno nad węglami (tunu), albo zostają pieczone w polinezyjskim piecu (imu), tj. w rozpalonych kamieniach, przykrytych od zewnątrz, albo w końcu są gotowane w wodzie, zagotowanéj włożonymi rozpalonymi kamieniami (tao).

Pokarm mięsny głównie dostarczają ryby, w które obfituje laguna tutejsza. Niektóre gatunki jak te atu (Thynnus, benito), te takhua, te kina, te pelu pelu, te ia rere i inne bywają jedzone surowo. Inne jeżeli są małe, są oswędzane na węglach, lub są wędzone w dymie (haka ásu) i zwą się wtedy „ika atoli.“ Ryby „te atu“ i „te takhua“ niewolno wędzić; muszą one być dobrze oczyszczone, pokrajane w kawałki i pieczone w „imu.“ Jeżeli sposobem wyjątkowym czas bardzo burzliwy niepozwala wyjść na morze, to krajowcy zwracają się do ptaków mianowicie do gatunków: Tachypetes, Anous i Sterna, które łowią bardzo zręcznie w pętlice przymocowane do długich tyk lub kijów.

Pokarm roślinny znajduje się również obficie i dostarczają go, chlebowe drzewo, taro, banany i arrowroto.

Owoc chlebowy (gatunek wielkonasienny) bywa czasami gdy przedojrzały (huru pára) jedzony surowo. Zwykle jednak bywa owoc drzewa chlebowego pieczonym sposobem „tunu“ gdy jeszcze jest twardym, albo w „imu“ gdy zaczyna dojrzewać. W połączeniu z mlekiem kokosowém owoc chlebowy daje kilka bardzo pożywnych i smacznych potraw. Przedojrzały owoc, bardzo słodki gdy jest upieczonym, zwie się „huru mei mei,“ dodawszy do tego mleka kokosu otrzymuje się potrawa „te toho“; gdy zamiast mleka miesza się orzech skrobany, powstaje „te harta.“ Często owoc zostaje wyżłobiony w środku i napełniony mlekiem, które w piecu tężeje w postaci kremu, co się zowie „huru toroi.“

Z „pura“ (Armu macrorhizon), którego głąb’ jest nieraz bardzo wielkim, przygotowywa się także wiele potraw. Zwyczajnym sposobem, głąb’ zostaje dzielonym na mniejsze kawałki i pieczonym jednym z wyżéj wzmiankowanych sposobów. W „te ipu hao hao“ kawałki te zostają przed upieczeniem oblane mlekiem kokosu. „Te soro“ jest mięszaniną zeskrobanego puru i mleka, która zostaje zawiniętą w liść i pieczoną. W „pooi“, głąb’ zostaje pieczony i następnie starty, masa ta mięsza się z zeskrobanym orzechem i wodą młodego

orzecha i jest miękką i ciągłą jak ciasto surowe; jedzone jest po polinezyjsku przez wtykanie palca w potrawę i obwijanie tejże o takowy.

Taro właściwe (arum esculentum) zostaje przyrządzaném w sposób podobny jak pura i potrawy zwą się tutaj, „taro tunu, taro tao, o te me sorosoro, te ipu hao hao taro i te pooi taw.

Orzech kokosowy bywa jedzonym nietylko jako przyprawa do potraw ale i jako jadło, szczególniéj dla odmiany lub w złych czasach. Zwykle mięsza się zeskrobany orzech młody (moto moto) z dojrzałym (muka muka) i czasami dodaje się do tego „tómo" jabłko, zawarte w wnętrzu orzechów starych już zasychających.

„O te haikai pia" jest potrawą przygotowaną z mączki arrowrootowéj. Mączka ta zostaje rozrabianą z wodą młodych orzechów i pieczoną w liściach, ałbo gotowaną przy pomocy rozpalonych kamieni.

Banany zostają pieczone, jeżeli nie są spożywane surowo jako owoce.

Trzcina cukrowa służy tylko za przysmak.

Jako napój służy nukuorczykom głównie orzech kokosowy, w mniejszym stopniu woda, która musi być łowioną podczas deszczu. Picie wina palmowego (Kalewe) w stanie słodkim było krajowcom znane pierwotnie, dopiéro z przybyciem obcych zaczęto pić takowe sfermentowane (Kalewe ewii).

17.

Nukuorczycy są lepszymi rybakami niż ich północni sąsiedzi i używają do połowów swych wędki, sieci i dzidy. Wędki odznaczają doskonałém wykończeniem haków, które są z perłowéj macicy, jak również liny do tychże z kokosu lub włókien malwy należą do najlepszych na Archipelagu.

Łowienie na wędkę i w sieci mniejszego rozmiaru zwane „karauna" jest pozwolonèm każdemu, tylko z zdobyczy wędkowéj należy oddać ryb kilka naczelnikowi. By sobie zapewnić połów dobry, trzeba się znać na „takotonga ika", które głównie na tém polega, że ofiarowuje się jeden orzech bóstwu „Te hakta ariki." Orzech zostaje rozłupany i złożony na dnie czółna i po połowie wrzucany do morza. Ryby złowione siecią zostają rozdzielone między samych rybaków, jeżeli zaś sieć nie jest ich własnością, część jest oddaną właścicielowi. Przy łowieniu siecią bierze udział kilka czółen i do 10 ludzi. Ryby spłoszone w kierunku sieci, zostają otoczone i następnie zabijane dzidą lub wylawiane siatką ręczną (tae) pozostałe utykają głowami

w oczach sieci. Ta sama siatka ręczna służy do łowienia przy świetle pochodni ryb latających.

Zabijanie ryb dzidą odbywa się także najczęściéj przy świetle i dozwoloném jest tylko podczas uroczystości „takotonga.“ W ogóle nukuorczycy nie są zręczni w używaniu dzid, jak to już i sama forma tychże wskazuje. Jeden gatunek dzidy służy do przebijania ryb większych, śpiących w znaczniejszéj głębokości, forma mniejsza bywa rzucaną, ale nie z wolnéj ręki, tylko oparta na ręce lewéj i tak wyrzucana.

Główne i ogólne połowy rybackie mają miejsce podczas uroczystości „takotonga“ i używaną tu bywa „te upenga tonu“ sieć publiczna zawieszona w Sawae. Sieć ta jest wielkich rozmiarów i rzeczywiście składa się z licznych pojedyńczych sieci zszywanych na wodzie, tak że w danym razie można objąć znaczną przestrzeń, bez mozolenia się objętością i ciężkością sieci. Sieć zostaje zapuszczoną w wodzie głębokiéj i jest ciągniętą ku lądowi z uwagą, by dolny jéj brzeg był blizko dna, co, gdy woda ku brzegowi staje się płytszą, czyni się w ten sposób, że górny skraj sieci zostaje zwijanym w czółno. Taki połów daje zawsze ryb ilość wielką i często chwyta się i żółw albo rekin. Połowa takiego połowu zostaje oddaną wielkiemu kapłanowi, pozostała bywa rozdzieloną między naczelnika i lud. Podział ten ma miejsce publicznie i pod dozorem czterech ludzi z rodziny wielkiego kapłana i każdy krajowiec jest wołanym imiennie i odbiera swój pęk ryb. Żółwie zostają dzielone między naczelników tylko, gdy do podziału znajduje się tylko sztuka jedna, to głowa i wnętrzności dostają się kapłanowi, kończyny i grzbiet naczelnikowi świeckiemu, resztki zostają dzielone między obecnych.

18.

Główną część pokarmów roślinnych dostarczają kobiéty, które uprawiają „te husi“, plantacye tara, położone po za obrębem osiedlenia głównego. Na północ od granicy takowego, ciągnie się przestrzeń nieco zagłębiona i otoczona wyniosłemi brzegami, która jest poprzecinaną poprzecznie nasypami, kształtu grobli i które ją dzielą na liczne części, rozdzielone pomiędzy pojedyńcze familie. Dno tego husi jest wilgotne, prawie błotniste i służy do uprawienia Tara i Pura. Na wyniesionych groblach, które są suche, sadzone są banany, kurkuma i trzcina cukrowa. Cała uprawa dokonywa się tutaj gołą ręką przy pomocy najwyżéj kawałka kija, gdyż łopata do uprawy tara, napotkana na wyspach Mortlocka, a zrobiona z żebra żółwia, nie

znajduje się tutaj. Ta sama część żółwia zostaje tu pięknie oszlifowaną i na jednym końcu zaostrzoną i służy do krajania głąbów Pura i Tara.

Przyrządzanie kurkumy przez kobiéty ma miejsce tylko w pewnym oznaczonym czasie, odbywa się publicznie w umyślnie na to przeznaczonych domach i podlega szczególnym obrządkom. Cztery do sześciu kobiét zbiera razem korzeń kurkumy, który zostaje starannie oskrobany i przyniesiony w koszach do domu „hai lenga.“ Tutaj korzeń zostaje zcieranym na koralach powierzchni chropowatéj i masa cała moczoną jest noc jedną w wodzie. Następnego dnia kapłanka bóstw „Oru lama i te utonga“ która dogląda całéj sprawy, wzywa swe bóstwa i ofiarowuje im sześć orzechów, z których trzy są gatunku „uto“ (odmiana kokosu z łupiną słodką i jadalną) i trzy stare i dojrzałe z „somo“ w swém wnętrzu. Potém, kobiéty obecne przystępują do robienia proszku. Massa starta z dnia poprzedniego, zostaje przecieraną przez rodzaj przetaka, zrobiony z włókien kokosu i który zwie się „tanga tanga.“ W naczyniu umieszczoném pod przetakiem, zbiera się woda z zawieszonym proszkiem, który po niejakim czasie opada, i woda zostaje odlewaną. Otrzymana miękka masa zostaje kładzioną w formy małe, z skorup kokosu i w tych pieczoną w „imu“. Następnie wypieczone kawałki zostają suszone na słońcu i ostatnie proszkowane i zapakowane w liść bananowy zawieszone w domu.

Okoliczność, że nukuorczycy nazywają roślinę kurkumy „te ango“ i proszek z jéj korzenia otrzymany, „te lenga“, które to nazwy są identyczne z samoańskiemi, dowodzi że znajomość kurkumy i używanie jéj zostało przyniesioném z Samoa. Sposób przyrządzania proszku jest zupełnie identyczny z tym, który spotkałem na wyspach Ruk, centrze Karolin wielkich, gdzie nazwy są również spokrewnione z polinezyjskiemi, np. „eong“ za „ango“, (na wyspach Mortlocka „reng“ za „lenga“) co zdawałoby się wskazywać, że użytek kurkumy jest już pierwotnie wspólny oceańczykom, chociaż sposób przyrządzania nukuorski, zdaje się wskazywać na późniejsze zbliżenie się z karolińczykami.

Mączka z Arrowroot przygotowywa się w ten sam sposób jak kurkuma, tylko że zostaje suszoną na słońcu i niepodlega żadnym przepisom.

Olej kokosowy otrzymywanym jest z orzechów dojrzałych, startych na masę, którą się wystawia na słońce. Ilość wyrabianego oleju jest bardzo ograniczoną, a jakość, nieszczególną, gdyż zwyczaj uwieńczania takowego kwiatami lub pachnącemi liśćmi nie istnieje. Zapasy oleju są przechowywane w skorupach ślimaków Strombus i innych.

19.

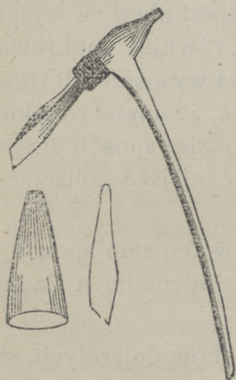
By łatwiéj ocenić przemysł miejscowy nukuorczyków, najlepiéj jest rozdzielić go, stosownie do jakości użytego materyału i zaczniemy tu od drzewa.

Krajowiec biegły w wyrobach z drzewa, szczególniéj większych jak w budowaniu domów i czółen, nazywa się „zapakhau“ i narzędzia jego składają się z siekier i dłut muszlowych, z świdra z zębów rekina i z falą morską przepędzonego pumeksu, który służy do polerowania skończonych wyrobów.

Siekiery muszlowe zostają przygotowane z skorupy muszli Tridaena albo z Terebra, mają one kształty i przeznaczenie rozmaite i odznaczone są oddzielnemi nazwami. Skorupa z Tridaena zwykle bardzo gruba i wielka, jest rozdzieloną na wązkie kawały w sposób nader żmudny, gdyż do krajania tak twardego materyału posiadają krajowcy tylko pumeks, co zabiera wiele czasu i jest zajęciem ludzi więcéj podeszłego wieku. Dzięki pumeksowi, nukuorczycy są wstanie dać swym siekierom bardzo piękną politurę, jak i wogóle wszystkie ich wyroby bądź z muszel bądź z drzewa odznaczają się pieczołowitém wykończeniem i ogładzeniem.

Tohi alo tahi, zwie się siekiera o ostrzu z Tridaeny, szerokim i osadzonym w poprzek do głowni trzonka, tak że siekiera taka jest właściwie wielkiem dłutem. Służy ona do obciosywania na grubo albo ostatecznego wykończenia powierzchni. Trzon do siekiery branym jest z gałęzi drzewa chlebowego. Wybiera się do tego gałąź, wychodzącą z gałęzi grubszéj pod pewnym kątem. Część grubsza zostaje krótko przeciętą i służy za osadę dla grzbietu lub obucha siekiery. Gałąź cieńsza stanowi właściwy trzonek, czasem do dwóch stóp długi, którego koniec dolny wiedziony jest ręką cieśli. Umocowanie siekiery w osadzie głowni trzonka ma miejsce przez obwiązanie sznurkiem kokosowym. Wszystkim nukuorskim siekierom właściwém jest, że trzonek jest nie prostym, jak naprzykład na Ponape lub innych sąsiednich wyspach, lecz o grzbiecie wypukłym, gdy tymczasem na wyspach Pelauskich jest wklęsłym. (Fig. 3).

Fig. 3.



Tohi alo tahi.

Bardzo interesującą jest jedna odmiana téj saméj siekiery, zwana „tohi uli uli,“ w któréj tutejszy cieśla starał się skombinować dłuto z siekierą. Osiągnął to przez to, że osada drewniana, w któréj siekiera spoczywa, jest w środku wyżłobioną i obraca się na osi będącéj przedłużeniem głowni trzonka. Przez to może zmienić położenie siekiery z poprzecznego na podłużne i z dłuta, którém mógł tylko obciosywać powierzchnię drzewa, otrzymał siekierę do cięcia poprzecznego.

Siekiera zwana „tohi ohu“ miała ostrze pryzmatyczne z końcem skośnym trójkątnym, którego wierzchołek zwróconym jest do góry. Siekiera ta jest dłutem, służącym do wyżłobiania rowków w drzewach przeznaczonych do rozszczepania. Odmiana jedna „te hi ohu“ ma siekierę cienką i długą, na końcu spiczastą i służy do wydłubywania ozdób zewnętrznych i do robót mniejszych wogóle. „Tohi hakoronga“ jest dłutem wypukłém, zrobionėm z skorupy ślimaka Terebra maculata, która została zeszlifowaną do połowy. Służy ona tylko do wyżłabiania, np. jam w czółnach i t. p.

Biorąc więc pod uwagę wyroby z drzewa, przemysłu tutejszego, zaczniemy od budownictwa, a mianowicie: budowania domów; a potém budownictwo czółen będzie przedmiotem przeglądu naszego.

Domy nukuorskie są rozróżniane, na „hale tonu“ albo „hale aitu,“ świątynie; „te hata“ domy publiczne, w których mężczyzni nieżonaci sypiają, a które biora nazwę od wyrazu „hata,“ oznaczającego podłogę, gdyż w domach tych znajduje się podłoga drewniana, co niema miejsca w innych domach; „te holau“ są domy, przeznaczone dla przechowywania czółen i przyrządów rybackich; „te hale tahao“ są małe domy wystawiane z powodu śmierci krewnych; „tokotu“ są zwykłe domy mieszkalne i nareszcie „imu,“ są szałasy przeznaczone do użytku kuchennego.

Wszystkie domy zbudowane są podług jednego planu zasadniczego, różnią się tylko wielkością i wykończeniem, które znowu zależy od przeznaczenia domu. Świątynie są np. zbudowane staranniéj, chociaż wogóle materyał kieruje tutaj cieślą i przeważa, gdyż wyspy tutejsze nie dają wiele drzewa, mogącego służyć za materyał budowlany.

Biorąc pod uwagę techniczne wykończenie domu, to rozróżnia się w nim: „te rau hale“—dach, „te mata hale“—front, „te muzi hale“—tył i „te pasi“—boki. W domach „hata“ znajduje się podłoga z obok siebie ułożonych okrąglaków, na których śpią mieszkańcy, w domach zwykłych mieszkalnych albo raczéj familijnych podłogi niema, ale za to znajduje się rodzaj sufitu, na którym przechowywa się własność familii.

Pojedyncze sztuki drzewa, wchodzące do budowy domu, są następujące:

1. „Turu turu“ są to podpory boczne i narożne, stanowiące szkielet ścian i podtrzymujące dach cały. Podpory te są wybierane z pniów drzew Milo, Pua albo Kanawa. W wielkich świątyniach są one tylko 1½ metra wysokie i znajduje ich się aż 10—20 na każdéj stronie w oddaleniu jednego sążnia od siebie. Grubość ich tutaj jest około 6 cali. W domach publicznych jest ich tylko 6 na każdéj stronie, a w zwykłych domach mieszkalnych tylko 3, ale za to grubość ich tutaj dochodzi do jednéj stopy. Wysokość ich w zwykłych domach jest przeszło 2 metry.

2. „Sanga“ są to belki podłużne boczne, spoczywające na podporach wyżéj wymienionych. W świątyniach są one z starych drzew paudanowych. W domach „tahao“ bywają one pięknie polerowane. Zwykle bierze się do nich okrąglak bez staranniejszego obrobienia.

3. „Tokai“ są belki poprzeczne, spoczywające na poprzednich. W zwykłym domu jest ich tylko trzy, na każdym końcu domu jedna i jedna w środku. W świątyni Amalau jest ich sztuk 16. Są one zrobione z pniów paudanów.

4. „Pou“ są podpory pionowe, stojące na środku poprzednich belek i podpierają one belkę stropową dachu.

5. „Tahuhu“ jest na poprzedzających podporach spoczywająca belka podłużna, stanowiąca strop dachu. Przy budowie starannéj, jest ona z drzewa paudanowego, w innych razach z jakiejkolwiek odpowiedniéj sztuki drzewa.

6. „Te oho“ są krokwie główne, krzyżujące się końcami górnymi nad belką stropową, a leżące końcem dolnym na belce „sanga,“ stanowiącéj górny brzeg ścian bocznych domu.

7. „Tao tahuhu“ jest to okrąglak mniejszéj średnicy, długości dachu, leżący w górném skrzyżowaniu krokiew głównych.

8. „Tao sanga“ jest podobny okrąglak przymocowany poprzecznie wzdłuż dolnych końców krokiew.

4. „Kaukau“ są to łaty dachowe 4 do 6 sztuk przymocowane równolegle do siebie w oddaleniach równych od siebie. Spoczywają one na krokwiach głównych, pomiędzy N. 7 i N. 8.

10. „Kili hale“ są to cienkie sztuki lub pręty, przymocowane w kształcie krokiew do łat dachowych i służą do przymocowania ostatecznego gontówki liściowéj. Krokwie te są liczne i oddalone od siebie na stopę jedną.

11. „Tao palu“ jest trzecią sztuką drzewa, stanowiącą strop dachu, spoczywa ona w skrzyżowaniu górném „kili hale“ i zabezpiecza ich spojenie górne.

Spajanie wszystkich tych części ma miejsce przy pomocy sznurka kokosowego, którym także przyszywa się i dach do krokiew górnych.

Dach składa się z liści pandamu. Kilkanaście takich liści zostaje złożonych w środku i zszytych na pręt około 6 stóp długi. Każdy taki pręt stanowi jedną gontówkę lub dachówkę, która składa się z dwóch warstw liści krzyżujących się, gdyż liść zostaje w środku przegiętym. Te pojedyncze sztuki zostają przyszyte sztychem ciągłym do krokiew, poczynając od dołu, tak że każda górna sztuka przykrywa dolną. Powstaje więc pokrycie z początku wprawdzie najeżone, które jednak po niejakim czasie ugładza się i jest bardzo ścisłém i nieprzenikliwém.

Boki domu są zwykle otwartemi, tylko w świątyni Amalau znajduje się rodzaj ogrodzenia z cienkich prętów, w którém w małych przedziałach znajdują się wejścia wolne (watun). Po uroczystościach, ogrodzenie to zostaje pokrytem liśćmi i stanowi ściany, zamykające świątynię.

Budowa nowego domu połączoną jest z pewnymi obrządkami religijnymi. Skoro podpory narożne i pierwsze belki boczne są gotowe, zostaje przywoływanym kapłan, który ma za zadanie uspokoić duchów użytego drzewa. W tym celu przymocowywa on pośród ogólnego mruczenia i zaklęć, talizman ofiarę, do końca belki. Talizmanem tym jest orzech kokosowy z liściem téj saméj palmy. Nie bez interesu jest okoliczność, że ten sam zwyczaj panuje na wszystkich wyspach niskich Karolin i na wyspach Ruk albo Hogolu.

Świątynia Amalau zostaje budowaną przez cały lud. Toż samo ma miejsce z domem Sawae, który zostaje odbudowywanym każdą razą, gdy kamień bóstwa Marusanga zostaje odnowionym. Świątynie pozostałe zostają budowane przez pojedyńcze „sa alunga,“ do których należą.

Czółna nukuorskie należą, pod względem wykończenia zewnętrznego i budowy szczegółowéj jak również i praktyczności w użyciu, do najlepszych czółen Oceanu wielkiego. Na Karolinach wielkich chyba by tylko czółna żaglowe pelauczyków mogły walczyć o lepsze z czółnami nukuorskiemi; nie dla tego, by czółna nukuorskie były mniéj zdolnémi do żeglugi, ale z powodu, że nukuorczycy mając doskonałe czółna, nie potrafią i nie potrzebują takowych użyć do żeglowania na otwartém morzu. Przyczyną doskonałego ich wykończenia zewnętrznego jest ta okoliczność, że nukuorczycy mają dostatek starych pniów drzewa chlebowego, które nadaje się doskonale do obrobienia, przytém „rapakhau“ tutejszy znajduje w pumek-

się środek doskonały do nadania wyrobom swym pozoru troskliwego wykończenia.

Drzewo do budowy czółen przydatne, stanowi regalię naczelnika świeckiego i pozwolenie do ścięcia pnia odpowiedniego, musi być opłacone i ma miejsce po odbyciu ceremonii religijnych właściwych. Budowanie czółen nie jest dowolném; ograniczone ono jest na czas bardzo krótki — trzech miesięcy po śmierci każdego wielkiego kapłana.

„Ariki taholiki“ wskazuje pień do ścięcia zdatny. Zapłatę stanowi szyldkret, albo proszek kurkumy, pudła lub inne przedmioty krajowego przemysłu. Gdy czas do budowania czółen jest bardzo ograniczony, przeto czeka się, dopóki nie zbierze się pewna liczba krajowców, chcących budować czółna i obrządki religijne odbywają się ogólnie i wspólnie. Każdy pień, przeznaczony do ścięcia, winien być poświęconym przez kapłana, który po swych tajemnych zaklęciach, uderza go razy osiem siekierą, umyślnie na ten cel przeznaczoną. Po tém następuje ścięcie drzewa (sóle), co przy grubych pniach zabiera 3—4 dni czasu. Potém następuje ociosanie z gruba (etá) dopóki nie otrzyma się w przybliżeniu formy czółna. Prace dotychczasowe były wykonywane przez ogół robotników, t. j. krajowców, przyjaciół przyszłego właściciela. Obecnie „zapokhau“ sam bierze sztukę w robotę i nadaje jéj kształt i wymiary ostateczne. Wyżłobienie czółna, jako praca znowu przeważnie mechaniczna, zostaje dokonaném przez ogół robotników, poczém korpus czółna zostaje szlifowanym pumeksem bardzo starannie. Wszystkie części dodatkowe zostają następnie wykonane; powiązanie ich ostateczne następuje dopiéro na krótki czas przed wpuszczeniem czółna na wodę.

Wszystkie czółna, wykończone jednego czasu, zostają spuszczone na wodę razem i to przy przestrzeganiu pewnych ceremonii religijnych. Obrządek polega na tém, że w każde czółno zostaje włożonym: jeden młody orzech kokosowy i dwadzieścia starych, oprócz jednego upieczonego „pura“ (t. j. głąbiu Arum maerootison). W każde czółno wstępuje kapłan i czółna odbijają od brzegu. Kapłan wypija część mleka z młodego orzecha, resztę wylewa do jamy czółna. Tak samo rozbija orzechy stare, których wodę wylewa do czółna. Pura zostaje rozciętą na małe kawałki, z których kapłan rzuca trzy w powietrze a trzy podnosi do ust; poczém czółno wraca na ląd i pozostałości zostają rozdzielone między ludność zgromadzoną na brzegu.

Budowanie nowych czółen jest dzisiaj w Nukuoro bardzo ograniczone, gdyż z czasów przeszłych znajduje się zapas znaczny. Dzi-

siaj np. (w lipcu 1879), znajduje się 80 dobrych czółen, umieszczonych w 21 domach „holau," rozdzielonych na wybrzeżach Nukuoro.

Nukuorczycy rozróżniają dwie formy czółen. Jedna zwie się „se moni" i jest tylko mniejszych rozmiarów. Czółno właściwe „wakha" jest do 50 stóp długie i jest wiosłowaném przez 13 ludzi.

Model czółna nukuorskiego pochodzi z Polinezyi i przypomina czółno samoańskie, zwane „Fangota." W czółnie tym jeden koniec kończy się krawędzią pionową, a drugi koniec jest wąski i wynosi się po nad wodę, tak samo jak to ma miejsce w podwójnych czółnach wysp Viti i Tonga. Nukuorskie czółno ma oba końce zakończone krawędzią pionową jednakowego kształtu, pochodzenie pierwotne zdradza się jedném z praw „tapu," które nakazuje uważać tylko jeden koniec jako przedni.

Jak we wszystkich czółnach oceańskich, w czółnie nukuorskiem rozróżnia się czółno właściwe—„wakha," pływak—„te ama" i części poprzeczne wiążące, obie te części (Fig. 4).

Część główna czółna: „te wakha" jest długie i wąskie, na obu końcach spiczaste i rozróżnia się w niém: „tua siwi" brzeg dnowy albo krawędź dolną (gdyż czółno jest w przecięciu poprzeczném kształtu serca); oba końce „pito," z których przedni zwie się „pitomua," tylny zaś „pito muri;" dwie strony „pasiki," z których prawa zwie się „katea," a lewa od strony pływaka położona „pasiki ama." Wnętrze czółna wyżłobione zwie się „loto," które jest obwiedzione płaską i szeroką krawędzią zwaną „te oái." (Fig. 5).

Pływak „te ama" jest również bardzo starannie wykończoną sztuką drzewa, o formie eleganckiéj, która ma za zadanie utrzymać czółno właściwe w równowadze. Kształt pływaka jest wydłużony, ostry na obu końcach o powierzchni gładkiéj i konturze pięknie wygiętym. Na górnéj stronie pływaka znajdują się dwa wyżłobienia opatrzone mchem, zwane „se haonga," przez które przewleka się sznurek, stanowiący wiązanie „soa soa," łączące pływak z rusztowaniem poprzeczném czółna. Dla nadania sztywności temu połączeniu, znajdują się przy każdém „haonga" cztery cienkie lecz silne pręty, które zwą się „atoto" i które krzyżując się, zostają w górze związane z rusztowaniem.

Połączenie czółna z pływakiem ma miejsce przez dwie sztuki, wyciosane z drzewa twardego, które zostają przymocowane grubszym końcem do pokładu czółna, tak że koniec cieńszy znajduje się tuż nad pływakiem. Owe dwie sztuki zwą się „kiata" i służą nadto do dźwigania luźnego rusztowania i rodzaju półki, służącéj do składania rzeczy i przyborów.

Fig. 4.

Profil.

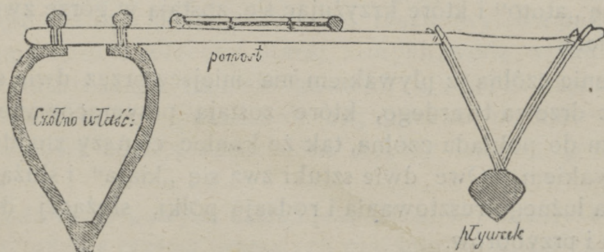
pływak

pomost

czółno
właśc.

Widok z góry.

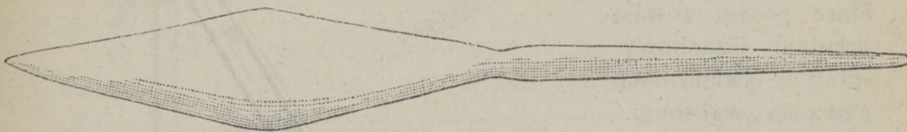
Fig. 5.



Przecięcie poprzeczne.
Czółno nukuorskie mniejsze (moni).

Wiosła nukuorskie są najpiękniejsze i najlepsze w Archipelagu. Wyrobione one są z drzewa chlebowego i dowodzą wielkością swéj platy, że nukuorczycy są głównie wioślarzami (Fig. 6).

Fig. 6.



Wiosło.

Jakkolwiek dzisiejsi nukuorczycy nie są żeglarzami i choć znając użytek żagla, takowego nie używają, puszczają się czasem na otwarte morze, szczególniéj dzisiaj, gdy znając okręty nasze i handel, starają się zetknąć z przechodzącemi w oddali nawami. Czasami gdy pogoda dobra, oddalają się na 5 i więcéj mil aż ląd ich znika im z oczów.

Konstrukcya szczegółowa czółna i domu może być łatwiéj zrozumianą z dołączonego rysunku (Fig. 4 i 7).

Inne wyroby z drzewa są:

1) „Te nawesi," pudło z pokrywami, wyżłobione z drzewa chlebowego. Bywają one rozmaitéj wielkości i służą do przechowywania kurkumy i innych przedmiotów, głównie jednak przyborów wędkowych rybackich i nie przechodzą tutaj jednéj stopy długości. Charakterystyczną jest ich forma zwężona u dołu i obecność rączek przy pokrywie, które służą do obwiązania pudła szuurkiem. Wykończenie pudła, regularność formy, ogładzenie są znakomite, gdy jednak takowe wyciosaném bywa z jednéj sztuki, przeto w stosunku do niewielkiego wnętrza pudła, drzewo w niém przeważa. (Fig. 8).

Główne przeznaczenie nukuorskiego pudła jest rybackie, gdyż zwężona forma dna nadaje się doskonale do czółna, a nie do użytku w domu, gdzie „nawezi" zostaje zawsze zawieszoném, gdyż stać dobrze nie może, nietyle dla wązkości dna, ale i dlatego głównie, że sznurki umocowane w około rączek wiążą pudło podłużne i stanowią na powierzchni dna wypukłość Podobnego modelu pudło znalazłem i na Karolinach centralnych, choć w formie większéj i obrobieniu grubszém, gdyż pumeks tam nie bywa używanym. Nukuorska forma jest zastosowaniem miejscowém modelu, przyniesionego z północy, zapewne przez jedno z przypędzonych czółen karolińskich, gdyż podobnéj formy pudła są mi nieznane z Polinezyi i nukuorczycy nie mogli ich przynieść z swéj ojczyzny pierwotnéj.

2) „Te tino aitu“ posągi drewniane bogów zostają od czasu do czasu odnawiane, gdyż drzewo chlebowe łatwo próchnieje. Stare posągi zostają składane i zachowywane w świątyniach i zwą się „wai songi,“ to jest wonna woda. Wykonaniem nowego posągu zajmuje się „zapakhan,“ i drzewo zostaje mu przyniesione na brzeg morski, przed dom „Sawae.“ Chociaż w obrabianiu mechanicznem drzewa, nukuorczycy przewyższają nawet pelanczyków, w wyobrażeniach owych bóstw są bardzo niezręcznymi i grubymi.

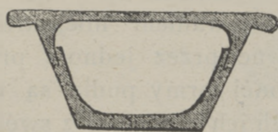
3) „Se kameti“ są to naczynia drewniane kształtów miski lub kadzi, przygotowywane na różne cele i oznaczone rozmaitemi nazwami. „Kameti hei hekau“ bywa wyżłobionem z drzew „Pua“ albo „Hekau“ i jest kadzią czasami do 6 stóp długą, 2 st. szeroką i $1^1/_2$ wysoką, kształtu podłużnie czworokątnego. Służy ona do przygotowywania „Soro“ podczas uroczystości, za

Fig. 7.

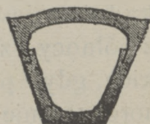
1. Turu turu. 2. Tokai. 3. Pou. 4. Sanga. 5. Tahuhu. 6. Teoko 7. Tao tahuhu 8. Tao sanga. 9. Kaukau. 10. Kili hale. 11. Tao patu.

Przecięcie domu nukuorskiego.

Fig. 8



Przecięcie podłużne pudła.



Przecięcie poprzeczne.

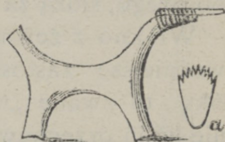
zwykła jednak łowi się w nią wodę deszczową. „Kameti kai me“ są to okrągłe miski od 10 do 24 cali szerokie, 4—6 cali wysokie. Służą one do przechowania pokarmów lub jak formy większe do 2 stóp wielkie i nazwane „kameti woi solo,“ do przygotowania „Pie“ i proszku kurkumy. „Te kameti aitu“ są to miski kształtu rombowego, przeznaczone do przechowania kwiatów ofiarowanych bogom.

Na wyspach wysokich (plutonicznych) Karolin, naczynia drewniane i czółna są malowane czerwono i lakierowane. Gdy jednakże wyspy niskie (koralowe) nie posiadają ochry czerwonéj, wyroby więc nukuorskie są barwy naturalnéj, tylko czasami zabarwione żółto potarciem lekkiem kurkumy.

4) Dzidy rybackie odznaczają się swoją niepospolitą wielkością. Są one pikami do kłucia, a nie dzidami przeznaczonemi do rzutu. Dzidy wielkie są do 30 stóp długie, z lekkiego drzewa malwowego. Są one w środku grube do 2 cali, tylko głównia jest z twardego drzewa starych palm kokosowych. Dzidy mniejsze są podobne kształtem do większych i tylko się różnią rozmiarami. W obu gatunkach dzid główne są gładkie bez zasieków.

5) „Te tuai“ jest to sztuka drzewa wyciosana w kształcie siodła z jednym końcem wydłużonym i służącym do przymocowania płyty żelaznéj, ząbkowanéj, na któréj zostaje ścinanym orzech kokosowy na papkę. (Fig. 9). Narzędzie jest więc skrobaczem, a osoba działająca siedzi w siodle przyrządu.

Fig. 9.



Skrobacz (profil).
a płyta żelazna ząbkowana.

6) Grzebienie są wyrabiane z drzewa Kasiki albo z Milo, są one albo w kształcie prostych szpilek, albo są kilkozębowe. W kształcie ogólnym zbliżają się one do grzebieni mortleckich i zukskich, lecz są mniéj wykończone, gdyż w Nukuoro krajowcy nie używają grzebieni do ozdoby, a używają je tylko w domu, gdy tymczasem krajowcy północni używają grzebień za ozdobę głowy i noszą takowy wetknięty w włosy.

Nareszcie należy do wyrobów drewnianych zaliczyć jeszcze niektóre części przyrządu tkackiego, który krajowcy przyjęli bezwątpienia od swych północnych sąsiadów, gdyż na południu Oceanu tkanie właściwe jest nieznaném i zastąpione zostaje pleceniem ręczném albo rozmiażdżaniem łyka drzew rozmaitych.

„Te rahau maro“ (drzewo do robienia maro), składa się z ośmiu części czyli sztuk pojedyńczych, z których cztery dostarcza trzcina bambusowa, przynoszona tu falą, pozostałe cztery są z drzewa i odzna-

czają się wykończeniem dokładniejszém niż na wyspach sąsiednich. Części te są: „papa“—dwie deski z drzewa twardego, z których jedna opatrzona jest na końcach sęczkami, na które nawleka się pas tkacki, obwodzący stan osoby pracującéj i który napręża cały przyrząd; „te ranguga,“ sztuka długa do 1 metra, wąska na środku 3 cali i ku obu końcom zwężona, w obu brzegach ostra, służy do utwierdzania włókien poprzecznych sztuki tkanéj. Narzędzie to ma kształt miecza prostego i jest tak dokładnie wypolerowaném, że brano je nieraz za narzędzie wojenne. Ostatnią częścią jest czółenko albo raczéj żyła tkacka, na któréj nawiniętą jest nić albo włókno poprzeczne. Igła ta jest również wykończoną elegancko i regularnie i mogłaby być braną mylnie za igłę rybacką do robienia sieci.

20.

Po drzewie zasługują włókna roślinne na uwagę główną. Liście drzew użyte są w przemyśle krajowym w sposób bardzo prosty. Liście Pandanu służą do pokrycia dachów. Liście kokosowe dają materyał na fartuchy kobiéce zwane „titi.“ Liście bananowe służą do zawijania jadła i innych przedmiotów, jak również z liśćmi drzewa chlebowego, służą za talerze i podkładki w zajęciach kuchennych.

Włókno z zewnętrznéj powłoki orzecha kokosowego znajduje najważniejsze zastosowanie w gospodarce krajowéj i przemyśle. Włókno to zwane „tuká,“ otrzymuje się, przez macerowanie łupin orzechów, nie zupełnie dojrzałych w ogrodzeniach (pae tuká) kamiennych nad wybrzeżem morskiem. Po jednomiesięczném macerowaniu zostają one rozbijane kamieniami i po dobrém wymyciu, suszonemi w słońcu. Otrzymane włókno stanowi nietylko, jak w ostatnich czasach, artykuł handlowy, płacony 1 do 2 centów (do 5 groszy pol.) za funt, ale daje materyał surowy do wielkiéj liczby wyrobów krajowych.

Fig. 10.



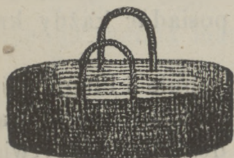
Pas tkacki.

Z zwyczajnego włókna zostaje skręcony zwyczajny sznurek albo szpagat kokosowy zwany „liholiho.“ Składa on się z dwóch pasów i stanowi materyał do najrozmaitszych wyrobów, oprócz tego że jest jedynym środkiem do łączenia i związywania lub łączenia w budownictwie domów i czółen.—Ze zwykłego „liholiho“ krajowcy pletą rozmaite przedmioty:

1) „Se tun“ jest pas tkacki 6—8 cali szeroki (Figura 10), węższy ku końcowi i zakończony uchem, w które się zakłada rączka „papa,“ jednéj z desek przyrządu tkackiego.

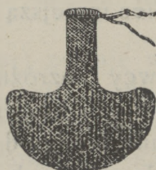
2) „Tanga tanga“ (tanga znaczy w samoańskim języku „worek“), są to kosze lub kieski przeznaczone do przechowywania rozmaitych przedmiotów drobnych (Fig. 11). Są one albo kształtu okrągłego, albo kształtu flaszek o brzuchu półksiężycowym i długiéj szyi (Fig. 12). Sposób wyrobu jest dwojaki. Kosze okrągłe są wykończone sposobem przetkanym (Fig. 13), kiesy formy flaszkowéj są plecione w kształcie sieci (Fig. 14).

Fig. 11.



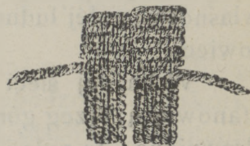
Kosz okrągły przetkany.

Fig. 12.



Kiesa kształtu flaszki roboty siatkowéj.

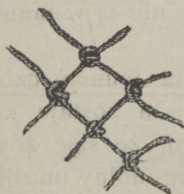
Fig. 13.



Sposób plecenia koszy przetkany.

3) „Tia tia“ są to powłoki siatkowite naczyń przeznaczonych do wody, zwykle skorupy starego orzecha kokosowego. (Fig. 15).

Fig. 14.



Sposób plecenia siatkowy.

Fig. 15



Kokos opleciony do wody.

Fig 16.



Korona kapłańska.

4) „Tidi“ są to ozdoby głowy kształtu obrączek z przodem, wynoszącym się w kształcie strzały (Fig. 16). Obrączka jest spleciona z szpagatu kokosowego i powleczona sokiem drzewa chlebowego zabarwionego zielono. Strzała jest z włókien pandanu i zabarwioną jest żółto proszkiem kurkumy. Korona ta noszoną jest przez kapłanów, jak również głowy bożków są nią ozdobione.

Oprócz sznurka dwópasmowego, znanym jest również sznurek polinezyjski, spleciony z trzech pasem w postaci warkocza, a który

zwie się na Polinezyi „afa.“ Tutaj zwie się on „kafa,“ ale jest mało używanym.

Z włókna kokosowego zostają kręcone liny i sznury, z których ostatnich najcieńsze służą do plecenia sieci rybackich (upénga).

Sieć zwana „karauna“ jest formą mniejszą, z dwóch form znanych na miejscu. Sznurek jest tu do 5 mm. gruby, a sieć sama 10 do 15 sążni długa, a jeden sążeń głęboka. Sieć taka choć służy do łowienia ryb większych, nazywaną tu jest małą siecią dla odróżnienia od „upenga tonu“ t. j. sieci właściwéj, wielkiéj sieci, będącéj własnością całéj ludności. Sieć mniejszą może posiadać każdy krajowiec.

W każdéj sieci krajowcy rozróżniają: „te pule i lunga,“ linę stanowiącą brzeg górny sieci, do któréj przytwierdzone są pływaki drewniane, „te pale i lalo“ linę brzegu dolnego, do któréj przytwierdza się ciężary z kamieni koralowych. Brzegi krótkie boczne zwą się „te pito.“ Liny obu brzegów schodzą się na każdéj stronie w jedną linę „maia tonu,“ która służy do wleczenia sieci.

„Upenga tonu“ jest złożoną z kilkunastu oddzielnych części, które zostają spajane w jednę sieć wielką w chwili połowu. Bywa ona do 100 sążni długa i 15 głęboka, gdyż używaną ona jest tylko w wodzie głębokiéj. W wykończeniu swém różni się sieć wielka grubością sznurka, dochodzącą do 8 mm. i tém, że ten sznurek jest branym podwójnie, tak, że i większe ryby i żółwie nie są wstanie jéj przerwać.

Pojedyńcze części sieci są złożone każda na jednéni czółnie i przy zarzucaniu jéj, ich liczba większa lub mniejsza zostaje związywaną. Gdy łowienie tą siecią ryb polega na tém, że sieć zostaje zanurzoną w wodzie głębokiéj, ale tak, by jéj brzeg dolny unosił się tuż po nad dnem i wszystkie ryby, objęte siecią zostają wpędzane na brzeg, przeto sieć ta ma liczne liny umocowane na jéj brzegu górnym w odległości kilku sążni od siebie, które służą do podnoszenia lub skrócenia sieci, gdyż inaczéj brzeg dolny rwałby się na dnie, wchodząc w coraz płytszą wodę ku brzegowi.

Użycie nowéj sieci wielkiéj odbywa się wobec całéj ludności i to z rozmaitemi ceremoniami religijnemi. Sieć zostaje rozpostartą na wybrzeżu i wszyscy mężczyzni przynoszą ofiary z jadła, które zostają złożone w sieci, poczém ta zostaje zwiniętą i zanurzoną w wodzie, podczas czego kapłan odprawia swe modły i zaklęcia. Po wyjęciu sieci z wody, ofiary zostają oddalone i cała ludność udaje się odrazu na pierwszy połów publiczny. Poświęcenie nowéj sieci zwie się „húi te upenga“

Liny i sznury bywają rozróżniane:

1) „Soa soa“ 6 mm. gruby sznurek do przytwierdzania pływaka do czółna.

2) „Sali“ lina do 2 centimetrów gruba, służąca za drabinę do włażenia na drzewa chlebowe w celu zrywania owoców.

3) „Taura“ 10 — 15 mm. gruba, służy za linę kotwicową dla czółen.

4) „Maia sele“ z trzech lin mniejszych, skręcona lina, gruba do 3 centymetrów i więcéj, służy do dźwigania ciężarów, wleczenia pni i t. p.

Z lin 10 mm. grubych zostają plecione sieci pogrzebowe — „upenga tamata mate.“

Z łyka malwy (*Hibiscus*) zostaje wyrabianém włókno, służące do rozmaitych wyrobów. Łyko zostaje oswobodzone z naskórka, przez oskrobanie skorupą muszli Arca, wymyte, suszone i następnie rozdzielane na cienkie pasemka lub nitki. Włókno to zostaje używaném na wyspach Karolin do tkanin, na Nukuoro robią z niego:

1) Luźne włókna służą do wiązania drobnych rzeczy, do wieńców i t. p.

2) „Uka“ liny bardzo silne i giętkie, szczególnie do wędek. Grubość ich jest od 2 mm. dla ryb zwyczajnych, do 7 mm. dla rekinów i innych ryb wielkich.

3) „Uka maka kula,“ linka bardzo cienka, lecz nader silna i długa, służąca do wciągania liny zwanéj „sali“ na wyższe konary drzewa chlebowego. W tym celu jeden jéj koniec zostaje przywiązany do małego kamienia i zostaje przerzucony po nad gałęzią w koronie drzewa. Giętkość i cienkość liny sprawia, że koniec się spuszcza i wtedy krajowiec mając oba końce liny w ręku, przywiązuje do jéj drugiego końca linę grubą i tę wciąga na gałąź, przez co otrzymuje silną podporę dla włażenia na najwyższe szczyty drzew.

4) Niektóre sieci małe, rybackie, zostają robione z włókien Hibiku.

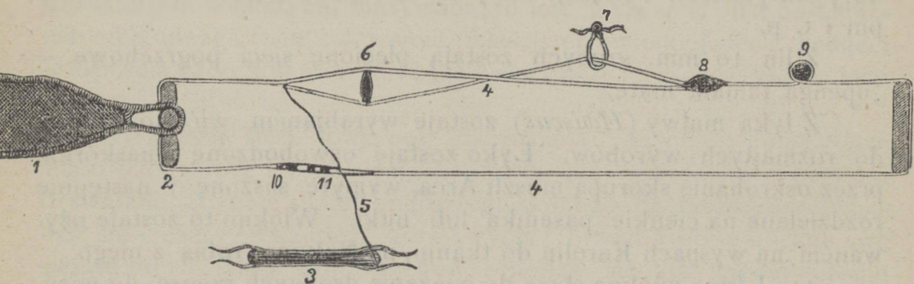
5) Czasami choć rzadko, włókna służą do tkania „maro,“ przepasek męskich.

Najważniejsze znaczenie dla przemysłu krajowego ma jednak włókno bananowe, które stanowi materyał główny tkacki, a przyrządzeniem i zużyciem którego zajmują się kobiety tutejsze. Pień bananowy zostaje ścięty na długość stóp 6 i kolisto złożone liścienie lub warstwy zostają rozłupane i wypłaszczone i wyskrobane perłową macicą, przez co włókno zostaje oswobodzone z miąższu. Po dobrém wymyciu, włókno to zostaje suszone na słońcu i idzie do ręki mężczyzn, którzy muszą przygotować nić do tkania gotową. Włókna pojedyńcze, sześć stóp długie, zostają ogladzone palcem i zwią

zane końcami, poczém, zostają zwijane w wielkie kłąby i chowane aż do użycia.

Tkanie (langa te maro) odbywa się na przyrządzie prawie identycznym z tym, który się napotyka na Ruk i na wyspach Mortlocka. (Fig. 17). Przyrząd ten składa się z dwóch desek (papa), w któ-

Fig. 17.



1. Se tnu
2. Papa
3. Sika
4. Purata
5. Kanosika
6. Ranguga
7. Toro
8. Panulu
9. Tapanulu
10. Kapi
11. Han

Profil nukuorskiego przyrządu tkackiego.

rych jedna przytwierdzoną jest do osoby pracującéj za pomocą pasa wyżéj już opisanego, a druga zatrzymaną jest przez dwa kije wetknięte w ziemię. Te dwie deski stanowią ramę, na którą się nawija nić podłużna sztuki (te purata). Nić poprzeczna (te kanosika) nawiniętą jest na igłę tkacką (sika), która zostaje przerzucaną ręką ze strony na stronę, a potém, gdy nitki podłużne się skrzyżują, nowe pasmo zostaje przyciśnięte mieczem również powyżéj wzmiankowanym, przez co tkanie staje się ściślejszém. Rozdzielanie nitek podłużnych na dwie warstwy, które krzyżując się przeplatane są nitką poprzeczną, uskutecznione jest przez cienki pręt okrągły, zwany „toro“, na którym znajduje się szereg pętlic, przez które przesunięte są naprzemian nici podłużne. W spoczynku nici podłużne stanowią jedną powierzchnię tylko, po podniesieniu „toro“, połowa wszystkich nitek się podnosi i w powstały odstęp przesuwa się nitka poprzeczna. Położenie horyzontalne nitek regulowane jest przez kawałek okrągłego bambusa, o który wszystkie nitki podłużne zostają starannie jeden raz obwinięte i na którego gładkiéj powierzchni przesuwają się jakby na walcu. Bambus ten zwie się „tapanulu.“ Rozdział na dwie warstwy regulowanym jest przez „panulu,“ płaski kawał rozłupanego bambusu, który przechodzi pomiędzy obiema warstwami nitek.

Różnica w przyrządzie tkackim nukuorskim polega na tém, że oprócz powyżéj wymienionych części, znajdujących się i w przyrzą-

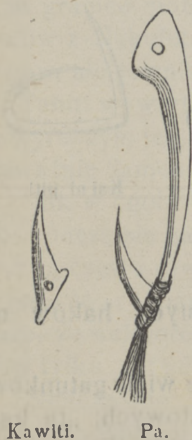
dach wysp Mortlocka i Ruka, nukuorskie tkaczki przesuwają w poprzek pomiędzy nitki podłużne dwa wąskie paski z cienkiego bambusu (te kapi) i dwa pasma grubych włókien z Hibisen, co ma miejsce przy zaczęciu tkania. Nietylko że to ostatnie jest przez to ułatwione, ale nadto, po ukończeniu sztuki owe paski bambusu zostają wyciągnięte i sztuka w tém miejscu przekrajaną.

Nałożenie nitek do nowéj sztuki wymaga wielkiéj staranności i w ogóle całe tkanie jest bardzo powolne. Przepaska 9 stóp długa i 3 szeroka, zabiera zręcznéj kobiecie miesiąc czasu. Tkaniny miejscowe odznaczają się gładkiem i zbitém utkaniem korzystnie od tkanin sąsiednich wysp, co należy głównie przypisać dokładnemu wykończeniu ich miecza tkackiego, którego brzeg jest nader regularny i cienki.

Wszystkie tkaniny z włókna bananowego zostają późniéj farbowane na żółto proszkiem kurkumy.

Przemysł szylkretowy jest nieco mniéj rozwinięty niż na niektórych innych wyspach Archipelagu, gdyż sam materyał stanowi regalię naczelnika i znajduje się tylko bardzo skąpo.

Fig. 18.



Kawiti. Pa.

Z „unga kea“ tj. szyldkretu grubego (z Chelonia imbricala) są wyrabiane:

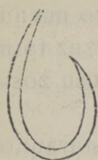
1) „Kawiti“, ostrza haków do łowienia benitów (Thynnus pelamys) przeznaczone. Wędki te są wleczone za czółném na otwartém morzu i zwodzą rybę swym błyszczącym pozorem, gdyż trzony haków są z perłowéj macicy. Koniec haka opatrzony jest pęczkiem białych włókien Hibisen. Hak ten pod nazwą „Pa“ (Fig. 18) znanym i wielce cenionym jest na całéj Polinezyi.

2) Dwa gatunki haczyków do wędek, dla ryb małych, „matan pélu pélu“ (Fig. 19) i „matan kina“ (Fig. 20).

3) „Kai pinilapa“ (Fig. 21) jedyna ozdoba uszna nukuorska. Jest to cienka blaszka szyldkretu, kształtu okrągłego, osadzona w środku na żeberku lub nerwie kokosowego liścia. Ozdobniejsze składają się z kilku kółek zmniejszających się ku górze i ozdobionych na brzegu wycięciami.

4) „Pulei,“ są to zwyczajne obrączki, wycięte z szyldkretu za pomocą przyrządu kształtu naszego cyrkla, którego jedno ramię opatrzone jest zębem rekina. Narzędzie zwie się „rakau mangaloa.“

Fig. 19.



Matau pelu pelu.

Fig. 20.



Matau kina.

Fig. 21.



Kai Pinilopa.

Fig. 22.



Rakau mangaloa.

5) „Haunga,“ (Fig. 23) małe trójkątne kawałki, które się kładą na pierś kobiéty po operacyi tatowania.

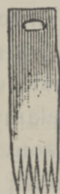
6) „Te au“, grabki używane do tatowania. (Fig. 24).

Fig. 23.



Te haunga.

Fig. 24



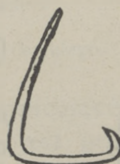
Te au.

Fig. 25.



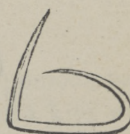
Maimoni.

Fig. 26.



Kau tahi.

Fig. 27.



Kai ni piti.

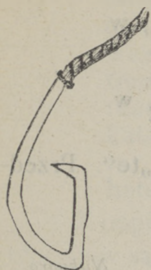
Z perłowéj macicy bywają wyrabiane:

1) „Te pa“ trzony do wyżéj wzmiankowanych haków na benity.

2) Haki do wędek w ogóle, których się znajduje wiele gatunków. Tak: „maimoni,“ (Fig. 25) dla ryb większych gruntowych; „te kau taki“ (Fig. 26) dla ryb o gębie rurkowatéj; „kai ni piti“ (Fig. 27) dla ryb małych, itd. W ogóle nukuorczycy są doskonałymi rybakami na wędkę i dbają wiele o swe przyrządy wędkowe. Każdy krajowiec ma swe pudło rybackie, z zapasem doskonałych lin i wielką ilością najrozmaitszych haczyków, które są zatkane na płaskich kartach, na kształt wzorów lub prób kupieckich.

3) „Te ma tuoi,“ jest trójkątnym kawałkiem skorupy perłowéj z wypiłowanemi ząbkami na jednym boku i służy za skrobacz do orzechów. Dzisiaj zostaje on często zastąpionym kawałkiem żelaznéj obręczy.

Fig. 28.



Wędka na rekina.

4) „Pasi pa" są to skorupy muszli perłowéj rozmaitéj wielkości, oszlifowane na powierzchni i obcięte na bokach, o brzegu zaostrzonym i które służą za noże i skrobacze w użytku domowym.

Z skorupy muszli Tridaena wyrabiane są siekiery, o których stało powyżéj i nadto płaskie sztuki zwane „hatu ugae," służące do pokrywania świeżego tatuowania u kobiét.

Z żeber żółwi wyrabiają się tasaki, służące do krajania głąbów „pura."

Z bardzo twardego drzewa, zwanego „Ngie" wyrabiają się wszelkie haki na rekiny (se kan tahi, matie) (Fig. 28).

21.

Ogólny pogląd na Nukuoro niebyłby zupełny, bez choć pobieżnéj uwagi na mowę krajową, choć z drugiéj strony, ścisłe porównanie języka nukuorskiego z narzeczami sąsiedniemi Oceanu, musi wyjść po za granicę pobieżnego przeglądu. Tradycya przynosi nukuorczyków z Nukufetau. To ostatnie zostało zaludnione przez Samoańczyków, ale również nie ulega wątpliwości, że wychodźcy z Rarotonga i Tahiti wywarli wielki wpływ na wyspiarzy okolicznych. Wpływ ten wyraźnym jest także i w mowie nukuorczyków, choć mowa jest przeważnie Samoańską.

Jak w ogóle narzeczy polinezyjskich, wyrazy mowy nukuorskiéj kończą się na samogłoski a dźwięki „r" i „l," jak również „k" i „t." są często równoznaczne. Charakterystycznem jednak dla mowy jest, że „r" napotyka się bardzo często samodzielnie i wypada z tego, że nukuorczycy mają oba dźwięki w swéj mowie, samoańczycy tylko „l," gdy tymczasem tahitczycy i rarotongczycy tylko „r".

Samoańskie „f" zastąpione jest w nukuorskiem przez „h," np. fauna, fale, fau, fui stają się: heuna, hale, han, hai itd., jak również nukuorskie „h" zastępuje często samoańskie „ś," np. „tasi" zmienia się na „tahi."

Aspiracya samogłosek w samoańskiem, ledwie że dostrzegalna, w nukuorskiém jest wyraźnem „h," albo nawet „k," np. samoańskie ulu, aau, laau stają się: huru, akau, rakau.

Mowa nukuorska ma dźwięk „k", którego braknie na Samoa i Tahiti, np. muka: umka, ariki, katinga, wakha.

Samogłoski zmieniają się często w obu mowach, np. samoańskię fauna, pisa, zmienia się w nukuorskiém na heuna, pasa,

Zasób dźwiękowy mów tutaj wzmiankowanych, da się wyrazić:

Samoa:	a, e, i, o, u. - s,	ng,	n,	l,	m,	f,	p, t, w.
Tahiti:	a, e, i, o, u, -	—, —,	n,	—, / r,	m,	f, / h,	p, t, w.
Nukuoro:	a, e, i, o, u, - s,	ng,	n,	l, / r,	m,	h, / k,	p, t, w

Samoański przedimek „le" zastąpiony jest przez „te". Przedimek niepewny „se" znajduje się w obu językach.

Liczebniki zgadzają się z samoańskiemi:

Samoa	*Nukuoro*	*Samoa*	*Nukuoro*	*Samoa*	*Nukuoro*
1. tasi	tahi	5. lima	rima	9. noa	siwa
2. lua	ruo	6. ono	ono	10. sefulu	se huru
3. tolu	toru	7. fitu	hitu	100. selau	se rau
4. fa	ha	8. walu	waru		

Dla lepszego porównania obu mów załączam tu kilka przykładów.

Nukuoro	*Samoa*	
henua	fanua	ziemia (ląd, kraj)
one one	one one	piasek
kere kere	ele ele	ziemia
motu	motu	wyspa
tai	tai	morze (w ogóle)
moana	moanga	otwarte morze
akau	aau	rafa
awa	awa	passaż w rafie
ala	ala	droga
matangi	matangi	wiatr
ao, rangi	ao, tangi	obłok, niebo
hale	fale	dom
imu	umu	kuchnia, piec z kamieni
tunu, tao	tunu, tao	piec, gotować
wakha	wa	czółno
hoe	foe	wiosło
matau	matau	wędka
hangota	fangota	łowić ryby
tamana	tama	ojciec
tinana	tina	matka
tamariki	tamaiki	dziecko
hanau	fangau	rodzić
tahea	tafea	uniesienie prądem mors.
tahao	tafao	iść bez celu, dla rozrywki
mahaka	maa	twardy
meimei	mangalo	miękki
pala	pala	zgniły
haikai	ai	jeść, jadło

Nukuoro	*Samoa*	
roroa	umi, toloa	długi
taringa	talinga	ucho
nuta	nutu	usta
wae	wae	noga
tino	tino	ciało
tane	tane	mężczyzna
kata kata	ata	śmiać się
ra	la	słońce
hetu	fetnu	gwiazda

Z poprzedzających przykładów widnėm jest, że wiele wyrazów obu mów są albo identycznėmi, albo nieznacznie eufonicznie zmienionėmi. Wiele wyrażeń obu mów, choć pozornie zmienione, są spokrewnione w pojęciach. Np. w nukuorskim, przypływ morza zwie się: manawa tai, co znaczy po samoańsku: oddychanie morza od mangawa. oddychać. „Pasapasa“ znaczy mówić, (w karolińskich mowach „Kopas“) w samoańskiém znaczy to: robić chałas „Piho“ głos znaczy w samoańskiem koniec itp.

Znajduje się jednak pewna liczba wyrazów zupełnie odmiennych, wskazujących na domieszkę wpływów lub żywiołów obcych, jak: „tenua“ dobrze; „muriaki,“ żyć, od ponapskiego „mour,“— „poupou“ źle, zły i wiele innych.

22.

Z powyższego przeglądu stosunków panujących na wyspach Nukuoro, można wyciągnąć wnioski następujące:

1) Że dzisiejsi nukuorczycy przybyli w Nukufetan, z Polinezyi przed laty 600—1000 i że pochodzą pierwotnie z Samoa, co jest dowiedzionėm i ich wyglądem fizycznym, ich mową, religią i tradycyami.

2) Że przybywszy na Nukuoro, zetknęli się następnie z krajowcami wysp sąsiednich północnych, przynajmniéj pośrednio, przez czółno, przyniesione prądem morskim. Dowodzą tego nietylko tradycye ale i objawy przemysłu u nich znalezionego, jak: przyrządu tkackiego i uprawy kurkumy.

Gdy jednakże na wszystkich wyspach sąsiednich, jak Mortlocka, Ruk i Ponape, znajdują się bardzo silne wpływy żywiołu polinezyjskiego i ślady czysto samoańskie, przezto musimy zostawić przyszłym przeglądom i badaniom stosunków na tych wyspach rozstrzygnięcie, czy dzisiejsi nukuorczycy są tylko rozbitkami, przypadkowo przypędzonymi na Nukuoro, czy też przypędzenie ich tutaj stoi w bliższym stosunku z śladami polinezyjskiemi, napotykanymi na Karolinach Wielkich.

Jan Kubary.

LISTY CZESKIE.

IX.

Wielka doniosłość wyrównania sporu narodowości w Czechach, zarówno dla Czechów jak dla monarchii austryackiéj i cywilizacyi europejskiéj. — Nie rozumieją tego przewódcy stronnictwa narodowego niemieckiego i naumyślnie niesnaski podniecają. — Wystąpienie Kliera z powodu biesiad studenckich. — Mowa Reschauera. — Schmeykala na czele ruchu narodowości niemieckiéj w Pradze. — Uniwersytet czeski. — Zmiana ordynacyi wyborczéj co do większych posiadłości.—Uroczystości śpiewaków niemieckich w Pilznie, mieście przeważnie czeskiem.

Czytelnicy listów czeskich nie zapomnieli zapewne, że pierwszy z tych listów traktował o sporze narodowości w Czechach, wskazując, że gdy idzie o nakreślenie obrazu życia publicznego, odpowiadającego faktycznym stosunkom, o przedmiotowe zaznajomienie się ze sprawami i dążnościami narodowemi czeskiego ludu, tę stronę publicznego życia w Czechach należy przedewszystkiém na pierwszy plan wysunąć i jasno ją rozświecić.

Ponieważ w listach VI, VII i VIII rozwijałem szerzéj dzieje tego sporu narodowości i spostrzegam w téj chwili, że początek niniejszego IX pisma wypadnie poświęcić temu samemu przedmiotowi i rozsunąć go daléj, nie mogę powstrzymać się od usprawiedliwienia tego postępku kilku apologetycznemi uwagami.

Jestem tak dalece przeniknięty przekonaniem, że ostateczne wyrównanie i pokojowe załatwienie narodowych niesnasek między Niemcami i Czechami w Czechach, stanowi jeden z najważniejszych warunków pomyślnego rozwoju życia narodowego Czechów, że mógłbym, z małemi odmianami w znanym aforyzmie, powiedzieć wszystkim moim ziomkom: „Starajcie się najprzód o narodową zgodę a reszta dodaną wam będzie.“

Ale posuwam się jeszcze dalej i twierdzę, że załatwienie sporu narodowości w Czechach, stanowi dla Austryi ważny państwowy interes; sądzę nawet, że nie dopuszczę się żadnéj narodowéj przechwałki dodając, iż to zagodzenie narodowych niesnasek dotyka jeszcze nierównie rozleglejszych interesów, bo interesów pomyślnego rozwoju europejskiéj cywilizacyi.

Niech mi wolno będzie ten mój pogląd jaknajkrócéj wymotywować.

1. Co się tyczy interesu narodu czeskiego w osiągnięciu trwałéj narodowéj zgody, nie chciałbym aby powstało nieporozumienie i aby przypuszczano, że naród czeski zmuszony koniecznością, pragnie zawierać pokój, ponieważ brak mu środków do prowadzenia walki, i że z tego powodu będzie musiał kupić zgodę za jakąbądź cenę. Rzeczy tak nie stoją i nie tak je rozumiemy. Właściwe znaczenie mojego powyższego twierdzenia na tém polega, że naród czeski powinien przedewszystkiém dążyć do wyrobienia w Niemcach czeskich przekonania, że życzy sobie uczciwéj, trwałéj, słowem rzeczywistéj zgody; że pragnie wytworzyć w Czechach stosunki, które umożliwiłyby i utrwaliły spokojne obok siebie pożycie dwu narodów, że naród czeski niema bynajmniéj zamiaru z uciśnionego dotąd stać się panującym w kraju, że zatém wszystkie dotychczas przez Niemców wyrażone wątpliwości i obawy, aby naród czeski zamiast do narodowéj zgody, nie dążył do narodowego wszechwładztwa, aby pod pozorem równouprawnienia nie zapragnął ucisku niemieckiego żywiołu,—nie mają żadnéj podstawy.

Jeżeli mówię: „starajcie się przedewszystkiém o narodową zgodę,“ to znaczy: dajcie Niemcom wszelkie możliwe i przez nich samych upragnione rękojmie, że chcecie tylko istotnego równouprawnienia i bynajmniéj nie dążycie do narodowego wszechwładztwa.

Kolonia politycznych przewódców niemieckich w Czechach, którzy wyzyskiwaniem narodowéj niemieckiéj hegemonii, umieli zadawalniać wszelkie żądze dumy i chciwości, posługuje się wciąż postrachem groźnego czeskiego panowania i wynaradawiania Niemców przemocą, ażeby przedstawić ludności niemieckiéj samą zasadę równouprawnienia, jako łapkę, w którą chcą Niemców schwytać przebiegli Czechowie, a potém ze schwytanémi postąpić wedle upodobania.

Dla odjęcia siły temu manewrowi agitacyjnemu, nie pozostaje nic innego przewódcom politycznym narodu czeskiego, jak powtarzać zapewnienia o szczeréj dążności do politycznego równouprawnienia obu narodów, mieszkających w Czechach dopóty, dopóki ludność niemiecka nie przekona się nareszcie: że Czechy otwarcie

i uczciwie pragną narodowéj zgody i nie myślą bynajmniéj o odwróceniu ostrzem do Niemców broni narodowéj hegemonii.

To co tu mówię, nie jest ani czczym frazesem ani pobożném tylko życzeniem, ani radą, zwróconą przeciwko innym poglądom, ale rzeczywistą opinią znakomitéj większości ludzi rozważnych i politycznie dojrzałych wśród czeskiego narodu i wobec tego przeświadczenia o potrzebie narodowéj zgody, szczerze przez Czechów odczuwanéj, Niemcy nie będą mogli długo trzymać się odpornie. A że po osiągniętém zawarciu prawdziwego i trwałego pokoju w Czechach, nietylko sprawy narodowe Czechów, ale wogóle wszystkie sprawy publicznego życia w całym kraju, dźwigną się z siłą dotychczas hamowaną narodowemi waśniami, o tém wątpić już niepodobna.

2. Fakt, że prawdziwie narodowe ministeryum Taafego postawiło pojednanie narodowości jako najważniejszy punkt swego narodowego programu, dowodzi już dostatecznie, że to zagodzenie niesnasków narodowych dotyka ważnych państwowych interesów cesarstwa austryackiego.

Austrya nie jest organizmem narodowym, ale ustrojem narodowościowym. Dopóki to państwo rządzone było absolutnie, dopóty absolutyzm rządowy mógł być wywierany albo przez stany, albo przez szczepy. W dawnéj Austryi te dwojakie wszechwładztwo dziwnie się z sobą kojarzyło: stara Austrya była niemieckiém państwem arystokratyczno-biurokratyczném. Przetworzenie austryackiego państwa, złożonego z różnych narodowości, było połączone z większemi trudnościami, aniżeli w innych bardziéj narodowych państwach. Właściwie, hegemonia szczepowa niemieckiego żywiołu na przywileju oparta, powinna była przy tém przetwarzaniu Austryi ustąpić przed nowożytną zasadą wolności i równości, jak uprzywiliowane wszechwładztwo stanowe, t. j. przewaga szlachty. Ta ostatnia znikła rzeczywiście w nowéj konstytucyjnéj Austryi; zniesienie pierwszéj trzeba było przynajmniéj teoretycznie postanowić. W Art. XIX prawa zasadniczego z 21 grudnia 1867 r. powiedziano: *Wszystkie szczepy w państwie są równouprawnione.*

Potrzebuję jeszcze tylko dodać, że do dziś dnia w Austryi prowadzi się walka o praktyczne przeprowadzenie téj zasady w teoryi wypowiedzianéj, potrzebuję wreszcie wskazać na to, że jeszcze dziś w życiu publiczném stoją naprzeciw siebie stronnictwa narodowe, aby dowieść, że ten postulat prawdziwego konstytucyonalizmu, traktującego wszystkich obywateli austryackich według jednéj zasady ogólnéj wolności i równości, nie jest jeszcze urzeczywistniony.

Jeżeli przedstawiciele niemieckich ludów Austryi występują w różnych sejmach i w austryackiéj radzie państwa, jako stronnictwa

narodowe, to jest właśnie znakiem, że istotne polityczne równouprawnienie „wszystkich szczepów ludowych w państwie“ nie stało się jeszcze faktem, ale że je wywalczyć trzeba; a jeżeli wobec tego Niemcy nalegają, ażeby cały żywioł niemiecki w Austryi utworzył zwarte „niemiecko-narodowe“ stronnictwo, to inaczéj tego rozumiéć nie można, tylko że w obozie niemieckim żyje zawsze dążenie utrzymania niemieckiéj hegemonii w Austryi, z pozostawieniem równouprawnienia innych ludów na cierpliwym papierze, bez zamiaru przeprowadzenia go w rzeczywistości.

Jeżeli to niemieckie stronnictwo uważa dążność słowian do uczciwego i surowego przeprowadzenia zasady, wypowiedzianéj w prawie organiczném, co do równouprawnienia wszystkich narodowości, za groźbę dla germanizmu w Austryi, jeżeli ta partya dziś oświadcza że Józefinizm (czyli właściwie germanizacya nieniemieckich ludów) jest rzeczywistą ideą Austryi i musi nią pozostać, jeżeli nazajutrz mówi, *że Austrya będzie niemiecką, albo przestanie istnieć;* jeżeli wreszcie dla podniecenia do oporu wszystkich Niemców austryackich przeciw grożącemu im jakoby niebezpieczeństwu, woła przez usta jednego ze swoich przywódców w Radzie państwa: „*Austrya pozostanie niemiecką albo stanie się słowiańską*,— to wszystko są dowody, świadczące, że ta niemiecka partya daleko jest jeszcze od uznania konieczności, ażeby w Austryi prawdziwie konstytucyjnéj zniknęło panowanie szczepowe.

Jeżeli zaś nie przestaniemy rozdmuchiwać w Austryi nienawiści rasowych, jeżeli nie przestaniemy zaostrzać antagonizmów, jeżeli nie zdołamy doprowadzić do tego, ażeby Słowianie i Niemcy żyli obok siebie w Austryi, jako zupełnie równouprawnieni obywatele w pokojowém zjednoczeniu; jeżeli nie bylibyśmy w stanie ponieść zobopólnie koniecznych w tym celu ofiar, gdybyśmy przeciwnie mieli przy tém obstawać, że zgoda narodowa jest niemożliwą, gdyby w wielojęzycznéj Austryi nie miał się ziścić inny rozwój życia konstytucyjnego, jak przemoc absolutnie panujących nad absolutnie uciskanémi,—w takim razie narody panujące będą musiały oglądać się wkoło siebie za współplemienną pomocą dla zabezpieczenia swego panowania, a narody uciśnione z konieczności rzucą okiem po za granice państwa, ażeby ze swéj strony znaleść również u współplemiennych poparcie w obronie uciśnionego życia narodowego. Ale wtedy nie byłoby nigdy zgody między ludami Austryi, wtedy Austrya nie będzie stać silnie i potężnie na własnych nogach, lecz stanie się jabłkiem niezgody, a w końcu biernym przedmiotem wielkiéj i krwawéj walki między Niemcami i Słowianami.

Jeżeli Austrya ma istnieć jako państwo konstytucyjne, to nie może być ani wyłącznie niemiecką, ani wyłącznie słowiańską, lecz musi być austryacką, tj. musi być państwem, które według wzniosłych słów swego cesarza: „jest bezpieczną ostoją i wolności i praw wszystkich ludów austryackich.

W rezultacie: surowe przeprowadzenie politycznego równouprawnienia wszystkich narodowości, jest zasadniczym warunkiem istnienia państwa austryackiego i właściwą ideą polityczną nowéj Austryi, w któréj zesłowianienie Niemców jest równie niemożliwém jak germanizacya słowian.

3. Jeżeli słowa „cywilizacya europejska“ nie mają być pustym dźwiękiem bez przedmiotowego znaczenia, jeżeli te wyrazy nie są tylko pozorem do rozprzestrzenienia panowania Europy nad innemi częściami świata, słowem, jeżeli „cywilizacya europejska“ jest istotnie czemś co stanowi cel duchowych dążeń i umysłowego życia Europejczyków, to zdaje mi się, że nie zbłądzę, mówiąc, że po pierwsze: cywilizowane ludy muszą starać się o dojście do rzetelnego poznania tego celu swoich duchowych dążeń, po drugie: są moralnie zobowiązane obierać te drogi, które prowadzą do wyraźnie wytkniętego i jasno rozpoznanego celu.

Otóż jestem silnie przekonany że prawdziwa ludzka cywilizacya (a osławiona „europejska“ inną przecie być nie może). ma tylko jednego wroga do zwalczenia i do zwyciężenia—a tym jednym wrogiem jest egoizm ludzki.

Jakiekolwiek będzie to samolubstwo: jednostkowe, klasowe, stanowe czy téż nawet szczepowe, zawsze staną przeciw niemu postulata ogólnéj słuszności i sprawiedliwości, postulata ludzkości i duchowego postępu. A kiedy się spokojnie i przedmiotowo pomyśli, na czém właściwie polega postęp prawdziwie ludzkiéj cywilizacyi, to trzeba w końcu z całego serca przyklasnąć temu, co słynny angielski statysta lord Russel, wypowiedział publicznie w Aberdeen w r. 1857 r. „Europa musi dojść do tego przekonania, że zasada chrześciańska *nie czyń drugiemu co tobie niemiło*, powinna być praktycznie stosowaną nietylko między jednostkami, ale między narodami, i w stosunkach międzynarodowych całych państw.“

Egoizm ludzki, ten rzeczywisty grzech pierworodny, któremu tylko postęp cywilizacyi może odjąć moc szkodliwą, ta żądza wyniesienia własnego *ja* nad innych i przedstawienia jako coś lepszego i doskonalszego, przed czém wszys tko inne w pokorze i skrusze uchylić się winno, to ogólnie już poznane ale bynajmniéj niezatamowane źródło wszystkich ludzkich cierpień i nieszczęść, znalazło w naszych czasach nową formę, w któréj prastare zło ludzkości, wygo-

dnie się rozpościera i w dodatku przedstawia się jako coś podnoszącego i uszlachetniającego naturę ludzką: tą formą jest egoizm narodowy—nowy tylko pozór do hołdowania odwiecznéj ludzkiéj żądzy samolubnego wywyższania się nad innych.

Austrya, a specyalnie Czechy i Morawia, z mięszaną ludnością niemiecką i słowiańską, jest główną widownią, na którój rozwijała się działalność tego narodowego egoizmu. Niemcy twierdzą, krótko węzłowato, że do tego się już urodzili, aby nad słowianami panować, że jest zupełną niemożliwością, nawet mówić o politycznêm równouprawnieniu Niemców i Słowian i wypowiadają to jawne *credo* swego narodowego egoizmu, jako prawdziwą ideę państwową austryacką. Przed témi zachceniami narodowego samolubstwa, cywilizacya europejska ma zwinąć żagle i po prostu cofnąć się. Wielka zasada nowożytnéj kultury: przyznanie wszystkim europejskim cywilizowanym ludom nowych praw do przeprowadzenia zadań cywilizacyjnych, ma być zaprzeczoną, dla tego że naród niemiecki zwyciężył Francuzów w krwawéj wojnie. A przecież od takowego trafu nie mogą zależyć postulata cywilizacyi europejskiéj, bo to pociągnęłoby za sobą szczególne następstwa.

Jeżeli więc cywilizacya europejska nie jest czczym frazesem— to egoizm narodowy Niemców w Czechach nie może być usprawiedliwionym, a praktyczne przeprowadzenie politycznego równouprawnienia wszystkich narodowości w Austryi, leży w interesie téj europejskiéj cywilizacyi.

Nie jestto jednak bynajmniéj łatwe zadanie; bo chociaż rząd obecny ma dobrą wolę praktycznie urzeczywistnić zasadę równouprawnienia narodowości, uroczyście wyrażoną w konstytucyi; jakkolwiek polityczni przewódcy narodu czeskiego, nie pomijają żadnéj sposobności przekonywania swoich niemieckich współziomków, że dążą tylko do równouprawnia i do niczego więcéj, że zdala są od wszelkiéj myśli wywierania narodowego ucisku na Niemców w Czechach i w Morawii, że przeświadczeni są głęboko o szkodliwości dla narodu czeskiego wszelkich prób uciskania narodowości niemieckiéj w Czechach, to przecież do obecnéj chwili (Czerwiec 1882) niema mowy o żadnéj przyjaznéj ze strony Niemców wzajemności, lecz przeciwnie polityczni przywódcy Niemców robią wszystko co mogą, ażeby podniecić narodowe niechęci między obiema narodowościami, mieszkającemi w królestwie czeskim i przeszkodzić zawarciu szczéréj zgody.

Środki używane do téj narodowéj agitacyi są następujące:

1. Agitatorowie pracują nad rozdmuchywaniem w Niemczech dumy narodowéj, przeświadczenia że są czemś nierównie lepszém od

Słowian, że przeznaczeni są do panowania nad upośledzonémi słowianami, że niegodném jest ich wyższości uczyć się języka rasy niższéj, że zatém o ile możności winni unikać wszelkiéj wspólności ze Słowianami.

2. Powtarza się ciągle, że Czechy nie dążą do równouprawnienia narodowego, ale że mają jedynie na myśli, całe Czechy od jednego krańca do drugiego zrobić czeskiémi.

3. Wykłada się Niemcom, że Czechy zjednoczeni z resztą Słowian Austryackich dążą właściwie do przetworzenia Austryi na państwo słowiańskie, że wszyscy Słowianie w Austryi są utajonémi panslawistami, których głównym celem, jest panslawistowskie, *recte* rosyjskie panowanie nad światem, co naturalnie jest wielkiem niebezpieczeństwem nietylko dla narodowéj samoistości Niemców, ale dla dobrze pojętéj europejskiéj cywilizacyi, słowem byłoby poważną groźbą dla całéj Europy.

Nie mogę się wstrzymać od wypowiedzenia odrazu zdania, że polityczni przywódcy Niemców, nie wierzą sami w wiele tych rzeczy, które swoim ziomkom rozpowiadają; ale z tego właśnie jeszcze wyraźniéj się okazuje, że używają wszelkich środków ażeby w Czechach uniemożliwić zgodę narodową.

Jesteśmy więc pod względem téj zgody bardzo jeszcze oddaleni od celu, który osiągnąć pragniemy i spodziewamy się, ale téż dobrze nam są znane przeszkody, które mamy w tym kierunku do przezwyciężenia, i zdecydowani jesteśmy nietylko celu z oczów nie tracić, ale wszystkich sił dołożyć, żeby go w końcu dopiąć.

Sądzę że nieobojętném będzie dla czytelników tych listów, obznajmić się trochę bliżéj ze środkami agitacyjnémi jakich używają polityczni przywódcy Niemców dla osiągnięcia swoich celów.

Najprzód tedy publiczna manifestacya w szerokim stylu zmierzająca do tego, aby w obec kraju i zagranicy napiętnować naród czeski jako dziką nieokiełznaną masę gwałtowników.

Dnia 26 Listopada 1881 r. w izbie deputowanych austryackiéj rady państwa, odczytano następującą interpelacyę.

Interpelacya posła dr. Kliera i towarzyszy do Jego Excellencyi prezesa rady ministrów, jako kierownika c. k. ministeryum spraw wewnętrznych.

„Godne pożałowania wykroczenia względem obywateli austryackich niemieckiéj narodowości, których widownią były Czechy a szczególniéj ich stolica Praga, są jeszcze dziś w pamięci wszystkich.“

„Od połowy czerwca pisma publiczne donosiły często o takich ekscesach jak podkładanie petard w Pilznie, proskrypcye niemieckich

procederzystów, napady na żydów w Rudnicy, zelżenie niemieckich studentów, którzy w Weinbergu (1) (przedmieściu Pragi) spotkali się na spokojném koleżeńskiem zebraniu, i nakłaniani byli przez policyę do dobrowolnego przerwania tych towarzyskich schadzek; zelżenie, pobicie studentów w niemieckim w ogrodzie Canala; skandale w piwiarniach, pod „Primasem" (u Primasu) i pod „zielonėm drzewem," a szczególniéj w ostatniéj, gdzie przyszło do silnego poturbowania studentów niemieckich; częste znieważanie na ulicach Pragi spokojnych przechodniów mówiących po niemiecku, lżenie, opluwanie dam niemieckich itp.,—słowem nadużycia, które wzmogły się nareszcie podczas komerszu korporacyi studenckiéj *Austrya* aż do hałaśliwéj burdy ulicznéj przed zabudowaniami konwiktu, a dosięgły kulminacyjnego punktu w krwawy wieczór w Kuchelbad, podczas ludowych zbiegowisk, połączonych z wybijaniem okien w teatrze niemieckim w lokalu korporacyi Austrya i w niemieckiem kasynie."

„Według wiadomości od ludzi wiarogodnych, wychodzą i teraz na jaw podobne nadużycia, z których okazuje się, że bezpieczeństwo osobiste obywateli austryackich niemieckiego pochodzenia niebezpiecznie jest zagrożone i nie znalazło dostatecznéj ochrony w organach bezpieczeństwa publicznego, bo w ostatnich czasach i w różnych miejscach (niedawno w Münchengrätz) niemieccy procederzyści z Niemiec, a w Pradze uczniowie szkół niemieckich, doznali, z powodu swéj narodowości niemieckiéj, gwałtownych napaści od mieszkańców czeskiego pochodzenia, podczas gdy spokojnie udawali się do swoich zajęć.

„W jednym z takich wypadków, trzech studentów niemieckich, napadniętych przez przeważną siłę Czechów na jednéj z najludniejszych ulic Pragi, aresztowano podobno przez komisarza policyi za zakłócenie spokojności w nocy, ponieważ widząc przewagę liczby, głośno zawołali na straż, która ich zaprowadziła do biura komisarza, kiedy tymczasem napastnicy uciekli; dopiéro za pośrednictwem namiestnictwa cofnięto wyrok karny.

„Ze względu na wzrastające z każdym dniem rozdraźnienie ludności niemieckiéj w Austryi, spowodowane podobnemi wypadkami, niedopuszczalnemi między cywilizowanemi ludami i w prawidłowo uorganizowaném państwie, i z uwagi na zasadnicze prawo państwowe z d. 21 grudnia 1867 r. (Dziennika Praw N. 142), podpisani stawiają p. ministrowi spraw wewnętrznych pytanie:

---

(1) Po czesku Vinohrady.

„Co rząd c. k. wie o tych nowych wypadkach, i jakie środki zamyśla przedsięwziąść, ażeby obywatelom austryackim niemieckiéj narodowości zapewnić nareszcie dostateczną rękojmię osobistego bezpieczeństwa i ochronić ich od powtarzających się tak często gwałtownych napaści?

Wiedeń 26 listopada 1881 r.

Podpisało tę interpelacyę 95 członków „zjednoczonéj lewicy,“ a między niemi naturalnie wszyscy niemieccy posłowie z Czech. Wielu członków dawnéj partyi postępowéj (jak hr. Wurmbrand, baron Walterskirchen, baron Zschok, hr. Coronini, dr. Kronawetter i inni) odmówili podpisu.

Zbytecznem byłoby wdawać się w komentarze nad tą interpelacyą: ukryta w niéj intencya spotwarzania narodu czeskiego przed całą Europą, aż nadto jest widoczną. Poprzestanę tylko na przypomnieniu, że mowa tu o opłakanych ekscesach, wydarzonych w ostatnich dniach maja 1881 r. w Pradze i okolicach (Kuchelbad), których przyczyny i przebieg opisałem w moim ostatnim liście. Niech mi wolno będzie powtórzyć tu tylko w krótkich słowach, że wtedy wyzywające postępowanie studentów niemieckich w Pradze i systematyczne, umyślne poniewieranie narodowości czeskiéj, wywołało między ludnością czeską wielkie wzburzenie. Przywódcy polityczni narodu czeskiego widzieli wtedy dobrze objawiającą się wyraźnie między Niemcami intencyę wywołania starcia i wytworzenia narodowego męczeństwa, ale nie byli w możności powstrzymać ruchu w upragnionych granicach. Przypisywać im zamiar dążenia do tego, czemu ze wszystkich sił przeszkodzić chcieli, jest zupełnie bezzasadnem.

Rząd nakazał, z powodu faktów przytoczonych w téj interpelacyi, gruntowne śledztwo, upłynęło więc dość czasu nim na tę interpelacyą odpowiedziano.

Dnia 11 lutego 1882 r. prezes ministrów i kierujący ministeryum spraw wewnętrznych, hrabia Taafe, w następujący sposób odpowiedział na interpelacyę.

„Na posiedzeniu wysokiéj izby poselskiéj z d. 26 listopada r. 1881 panowie deputowani do rady państwa dr. Klier z towarzyszami wystosowali téj treści interpelacyę.“

„Co rząd c. k. wie o nowo wydarzonych wypadkach, przytoczonych w interpelacyi, i jakie środki zamyśla przedsięwziąć, ażeby obywatelom austryackim niemieckiéj narodowości zapewnić nareszcie dostateczną rękojmię osobistego bezpieczeństwa i ochronić ich od powtarzających się tak często gwałtownych napaści.“

„Na powyższą interpelacyę, a przedewszystkiém na pierwsze zapytanie, mam honor dać następną odpowiedź:

„Podniesione w interpelacyi nowe wypadki są:“

„Gwałtowna napaść na niemieckich negocyantów z Niemiec w okolicach Münchengrätz, wyrok na trzech niemieckich studentów w Pradze za zakłócenie spokoju w nocy i gwałtowna napaść na uczniów szkół niemieckich w Pradze przez osoby czeskiéj narodowości.“

„Co do tych wypadków mam przed sobą urzędowe dane.

„Zaczynając od wypadku pod Münchengrätz, prawdą jest, że wieczorem 10 listopada 1881 r. na kupców i rzemieślników wracających do domu do Niemiec z jarmarku, odbytego w tym dniu w Münchengrätz rzucano kamieniami na Górze Browarnéj, że kilku z nich nawet skaleczono.

„Przedtem jeszcze rzucano na tém samém miejscu kamieniami na mieszkańców Münchengrätzu i na właściciela ziemskiego Hoskowitza; śledztwo sądowe było rozpoczęte, ale jeszcze nie jest skończone.

„Prokuratorya uznała za stosowne, działając według § 90 procedury kryminalnéj, złożyć do akt przygotowawcze śledztwo, prowadzone w duchu definicyi przestępstwa publicznego gwaltu określonego w § 87 kodeksu karnego i w myśl §§ 269 i 270 kodeksu karnego akta odstąpić sądowi okręgowemu w Münchengrätz, jako kompetentnemu do wytoczenia akcyi *przeciwko dwóm chłopcom, którzy, według raportu namiestnictwa, są synami cudzoziemca pochodzącego z niemieckiéj narodowości* (słuchajcie, słuchajcie!), zwlaszcza że przeciwko innym osobom, które wyszły z niepełnoletności, nie znalazła się żadna poszlaka, na podstawie któréj możnaby ugruntować oskarżenie we wskazanym kierunku.

„Sąd okręgowy, jak brzmią najnowsze doniesienia, rozpoczął dochodzenie karne przeciwko jednemu 10-letniemu chłopcu, a wstrzymał takowe przeciwko drugiemu chłopcu, nie mającemu jeszcze lat 10 (śmiechy), co wywołało ze strony urzędnika prokuratoryi skargę na powyższą decyzyę do sądu powiatowego.

„Taki jest stan sprawy podniesionéj w interpelacyi.

„Prawdziwym jest również fakt wyroku policyjnego wydanego na trzech studentów w Pradze, za rozmyślne jakoby zakłócenie spokojności w nocy 24 września 1881 r. Ponieważ jednak namiestnictwo czeskie, jak to zaznaczają sami interpelujący, cofnęło decyzyą z 12 listopada 1881 r. N. 67200 wyrok karny wydany w pierwszéj instancyi, z powodu niedość pewnego ustanowienia istoty czynu przestępnego, który skazanym zarzucano; ponieważ skazani mieli swobodę

apelowania do władz wyższych i z téj swobody skorzystali,—rzecz zatém należącą do sądownictwa administracyjno-karnego, można uważać za załatwioną i nie przedstawiającą motywów do dalszego rozbioru.“

„Pozostaje mi tylko mówić o wzmiankowanéj w interpelacyi napaści na uczniów szkół niemieckich w Pradze przez osoby, należące do innéj narodowości.

„Według ściągniętych informacyj, w listopadzie 1881 roku wydarzyły się dwa nadużycia z uczniami, które pociągnęły za sobą natychmiastowe wdanie się prokuratoryi.

„Dnia 11 listopada 1881 r. przyszło do bójki między młodzieżą szkolną niemieckiéj i czeskiéj szkoły ludowéj w królewskiéj gminie Weinberg, która rozpoczęła się od wyzwania w języku czeskim poprzedzonego wzajemnemi odgróżkami, i od zgromadzenia się uczniów czeskich przed szkołą niemiecką.

„Winni ukarani zostali na podstawie śledztwa wyprowadzonego przez radę szkolną okręgową w Karolinenthal, i według raportu rady, dyrekcye obu szkół przedsięwzięły stosowne środki w celu zapobieżenia podobnym wykroczeniom.

„Drugie poważniejsze nadużycie,—i o tém zapewne mowa w interpelacyi, bo o innem niema żadnéj wiadomości,—spełnione było 15 listopada 1881 r. o godzinie 4 popołudniu na ulicach Reiter i Florenzgasse przez uczniów I i II klasy szkoły niemieckiéj realnéj w Karolinenthal oraz II i III kl. drugiego czeskiego gimnazyum w Pradze.“

„Z informacyi jak najściśléj, jak najdokładniéj ściągniętych okazało się co następuje.

„Bijatyka rozpoczęła się z obu stron; na Reitergasse dwaj spokojnie idący uczniowie niemieckiéj szkoły realnéj czynnie zostali napadnięci przez napotkanego czeskiego gimnazistę, a na Florenzgasse spokojnie idący czeski gimnazista podobnież był napadnięty przez napotkanych uczniów niemieckiéj szkoły realnéj.

„Kilku niemieckich uczniów spostrzegło bijatykę w szkole i wezwało do udziału w awanturze.

„Niemieccy uczniowie czekali na czeskich gimnazistów na rogu Florenzgasse, przez którą ci ostatni do domu wracać musieli.

„Sądzę że nie powinienem zabierać wysokiéj izbie czasu opisem szczegółów tego spotkania (Śmiechy).

„Jako najbliższy powód ekscessu, podawane są dawniejsze obelgi, rzucane niemieckim studentom przez studentów czeskich, a szczególniéj czynne zelżenie niemieckiego ucznia szkoły realnéj przez czeskiego ucznia szkoły handlowéj, który znajdował się podczas burdy między czeskimi gimnazistami; druga znów strona twier-

dzi, że przyczyną tego znieważania były obelgi ze strony uczniów szkoły realnéj niemieckiéj.

„Przeciwko winnym zapadł na drodze dyscyplinarnéj wyrok rady szkolnéj prowincyonalnéj, na mocy którego dwaj czescy gimnaziści i dwaj uczniowie niemieckiéj szkoły realnéj wydaleni zostali z obostrzeniem, że nie będą przyjęci do żadnych szkół średnich ani seminaryów nauczycielskich, w Pradze ani na jéj przedmieściach; jeden uczeń szkoły realnéj niemieckiéj wydalony był ze szkoły realnéj w Karolinenthal, a pięciu uczniów szkoły realnéj niemieckiéj uległo karze aresztu. Rada szkolna prowincyonalna przedsięwzięła stosowne środki w celu przywrócenia między młodzieżą szkolną zgody i skutecznéj karności.

„Daleki jestem od lekceważenia tych faktów, ale nie mogę im przypisywać doniosłego znaczenia w ogólnéj kwestyi osobistego bezpieczeństwa obywateli niemieckiéj narodowości w Czechach.

„Zwracam się teraz do odpowiedzi na drugie pytanie

„Pod tym względem mogę tylko zaznaczyć, że rząd przeniknio-ny jest przekonaniem, iż krańcowe manifestacye narodowe w kraju, gdzie dwie pomięszane z sobą narodowości mają obok siebie wspólnie egzystować, nie mogą się przyczyniać do spokoju publicznego.

„Rząd jednak ufa, że zdrowy rozsądek ludności zrozumie warunki tego koniecznego wspólnego istnienia.

„Opłakane nadużycia, wydarzone w roku zeszłym w Pradze i pod Pragą, karane były, jak wiadomo, policyjnie i sądowo i obecnie w kraju panuje spokój i porządek.

„W takich okolicznościach rząd niema żadnego powodu występować z wyjątkowemi środkami. Gdyby, wbrew oczekiwaniu, nadużycia powtórzyły się, rząd i organa jego spełnią swój obowiązek i postąpią według całéj surowości prawa.“

W klubie deputowanych czeskich powzięto pierwiastkowo postanowienie, połączyć odpowiedź na tę interpelacyę z rozprawami, w którychby dokładnie wyświecone były stosunki publiczne w Czechach. Ze względu jednak na odpowiedź ministeryalną, która dostatecznie zbiła stawiane przez Niemców zarzuty, jakrównież, chcąc okazać, że nie jesteśmy pohopni do zabierania niepotrzebnie austryackiéj radzie państwa drogiego czasu naszemi domowemi niesnaskami, odstąpiono od tego zamiaru.

Niemieccy posłowie z Czech byli naturalnie mniéj zadowoleni z ministeryalnéj odpowiedzi na swoją interpelacyę aniżeli Czescy, i już 13 lutego 1882 r. dr. Klier, który wniósł interpelacyę, skorzystał

z ogólnych rozpraw nad budżetem, ażeby dowieść, że Niemcy w Czechach mają słuszność skarżyć się na Czechów i że w następstwie rząd niema racyi, broniąc Czechów przeciw oskarżeniom Niemców. W mowie dwugodzinnéj, która znużyła nawet stronników dr. Kliera, deputowany ten starał się dowieść, że Niemcy nic takiego w Czechach nie czynią, coby można uważać za wystąpienie przeciwko narodowemu równouprawnieniu ludu czeskiego i że przeciwnie Czesi robią wszystko, co tylko mogą, ażeby Niemców pokrzywdzić w ich prawach narodowych. Według dr. Kliera, wszelka słuszność jest po stronie Niemców, wszelka niesprawiedliwość po stronie Czechów.

Starałem się wtedy odpowiedzieć w krótkości dr. Klierowi co następuje: Jeżeli, jak to mówi się na wszystkie strony, jesteśmy patryotami austryackiémi, to nie powinniśmy przedewszystkiém zapominać, że niezgoda ludów monarchii austryackiéj nie przysporzy jéj ani wielkości ani potęgi. Co się zaś tyczy stosunku Niemców do Czechów w królestwie Czeskiem, to nie należy zapominać, że był on zupełnie przyjaznym do 1848 r. i trzeba téż wiedzieć, że najwybitniejsze umysły niemieckiéj narodowości, przyjmowały przed 1848 r. najwyższy udział w narodowych dążeniach narodu czeskiego. W r. 1848 wszczęły się niesnaski i to jedynie przez kwestyą niemiecką. „My poszliśmy do Wiednia, Niemcy poszli do Frankfurtu.“

I kwestya niemiecka jest do dziś dnia główną przyczyną sporu narodowości w Czechach.

Kiedy nie chodziliśmy do rady państwa, powiedzieli do na Niemcy: wejdźcie do rady państwa, a spełnią się wasze narodowe życzenia. Wróciliśmy, i w skutek naszego powrotu większość niemiecko-liberalnéj partyi konstytucyjnéj stała się mniéjszością. A teraz to niemieckie stronnictwo, które przez nasze wejście do rady państwa straciło swoje wszechwładztwo i obecnie lęka się utracić w Czechach swe zgoła nienaturalne panowanie, wytęża wszystkie siły, ażeby uzbroić nietylko całą niemiecką ludność w Czechach, ale wszystkich Niemców austryackich na krucyatę przeciwko niedogodnym Czechom. Taki jest prawdziwy stan rzeczy.“

Baron Walterskirchen, poseł niemiecki ze Styryi, mąż, który liberalizm rozumie jako prawdziwą wolnomyślność, powiedział w mowie do swoich wyborców 13 kwietnia 1882 r. „nie zdziwiłbym się doprawdy, gdyby w niemieckich mieszkańcach krajów alpejskich obudziła się powoli wątpliwość: *czy niemieccy posłowie w Czechach postępują zawsze tak słusznie i sprawiedliwie względem tamecznych słowiańskich mieszkańców, jak tego wymaga walka o dobrą sprawę.*“

Baron Walterskirchen, przemawiając w te słowa, nie czytał jeszcze mowy, którą miał na zebraniu wyborców w Falkenau 10-go kwiet-

nia 1882 dr. Reschauer, redaktor wiedeńskiéj „Deutsche Zeitung“ głównego organu partyi niemiecko-narodowéj, poseł na sejm czeski i do austryackiéj rady państwa z kilku miast północno-zachodnich Czech. Mowa d-ra Reschauera należy téż do tych środków agitacyjnych, ulubionych między politycznemi przewódcami Niemców, za pomocą których wznieca się i umacnia wśród niemieckiéj ludności Czech przekonanie, że Niemcy stoją pod każdym względem wyżéj nad półbarbarzyńskiemi Słowianami. Dr. Reschauer sądził, że należy użyć silnych środków dla dopięcia zamierzonego celu. Mówił więc jak następuje do swoich słuchaczów:

„Wśród większości naszéj izby poselskiéj, reprezentowane są przeważnie te grupy ludności, w których czytanie i pisanie do dziś dnia jeszcze podziwiane jest jako *sztuka* (wesołość), które w życiu co do domowego komfortu, czystości u siebie i poza domem, mają jak najskromniejsze wymagania. Kto żyje w pierwotnym stanie, kto mieszka w nędznéj, słomą pokrytéj, chacie i mieści się w jednéj izbie z bydłem; kto nie czuje potrzeby czystéj na ciele bielizny; kto zimą i latem obywa się owczą skórą, jako jedyną odzieżą, i chodzi w butach tylko w wielkie uroczystości; kto wieczorem nie pracuje i czuje zaledwie potrzebę rozświecić w izbie ciemności łuczywem, kto oświetlenie ulicy, na któréj mieszka pozostawia poczciwemu księżycowi, dla tego naturalnie mnóstwo uciskających nas podatków i opłat, jest zupełnie obojętném i zgoła nie egzystuje (śmiechy—oklaski). Cóż go obchodzi podwyższenie podatku budowlanego lub wprowadzenie podatku od nafty? Co mu do tego jak wygląda taryfa celna? czy przy niéj przemysł może istnieć lub też musi runąć. U niego na wsi nie ma przemysłu; dla niego zakłady fabryczne są niepojętemi dziwami, a zaostrzenie antagonizmów klasowych, jest téż dla niego czemś niepojętém, niezrozumiałém — boć przecie kwestye socyalne odgrywają jakąś rolę tylko w krajach cywilizowanych. Reprezentanci téj grupy narodowości w austrackiéj izbie deputowanych mają dziś przewagę i głos stanowczy we wszystkich głosowaniach. (Tak jest—długotrwające oklaski). Ztąd cło od kawy 40 fl. w złocie, ztąd podatek od nafty, ztąd podwyższenie podatku budowlanego, ztąd spodziewany niezadługo podatek od gazu, ztąd fakt, że zpośród szeregów deputowanych wyszło żądanie, ażeby rząd opodatkował nietylko gaz, ale przez wprowadzenie podatku od światła opodatkował oświecenie—oświecenie, które dla wszystkich amatorów ciemności w naszém państwie jest przedmiotem zgrozy i zgorszenia“ (Demonstracyjne oklaski—długa przerwa).

„Cóż właściwie pozostałoby nam Niemcom w Austryi, gdybyśmy chcieli pozycyę naszą wobec prawodawstwa finansowego i podatko-

wego tak korzystnie urządzić, jak grupa ludności, posiadająca dziś przewagę? Musielibyśmy zejść na stopień egzystencyi na „Standard of life“ tych współobywateli naszych, którzy od dwóch lat prawa w Austryi stanowią, musielibyśmy powrócić, wprawdzie nie do pierwotnego stanu Germanów, ale do najcenniejszych epok wieków średnich, kiedy nasi przodkowie, pod względem wygodnego bytu, mieli w życiu jak najpierwotniejsze pojęcia, do czasów kiedy łuczywa używano za świecę, a zamiast kawy spożywano pierwszą lepszą breję. (Głośne zadowolenie). Wtedy cło od kawy i od nafty obciążałoby nas bardzo mało, cło od gazu byłoby i dla nas nader obojętném a i podatku budowlanego nie wzięlibyśmy do serca, bo podobnie jak tysiące i dziesiątki tysięcy naszych współobywateli mieszkalibyśmy z żonami, dziećmi i domowém bydełkiem w jednéj izbie, w któréj znalazłoby się także miejsce na skąpe nasze zapasy żywności (wesołość i oklaski). Mnóstwo politycznych i narodowych antagonizmów, któremi dziś oddzielone są jaskrawo stronnictwa w Austryi, nie miałoby wtedy racyi bytu i wówczas *pogodzilibyśmy się może* ze stanem rzeczy, który nam chcą narzucić i w państwie panującym uczynić.“

Dr. Reschauer kończy temi słowy swoją mowę:

„Gabinet Taafego stoi silniéj niż kiedykolwiek, więc kto tylko w naszych szeregach czuje i myśli po niemiecku, musi się przygotować do dłuższéj i upartszéj obrony aniżeli z początku przypuszczał.

„Dążenie czeskich i słoweńskich przywódców do przekształcenia Austryi na państwo słowiańskie, trwać będzie nieprzerwanie, a ponieważ wszystkie te żywioły, które na czele swego programu wypisały usunięcie niemieckiego wpływu, znajdują się u góry, to nie ulega wątpliwości, że germanizm w Austryi dozna wkrótce jeszcze niejednéj dotkliwéj klęski. Ale nie jest-to przyczyna do upadania na duchu, do uchylenia głowy i do przemyśliwania jedynie o poddaniu. W takim razie sądzę, że nie bylibyśmy warci należeć do wielkiego narodu niemieckiego, ani zająć w naszém państwie to stanowisko, na którém przetrwaliśmy wieki całe i którego nie wyrzeczemy się nigdy, nigdy!“ (Długotrwałe oklaski) (1).

Z powodu téj mowy zrobię tylko jedną uwagę, że dr. Reschauer, redaktor gazety, wychodzącéj w mieście stołeczném Wiedniu, wywypowiedział ją u stóp czeskich Gór Kruszcowych, w okolicy, gdzie jak wiadomo, wielkie panuje ubóstwo, gdzie w niejednėm miasteczku oświetlenie ulic pozostawione jest także księżycowi i gdzie znajduje się wiele ludzi, którzy nawet w niedzielę butów wdziać nie mogą, bo

(1) „Deutsche Zeitung“ z 14 kwietnia 1882 r.

ich wcale nie mają. Przepisałem tę mowę z redagowanéj przez d-ra Reschauera „Deutsche Zeitung“ ze wszystkiemi wydrukowanemi tam „burzliwemi“ i „przeciągłemi oklaskami,“ nie dobadując się wcale, czy wyborcy d-ra Reschauera nie byli czasem rozsądniejsi od swego posła i czy go takiemi oklaskami za jego mowę darzyli.

Miasto Reichenberg w północnych Czechach, fabryczne ognisko z 27000 mieszkańców, między któremi 6000 Czechów (więc stosunkowo więcéj Czechów, aniżeli Niemców w Pradze) jest główną ostoją niemiecko-narodowéj, czyli ściśléj mówiąc anti-czeskiéj agitacyi. Nienawiść do wszystkiego, co czeskie, jest tam głównym pierwiastkiem niemiecko-narodowego nastroju; w Reichenbergu tylko zdarzało się, że na ulicach ludzie czynnie byli znieważani, dlatego że z sobą głośno po czesku mówili. Nic czeskiego, jest hasłem niemiecko-narodowych reichenberczyków.

Na plenarném zgromadzeniu reichenberskiego „niemiecko-narodowego stowarzyszenia,“ przewodniczący Dr. Schücher mówił „o położeniu polityczném.“

Według mówcy, panujący obecnie prąd jest *nieprzyjazny* dla Niemców, w następstwach swoich *szkodliwy dla jedności państwa* a w dodatku reakcyjny. Liberalizmowi przeciwstawia się w Austryi reakcya, *niemieckim dążeniom cywilizacyjnym — słowianizm*, zasadniczym podstawom nowożytnego państwa na prawie opartego — feudalno-klerykalne poglądy.

„Dr. Klier wspomniał przy rozprawach nad budżetem o zniewagach i prześladowaniach, na które narażeni byli Niemcy w różnych miejscowościach Czech ze strony podszczuwanego gminu czeskiego, a z tych szczegółowych opisów, opartych na faktach troskliwie zebranych, każdy, kto zdolny jest wytworzyć sobie przedmiotowy pogląd, mógł przyjść do przekonania, że te *wybryki husyckiego barbarzyństwa*, skierowane przeciwko Niemcom, nie mogą być uważane za małoznaczące sceny szynkowniane lub skandale uliczne, ale były demonstracyami przeciwko Niemcom, obmyślanemi przez samych czeskich przewódców i według planu systematycznie przeprowadzonemi.“

To też odpowiedź prezesa ministrów hr. Taafego na interpelacyą d-ra Kliera jest „wyszydzeniem, obrazą niemieckiego narodu w Czechach i w tém znaczeniu była przez naród odczuta.“

Zdaniem mówcy, Austrya musi być państwem niemieckiém, „ażeby przy boku Niemiec i z Niemcami społem utworzyć w sercu Europy obronną ostoję cywilizacyi europejskiéj przeciwko grożącéj od wschodu powodzi słowiańskiéj.“

Na Polaków mówca jest bardzo rozgniewany za to, że i oni pomagają „do obalenia hegemonii Niemców w Austryi.“ „Ludność

Galicyi stoi jeszcze dziś, jak dawniéj, na wstrętnym pólbarbarzyńskim szczeblu kultury, a Polacy nie użyli danych sobie swobód, dla polepszenia bytu swego ludu; z tych swobód skorzystała tylko polska szlachta feudalna. Ta jest właśnie różnica między polską a niemiecką hegemonią w kraju, że ostatnia toruje drogę duchowemu i materyalnemu rozwojowi.“

„Niemiecka inteligencya, niemiecka prasa, kończy mówca swoją mowę, zmieniła w okolicach, które zamieszkujemy, nędzne wioski czeskie na zamożne miasta i kwitnące ogniska przemysłowe; inteligencya i dobrobyt są źródłami, z których państwo czerpie swoją siłę podatkową i oddawna już Austrya nie mogłaby utrzymywać tak wielkiéj armii, ani stanąć na stanowisku pierwszorzędnego mocarstwa, gdyby Niemcy nie dali na to pieniędzy.“

Mówca jest przekonany, że o potęgę kultury niemieckiéj rozbije się obecny prąd polityczny w Austryi, czyli innemi słowy, nienawidzi formalnie i uroczyście dążenia do zgody między narodowościami; uważa zasadę narodowego równouprawnienia za formalną zniewagę wyższéj, do panowania przeznaczonéj „kultury niemieckiéj“ i jako postulat téj wyższéj kultury niemieckiéj ogłasza, że niżsi Słowianie mogą być uważani tylko za przedmiot niemieckiego panowania.

Dr. Schmeykal (według prawdziwéj ortografii czeskiéj *Šmejkal*, Niemcy, wymawiając to nazwisko, pilnują się także właściwéj ortografii t. j. pierwotnego brzmienia; jakkolwiek właściwie powinno się wymawiać Šmaikal), adwokat w Pradze i znany przewódca stronnictwa niemiecko-narodowego w Czechach (1) był w r. 1861, kiedy rozpisano pierwsze wybory do sejmu czeskiego dependentem u adwokata w Laipa, a stosunki jego majątkowe bardzo skromnie się przedstawiały. Zdolnemu młodzieńcowi nie trudno było świetnie wypowiedzianą mową kandydata zwyciężyć w zupełności swoich współzawodników, którzy też wypadkowo byli nic nieznaczącemi rywalami – i został wybrany do sejmu. Z początku przewódcą stronnictwa niemieckiego był dr. Herbst, a dr. Schmeykal jego najwierniejszym adjutantem, następnie zastępcą w Pradze, a kiedy dr. Herbst awansował na przewodnika niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w au-

---

(1) Na posiedzeniu sejmu czeskiego w r. 1880 pozwoliłem sobie zrobić następującą uwagę o właściwych stosunkach narodowych w Czechach, przyjętą ogólnym śmiechem: „Dr. Rieger, przywódca polityczny Czechów, bynajmniéj z tego nie robi tajemnicy, że jego rodzina jest niemieckiego pochodzenia, a podobnie i polityczny przywódca Niemców nie może zaprzeczyć, że jest właściwie pochodzenia czeskiego. Według zatém ulubionéj teoryi o wyższych i niższych rasach, mielibyśmy w Czechach wyższe stronnictwo z niższym przewódcą i niższe stronnictwo z wyższym przewodnikiem na czele.

stryackiéj radzie państwa, dr. Schmeykal był już samoistnym sternikiem stronnictwa niemiecko-narodowego w Czechach. Jako wierny stronnik niemieckiéj partyi rządowéj, dr. Schmeykal został nietylko adwokatem w Pradze, ale zyskał sobie i inne materyalne korzyści, tak, że jakkolwiek nigdy nie wchodził do wiedeńskiéj rady państwa, jest dziś bardzo bogatym człowiekiem, dla którego właśnie polityczne stanowisko wodza partyi stało się źródłem zamożności. Ale od czasu jak ministeryum Taafego stoi u steru rządu, a niemiecka partya konstytucyjna przestała być szafarką dóbr doczesnych i zaszczytów dla swoich stronników, dr. Schmeykal należy, z bardzo naturalnych powodów, do najgwałtowniejszéj opozycyi przeciwko obecnemu systematowi, a zatém jest najzaciętszym wrogiem narodu czeskiego. On to wtedy jeszcze, kiedy się czuł w całéj pełni używania, potęgi i świetności, z uśmiechem na ustach odpowiadał na wszystkie, przez Czechów stawiane, propożycye pojednania, krótkiém ale wiele mówiącém dictum: *Beati possidentes!*

Teraz nie przemawia wprawdzie głośno w imieniu całéj Austryi, ale panuje zawsze nad niemiecką większością w sejmie czeskim i nie wyrzeka się nadziei, że i w austryackiéj radzie państwa będzie mieć większość za sobą. Czuje się dość silnym i potężnym, ażeby prowadzić politykę na własną rękę; a jakkolwiek opozycya niemiecka w wiedeńskiéj radzie państwa, w chwili przekształcenia swego w jesieni r. 1881 nie chciała nazwać się *niemiecko-narodową*, przekładając mniéj podchwytliwy tytuł „zjednoczonéj lewicy," to jednak dr. Schmeykal wydał w Czechach hasło za Niemców, aby wszystkie ich polityczne zgromadzenia przechrzczone były na niemiecko-narodowe.

Dr. Schmeykal obstaje przy tém silnie, że należy uwydatniać polityczną solidarność Niemców austryackich z wielkim niemieckim narodem, ażeby przez to pokazać, że w razie potrzeby hegemonia Niemców w Austryi i panowanie ich nad nie niemieckiemi ludami, może być utrzymaném z pomocą potęgi cesarstwa niemieckiego.

Ta dążność występuje wyraźnie we wszystkich jego publicznych manifestacyach. Kiedy 9 października 1881 r. odbywała się w Pradze uroczystość otwarcia nowowybudowanéj niemieckiéj sali gimnastycznéj, dr. Schmeykal miał naturalnie mowę inauguracyjną. „Niemieckie pozdrowienie" i „niemiecka uroczystość," „niemiecki duch" i „niemieckie życie," „niemiecki obyczaj" i „niemiecka cześć," „niemieckie rozbudzenie" i „niemiecka zgoda," „niemiecka narodowość" i „niemieckie dzieło" krzyżują się co chwila w téj uroczystéj mowie, mianéj do „niemieckich gimnastów," w „niemieckiéj sali gimnastycznéj." O Czechach powiedziane jest w téj mowie, że gwał-

ty i znieważające zajścia, skierowane przeciwko narodowości niemieckiéj ku zdumieniu całego świata, *nie dadzą się nigdy zatrzeć, zapomnieć, ani przebaczyć.*

Dr. Schmeykal ogłasza zatém uroczyście zupełną niemożliwość narodowego porozumienia i pojednania między Niemcami i Czechami w królestwie czeskiém. Mówi o „głębokiém rozdraźnieniu“ a daléj powiada: „nasza dewiza jest jasna i otwarta i brzmi: „zachowanie samych siebie i zachowanie państwa;“ mówca oświadcza się za Józefińską ideą uorganizowania całości państwa austryackiego na podstawach niemieckiego języka i niemieckiego obyczaju i wzywa „do niezachwianego wytrwania w obronie tego, co jest nietylko naszym narodowym interesem, ale historyczną i naturalną podwaliną ojczystego państwa.“

Według d-ra Schmeykala o uwzględnieniu narodowych życzeń praw ludów niemieckich w Austryi, mowy być nie może, Austrya musi być niemiecką albo nie będzie istnieć.

Samo przez się rozumie się, że agitacye, prowadzone tak konsekwentnie w Czechach przez politycznych przewodników niemieckich, nie mogą pozostać bez wpływu na stosunek obu narodowości, mieszkających w kraju. Ale ten wpływ, mianowicie co do Niemców, nie jest takim, jakby pragnęli agitatorowie. Między Niemcami w Czechach wytworzyły się dwa stronnictwa: niemiecko-narodowe i niemiecko-austryackie. Ten rozdział wystąpił bardzo wyraźnie nawet między studentami uniwersytetu praskiego i jest tam faktem powszechnie znanym: że duchem austryackim ożywione są liczne korporacye studenckie, a nierównie mniéj burszowskich związków należy do stronnictwa narodowo-liberalnych. Pierwsi śpiewają na swoich komersach hymn austryacki, dla drugich pieśnią narodową jest „Die Wacht am Rhein.“

Między ludnością niemiecką, która ze swego powołania i trybu zajęć zmuszoną jest do codziennego obcowania z ludnością innego pochodzenia, znajduje się naturalnie wiele jednostek, w których egoizm narodowy nie rozrósł się jeszcze do tego stopnia, ażeby miały się stać niedostępnemi dla właściwych każdemu cywilizowanemu człowiekowi uczuć sprawiedliwości i słuszności. Wszystkie te jednostki skłonne są w zupełności stosować i do Czechów zasadę: że dla wszystkich powinna być jedna miara słuszności i nie mogą się obronić od przeświadczenia, że równouprawnienie narodowe w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném, do którego dążą Czechy, jest przecie słusznem żądaniem i że spełnienie tego żądania nie jest bynajmniéj wyrugowaniem Niemców, albo zagrożeniem niemieckiemu żywiołowi.

Mogę więc z zupełnym spokojem wyrazić twierdzenie, że mimo wszelkie agitacye między Niemcami w Czechach, znajduje się znaczna ilość ludzi i to ludzi po większéj części wysoko wykształconych, którzy nie przyklaskują agitacyom Schmeykala i jemu podobnych, lecz przeciwnie są w zupełności gotowi zakończyć trwające dotąd niesnaski narodowe zawarciem zgody, na podstawach uczciwie pojętego i uczciwie przeprowadzonego równouprawnienia narodowego. Że te umiarkowane żywioły między Niemcami nie zyskały jeszcze przewagi w politycznéj akcyi, to da się objaśnić prawem ogólnie rządzącém w życiu polityczném i sprawującém, że na pierwszy plan wysuwają się zwykle krańcowe, namiętniéj usposobione czynniki, które muszą najprzód swoją rolę odegrać, zanim się wytworzy zbawienna przeciw nim reakcya.

Taka reakcya przygotowuje się obecnie w Czechach między ludnością niemiecką i niewątpliwie nastąpi, jakkolwiek chwila rozpoczęcia dotychczas oznaczyć się nie da. Nie ulega wątpliwości, że wśród czeskich Niemców nadejść musi pora, kiedy każdy ukształcony Niemiec będzie o tém głęboko przekonany, że dwa główne oskarżenia, stawiane ciągle Czechom przez agitatorów niemieckich w celu utrzymania niemieckiéj ludności na nieprzyjaznėm stanowisku względem ludności czeskiéj, nie mają żadnéj podstawy, a więc na żadną nie zasługują uwagę. Niemcy w Czechach będą musieli w końcu przyznać, że Czechy nie mogą mieć zamiaru zniszczenia całego kraju, ani téż nie myślą bynajmniéj o zesłowiańszczeniu całéj Austryi, że ani w swoim kraju ani w państwie nie dążą do narodowego panowania, ale do usunięcia przeszkód, które jeszcze tamują swobodny rozwój ich narodowéj indywidualności, słowem że nie pragną niczego innego prócz zabezpieczenia własnego niezaprzeczonego prawa i bynajmniéj nie żywią ukrytéj intencyi uszczuplania praw cudzych.

Nastąpi nadto inna jeszcze reakcya między Niemcami w Czechach przeciwko agitacyi niemiecko narodowéj, przeprowadzanéj tam obecnie z wielką gorliwością, i oprze się na naturalnéj, oczywistéj argumentacyi. Niemcy w Czechach będą musieli powiedzieć sobie, nie waham się nawet dodać, że sobie już to mówią, że pojednanie narodowe w Czechach, leży w interesie Austryi, że nawet jest różnoznacznėm z przyszłą egzystencyą państwa austryackiego. Niemcy w Czechach będą musieli powiedzieć sobie, że wrogie odstrychnięcie się ich od Czechów w królestwie czeskiém, którego domagają się polityczni kierownicy Niemców, że taka odporna pozycya wobec narodowych dążeń Czechów, takie zasadnicze zaprzeczanie równości praw, których domaga się druga strona, jest możliwém do

przeprowadzenia tylko w niemiecko-narodowém państwie, że zatém Czechy musiałyby należyć do cesarstwa niemieckiego, gdyby miały się spełnić życzenia dzisiejszych agitatorów niemieckich; że zatém te pretensye nie możliwe są do przeprowadzenia w państwie austryackiém, którego konstytucya uroczyście przyjęła za prawo zasadnicze ustroju państwowego: równouprawnienie wszystkich narodowości. Cała więc niemiecko-narodowa agitacya w Czechach streści się dla tamecznych Niemców w pytaniu: czy chcą zostać przy Austryi, czy pragną być wcieleni do cesarstwa niemieckiego? a pod tym względem mogę już teraz zaznaczyć fakt, że wszyscy Niemcy w Czechach ożywieni duchem prawdziwie austryackim, nie okazują się nieżyczliwemi dla Czechów i że takie anti-czeskie usposobienie ogranicza się tylko do tych sfer, w których duch austryacki poświęcanym jest na ofiarę niemiecko-narodowemu.

Tylko w tych sferach, które, mogę to śmiało powiedzieć, stanowią mniejszość wśród niemieckiéj ludności w Czechach, wszystko podaje się w wątpliwość, wszystko się odrzuca, co w ostatnich czasach zrobiono pod względem praktycznego przeprowadzenia narodowego równouprawnienia. Większość sprawiedliwie myślących Niemców musi dziś już przyznać, że narodowe zdobycze Czechów w ostatnich czasach: rozporządzenie o języku z kwietnia 1880 r. jak również prawo o *utworzeniu uniwersytetu czeskiego w Pradze*, uchwalone na kończącéj się obecnie sesyi rady państwa z 1881—2 r. wreszcie zmiana ordynacyi wyborczéj w grupie wielkich właścicieli ziemskich spełniają życzenia Czechów, ale nie mogą bynajmniéj szkodzić zupełnie uzasadnionym prawom narodowym Niemców.

Rozporządzenie o języku z 19 kwietnia 1880 r. jest wprawdzie najmniejszą z naszych narodowych zdobyczy, ale praktycznego jéj znaczenia lekceważyć nie należy. To ministeryalne rozporządzenie narobiło już wiele krzyku i dziś jeszcze ma nieprzyjaciół. Przed 1848 r.—jak już to w jednym z poprzednich moich listów obszerniéj wykazałem—istniało w Czechach jednakowe prawo dla obu języków krajowych w urzędzie i przed sądami, ale z biegiem czasu ta równość wyszła zupełnie z praktyki. Rozporządzenie ministeryalne z 19 kwietnia 1880 r., nie wytworzyło żadnego nowego prawa, lecz usunęło dawną, przeciwną prawu praktykę. Jak więc dawniej zła wola rządu umożliwiła wdarcie się takiéj nieprawnéj praktyki, tak obecnie dobra wola rządu może tę praktykę tém łatwiéj usunąć, że równouprawnienie obu narodowości uznane jest przez konstytucyę. A jeżeli rząd wymaga, ażeby jego urzędnicy bądź polityczni, bądź sądowi w królestwie czeskiém, zamieszkałém przez dwie narodowości, znali oba języki krajowe, to Niemcy tak mało mają powodów do

uskarżania się na zczeszczenie, jak Czesi do protestowania przeciw germanizacyi. Tu szczególniéj stwierdza się zasada, że dla wszystkich powinna być jedna miara.

Niemcy jednak protestują dotąd przeciwko rozporządzaniu o języku, a czytelnik łatwo się domyśli, że Niemcy w tym razie, to stronnictwo niemiecko-narodowe. Według życzenia tych naszych niemieckich przeciwników, język niemiecki powinienby naturalnie, jako urzędowy austryacki, znaleźć nieograniczone zastosowanie we wszystkich urzędach i sądach w królestwie czeskiém, a czeski język tylko w urzędach i sądach tych okręgów, w których wyłącznie Czesi mieszkają. Spór zatém w kwestyi czy we wszystkich urzędach i sądach w królestwie czeskiém, podania czeskie mogą być po czesku załatwiane, pozostał nierozstrzygniętym; ale, jak już wspominałem, dobra wola rządu i potrzebna do tego energia doprowadzą nareszcie do rozstrzygnięcia w duchu prawnie istniejącego równouprawnienia.

Otworzenie w Pradze uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym, ustanowione prawnie na początek roku szkolnego 1882—3, jest niezaprzeczenie najważniejszą narodową zdobyczą, którą naród czeski zapisał w najnowszéj swojéj historyi. Odpowiednie prawo otrzymało najwyższą sankcyę cesarza Franciszka Józefa I, dnia 28 lutego 1882 r.

Donosiłem w ostatnim moim liście, w jakiéj formie to prawo przyjęte zostało w izbie poselskiéj austryackiéj rady państwa w końcu maja 1881 r. Obecnie muszę przypomniéć, że projekt do prawa taki, jaki wyszedł z rozpraw Izby deputowanych, był rezultatem kompromisu zawartego między dwoma wielkiemi stronnictwami izby, a właściwie kompromisu między niemieckiemi a czeskiemi deputowanemi królestwa czeskiego, i że ten projekt jednogłośnie był przyjęty w komisyi szkolnéj izby deputowanych. Według tego, co teraz wiem, a szczególniéj po zajściach w izbie panów, muszę zgodnie z prawdą i objektywnym poglądem dodać tu uwagę, że kompromis nie był ze strony Niemców z dobrą wiarą przyjęty, i że przeciwnie Niemcy przyznawali się do widocznego zamiaru niedopuszczenia, aby projekt do prawa stał się rzeczywistém prawem, słowem do puszczenia o ile można w odwłokę otwarcia uniwersytetu czeskiego.

Mimo że komisya przyjęła jednogłośnie projekt do prawa, 55 członków lewicy głosowało w izbie poselskiéj przeciwko poddaniu go pod specyalne rozstrząsanie, a kiedy większość izby odrzuciła wniosek deputowanego Granitscha, wniesiony niewątpliwie według planu z góry obmyślanego i dążący do zamieszczenia w projekcie zasady ęzyka niemieckiego, jako państwowego austryackiego, cała lewica

z wyjątkiem kilku członków, uważających widocznie tę procedurę za niegodny manewr stronniczy, głosowała przeciwko projektowi do prawa przyjętemu w komisyi jednogłośnie i opartemu na uroczystym kompromisie między posłami niemieckiemi a czeskiemi.

Nie trudno więc było dostrzedz, że stronnictwo niemieckie nosi się z zamiarem przeszkodzenia urzeczywistnieniu uniwersytetu czeskiego w Pradze, to też hr. Taafe dobrze zrobił, odraczając dn. 4 czerwca 1881 r. radę państwa, co przeszkodziło załatwieniu w ówczesnéj izbie panów projektu tego uniwersytetu. Wielu ludzi niecierpliwych i pod względem politycznym krótkowidzących, zresztą dobrych, gorliwych patryotów, miało za złe hr. Taafe takie postąpienie i posądzało go otwarcie, że on sam nie życzy sobie przyjścia do skutku uniwersytetu czeskiego. Następstwa nauczyły naturalnie gorliwych patryotów i zmusiły ich w końcu do oddania sprawiedliwości uczciwéj i dobréj woli hr. Taafego, a szczególnie jego rozumnéj przezorności.

Hr. Taafe zostawił w spoczynku kwestyę uniwersytetu przez lato 1881 r. i zajął się przedewszystkiém zapewnieniem sobie potrzebnéj większości w izbie panów austryackiéj rady państwa. 20 listopada 1881 r. nastąpiło mianowanie 14 nowych członków izby panów, naturalnie takich członków, którzy nie przystąpili do nieprzyjaznéj dla rządu lewicy i dopiéro wtedy projekt do prawa o utworzeniu czeskiego uniwersytetu mógł być w izbie panów załatwiony według życzenia rządu.

Sprawa, naturalnie, gładko nie poszła: bo wszystkie komisye izby panów, a zatém i komisya szkolna, były ukonstytuowane według dawnego ustroju izby, tj. partya przeciwna rządowi miała we wszystkich komisyach, więc i w komisyi szkolnéj, stanowczą większość. Rzecz naturalna, że z takiéj komisyi szkolnéj izby panów, wyszło takie sprawozdanie o wniesionym przez izbę poselską projekcie do prawa i takie powstały poprawki tego projektu, że przyjęcie go w izbie panów w téj formie utrudniłoby, jeżeli nie całkiem uniemożliwiło przeprowadzenie prawa.

Na to sprawozdanie i połączone z niem projekta do poprawek w prawie, zawotowanem przez izbę poselską, miała ważny, ściśle mówiąc, stanowczy wpływ petycya, którą senat akademicki uniwersytetu prazkiego uchwalił 20 listopada 1881 r. i przesłał izbie panów austryackiéj rady państwa. Nie potrzebuję dodawać, że ten akademicki senat dzisiejszego uniwersytetu prazkiego jest w znacznéj większości niemieckim, ale mniéj znaną jest ta okoliczność, że między niemieckiemi profesorami uniwersytetu prazkiego znajduje się znaczna liczba (przeszło dwudziestu) uczonych, powołanych z niemieckiego ce-

sarstwa, którzy naturalnie, jako rzetelni przedstawiciele niemieckiéj kultury, mają w tym senacie rozstrzygający głos w sprawach narodowych. Samo przez się więc rozumie się, że rzeczona petycya nie w tym celu była zredagowana, ażeby popierać według możności utworzenie czeskiego uniwersytetu w Pradze. Wszystko więc ładnie się złożyło: najprzód kompromis niemieckich i czeskich posłów w Wiedniu; potém petycya senatu akademickiego uniwersytetu prazkiego przeciwko temu co uchwalono na podstawie tego kompromisu. Posłowie niemieccy mieli dla pozoru okazać dobrą wolę, a niemieckim profesorom w Pradze, jako świadomym rzeczy, przypadła misya dowieść Izbie Panów, że to na co dobra wola zbyt dobrodusznie przystała nie może być przyznaném.

„Senat akademicki przeniknniony przekonaniem, mówią Izbie panów niemieccy profesorowie z Pragi, że dwoiste urządzenie uniwersytetu prazkiego musi za sobą niechybnie pociągnąć upadek téj instytucyi i że już obecny opłakany stan, spowodowany wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń, wymaga szybkich środków zaradczych, widzi w utworzeniu oddzielnego uniwersytetu czeskiego jedyny, w danych warunkach możliwy, środek utrzymania całości dzisiejszego uniwersytetu Karola Ferdynanda."

„Utworzenie nowego uniwersytetu nie powinno nastąpić kosztem i z krzywdą dzisiejszego uniwersytetu, a nowa szkoła wyższa musi być tak urządzona i stosunek jéj do istniejącéj w ten sposób uregulowany, ażeby niedogodności obecnego stanu ostatecznie zostały usunięte, a narodowe wymagania stanowczo były załatwione."

„*Uchwalone przez wysoką Izbę poselską prawo, tyczące uniwersytetu Karola Ferdynanda, nie odpowiada, zdaniem senatu akademickiego, żadnemu z przytoczonych wyżej wymagań.*"

„Myślą zasadniczą tego prawa nie jest utworzenie nowego uniwersytetu obok już istniejącego, ale podział tego ostatniego i to taki, że mają stąd powstać, nie dwa zakłady zupełnie od siebie niezależne i pod każdym względem samoistne, ale dwie instytucye, pod różnemi względami w jednę wyższą całość złączone. Ta myśl wyraża się we wspólnéj nazwie Carolo-Ferdinandea, we wspólności mienia uniwersyteckiego, nareszcie w przepisie, według którego studenci mają się wprawdzie immatrykulować w jednym uniwersytecie, faktycznie jednak naukę pobierają w równych częściach w obu uniwersytetach i tym sposobem do obu w równéj mierze należyć mogą. Ta myśl zasadnicza spowodowała, że prawo zawiera szereg przepisów, które z jednéj strony dotkliwie szkodzą istniejącemu uniwersytetowi, z drugiéj strony zawierają w zawiązku zło w rodzaju tego, które przez pomienione prawo ma być usuniętém.

W rezultacie, po długiem motywowaniu, senat akademicki wyraża prośbę do Izby panów:

„Ażeby wysoka Izba panów raczyła wprowadzić do projektu do prawa, tyczącego c. k. uniwersytetu Karola Ferdynanda zmiany i uzupełnienia w duchu następujących zapatrywań:

1) „Przez utworzenie uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym nie będzie nic zmienionėm w prawnéj egzystencyi istniejącego uniwersytetu. Ten ostatni w ogóle i każdy pojedyńczy fakultet w szczególe zostaje w posiadaniu mienia, które do niego należy, o ile za ich przyzwoleniem nie nastąpi odstąpienie jakiejś części tego mienia na rzecz uniwersytetu z czeskim językiem wykładowym.

2) „Na niemieckim uniwersytecie język niemiecki, na czeskim język czeski będzie wyłącznie używany do wykładów, do egzaminów i do wewnętrznéj korespondencyi. Język łaciński nie jest w wykładzie wyłączony.

3) Oba uniwersytety są pod względem przestrzeni zupełnie oddzielone; Karolinum należy wyłącznie do niemieckiego uniwersytetu, czeski pomieści się w Klementinum.

(Karolinum, tak nazwane od króla Karola I (niemieckiego cesarza Karola IV) założyciela uniwersytetu prazkiego—jestto stary historyczny gmach uniwersytecki. Nazwę Klementinum nosi kollegium Jezuitów, wybudowane w 17 wieku. Łatwo odgadnąć do czego zmierza takie żądanie).

4) Słuchacz zapisany do jednego uniwersytetu, może jako wolny słuchacz uczęszczać na kursa drugiego uniwersytetu; ale obowiązany jest uczęszczać na najmniéj trzy czwarte ogólnéj liczby godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

5) „Istniejące przy uniwersytecie Karola Ferdynanda naukowe urządzenia, zbiory i instytuty zostają przy uniwersytecie niemieckim, o ile w téj chwili nie należą do katedr z czeskim językiem wykładowym.

6) Dopóki nie będą urządzone przy nowym uniwersytecie oddzielne kliniki dla chorych, będzie tymczasowo dla czeskiego uniwersytetu wyznaczone po jednéj z istniejących przy dzisiejszym uniwersytecie.

7) Ogród botaniczny zostaje przy niemieckim uniwersytecie.

8) Stosunki instytutów klinicznych i anatomicznych do publicznych zakładów leczniczych, uregulowane będą według równouprawnienia identycznych katedr.

9) Wszyscy profesorowie, którzy nadal mianowani będą do istniejącego teologicznego lub medycznego fakultetu, i wszyscy prywat-

docenci, którzy się w tych fakultetach habilitować będą, mają wykładać wyłącznie w niemieckim języku.

(Ponieważ w mającym się utworzyć czeskim uniwersytecie będą tymczasowo otwarte tylko dwa fakultety: filozoficzny i prawny, więc ten ostatni punkt petycyi, zmierza do przeszkodzenia otwarciu dwu innych fakultetów: teologicznego i medycznego, nominacya bowiem czeskich profesorów lub habilitacya czeskich prywat-docentów do tych dwu fakultetów stałaby się przez to niemożliwą).

10) Docenci teologicznego i medycznego fakultetu, którzy dotychczas posługiwali się do wykładu w zupełności lub w części czeskim językiem będą i nadal do tego upoważnieni; ale mają być uważani za profesorów lub prywat-docentów wyznaczonych do czeskiego uniwesytetu i za przydanych tylko członków tych fakultetów, do których dotychczas należeli, w skutek czego w sprawach uniwersyteckich i fakultetowych, przysługuje im tylko glos doradczy, prawa zaś wyborczego nie mają."

Ta petycya senatu akademickiego nie została bez spodziewanego skutku. Komisya szkolna Izby panów, jak już wspomnieliśmy, nieprzyjazna Czechom i opozycyjna, wybrała na sprawozdawcę o projekcie do prawa, tyczącym podziału uniwersytetu prazkiego, byłego speakera wiernokonstytucyjnego, mieszczańskiego ministeryum, dr. Ungra, a ten w obszerném sprawozdaniu, w którém narodowe życzenia i wymagania przedstawione były w sposób bardzo pogardliwy, wymotywował zmiany projektu do prawa, przedstawione w petycyi prazkiego senatu akademickiego.

Gdyby Izba panów była przyjęła te projektowane zmiany swojéj komisyi szkolnéj, byłby projekt w ten sposób zmieniony powrócił do Izby deputowanych; posłowie narodu czeskiego byliby zmuszeni oświadczyć, że na te zmiany zgodzić się nie mogą i byłyby powstały zawikłania i trudności w skutku których utworzenie czeskiego uniwersytetu mogło było łatwo być odłożoném *ad calendas graecas*.

Mniejszość komisyi szkolnéj, któréj sprawozdawcą był zaszczytnie znany historyk, baron Józef Aleksander von Helfert postawiła wniosek, ażeby projekt do prawa Izby deputowanych w głównéj osnowie pozostawić niezmienionym i żeby tylko ze względu na spóźnioną porę i na potrzebne przygotowania, przyjąć mało znaczącą poprawkę: że otwarcie czeskiego uniwersytetu nastąpi nie z początkiem roku szkolnego 1881, lecz z rozpoczęciem roku 1882—3.

Ze strony czeskiéj zrobiono naturalnie wszystko co było można, aby skłonić Izbę panów do przyjęcia wniosku mniejszości komisyi szkolnéj.

Profesorowie i prywat-docenci czescy wystosowali do wysokiéj Izby panów memoryał o petycyi senatu akademickiego pod datą 10 stycznia 1882 r.; doktorowie prawa narodowości czeskiéj wnieśli do wysokiéj Izby panów petycyę z 393 podpisami „w sprawie projektu do prawa o uregulowaniu stosunków prawnych uniwersytetu prazkiego“ pod datą 29 stycznia 1882.

Trzéj profesorowie czescy i jednocześnie członkowie Izby deputowanych, Kośčala, Kryiś i Taliř ogłosili również w styczniu 1882 r. pro memoria pod tytułem: „do sprawy uniwersyteckiéj, w którém autor, profesor, filologii klasycznéj Kośčala, sprawozdawca o projekcie do prawa w Izbie deputowanych, którego energiczne zabiegi o przeprowadzenie téj ważnéj narodowéj sprawy zasługują na najpochlebniejsze zaznaczenie, poddał surowéj krytyce sprawozdanie d-ra Ungra.

Poniżéj podaję główną treść pierwszego pisma, które treściwie rozjaśnia wzmiankowane kwestye sporne.

„Petycya senatu akademickiego, mówią czescy profesorowie wychodzi z dowolnego zupełnie punktu zapatrywania jakoby uniwersytet Karola Ferdynanda nie był dwoistym lecz tylko niemieckim zakładem, w którym obok odczytów niemieckich *obowiązkowo* kompletnych, *mogą* być także wykładane lekcye w języku czeskim. Dowodu na to twierdzenie, postawione w petycyi, nie przytoczono ani razu, co jest rzeczą naturalną, ponieważ taki dowód nie istnieje. Niema ani z dawniejszych ani z nowszych czasów prawa, któreby taki przepis zawierało, któreby nawet wyłączne użycie niemieckiego języka na uniwersytecie stanowiło. W istocie rzecz się ma tak, że pierwotnym językiem wykładowym był z dawien dawna język łaciński: że za rządów cesarzowéj Maryi Teresy wyjątkowo utworzono kilka niemieckich katedr; że za panowania cesarza Józefa II, i w późniejszych jeszcze czasach użycie niemieckiego języka coraz bardziéj się rozszerzało; że w skutku zmieniających się potrzeb czasu od 1848 r. utworzono niektóre czeskie katedry i niektórym profesorom dano do wyboru użycie w wykładach czeskiego lub niemieckiego języka i na téj drodze stopniowo w coraz szerszych rozmiarach przygotowywało się przeprowadzenie w uniwersytecie uznanego przez konstytucyę równouprawnienia obu narodowości.

„Jeżeli według tego uniwersytet Karola Ferdynanda nie jest pod względem prawnym wyłącznie niemieckim, to upadają wszelkie długie dedukcye o prawie własności uniwersyteckiego mienia, jakoby jedynie uniwersytetowi niemieckiemu przysługującém. Chcąc ściśle pilnować się dokumentów prawnych, możnaby co do jednego z majątków uniwersyteckich „Michel“ pod Pragą, windykować wyłączne

prawo dla czeskiéj części uniwersytetu, bo akt donacyjny z 1438 r. przeznacza go tylko dla studentów uniwersytetu czeskiego pochodzenia (nationis et linguagii Bohemici). Zresztą kwestya mienia uniwersyteckiego jest niewielkiego znaczenia, bo dochody z tego majątku są bardzo małe, a płaca profesorów, utrzymanie budowli, wydatki na różne urządzenia i w ogóle wszystkie potrzeby uniwersytetu zaspakajane są z dochodów rządowych.

„Jeżeli zatém mienie uniwersyteckie nie należy wyłącznie do niemieckiéj części uniwersytetu, to w niwecz się obracają wszystkie trudności, stawiane przez senat z takim przyborem prawnych subtelności, dla wykazania niemożliwości podziału dotychczasowego, jednolitego uniwersytetu na dwa, różniące się z sobą językiem i jednakowém uposażone prawem do tego majątku. Jak niegdyś wolno było cesarzowi Ferdynandowi II wcielić do zakonu jezuitów, uniwersytet, założony przez cesarza Karola IV, a cesarz Ferdynand III, mocen był wskrzesić znów niezawisłość tego uniwersytetu, a następnie oba zakłady: Karoliński i Jezuicki połączyć w jeden uniwersytet Carolo-Ferdinandea (1654) tak wolno jest niewątpliwie naszemu najmiłościwszemu cesarzowi, Franciszkowi Józefowi I, zgodnie ze zmienionemi potrzebami, postanowić nowe przepołowienie szanownego zakładu z utrzymaniem równych praw dla obu narodowości w kraju.“

„Profesorowie niemieccy, zarówno jak czescy, mianowani są na katedry dekretami Jego cesarskiéj mości, niemieccy docenci zarówno jak czescy otrzymali prawo wykładania, na mocy takich samych prawnie przepisanych aktów habilitacyjnych, jednym jak i drugim przysługują te same prawa, które organizacya uniwersytetu przyznaje członkom nauczycielskiéj korporacyi. Tymczasem petycya senatu akademickiego żąda, ażeby po utworzeniu oddzielnych czeskich fakultetów prawnego i filozoficznego, na dwa inne fakultety: teologiczny i medyczny nie byli mianowani nowi, po czesku wykładający profesorowie, a nawet żeby profesorowie, którzy dotychczas posługiwali się w wykładach bądź wyłącznie, bądź częściowo czeskim językiem, mieli odtąd w korporacyi nauczycielskiéj głos tylko doradczy bez prawa do wybierania.“ „Niepodobna zrozumieć z jakiego powodu profesorowie czescy właśnie od téj chwili mają utracać prawo do głosu i do wyboru, które dotychczas na równi z Niemcami i na podstawie jednakowych praw i statutów posiadali i z jakiéj przyczyny czescy docenci nie mają się dostawać na katedry przy fakultetach, skoro każdy po to tylko habilituje się na docenta, ażeby mieć widoki dojścia do profesury.“

„Petycya akademickiego senatu uskarża się na „złe następstwa dwoistego urządzenia uniwersytetu“ i wyraża przekonanie, „że takie

urządzenie prazkiego uniwersytetu musi za sobą niechybnie pociągnąć upadek téj instytucyi i że już obecny opłakany stan, spowodowany wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń, wymaga szybkich środków zaradczych.“ Te środki zaradcze byłyby, według istotnéj myśli petycyi, najwłaściwiéj i najprościéj przedsięwzięte, gdyby mianowani dotychczas czescy profesorowie nietylko na fakultetach teologicznym i medycznym, co jest otwarcie powiedzianém, ale na fakultetach filozoficznym i prawnym, co już nie jest wypowiedziane, wpisani zostali na etat wymarcia. Na czém jednak polegają złe skutki dwoistości i dla czego ma z nich wyniknąć upadek uniwersytetu, o tém petycya nie mówi ani słowa. Dla naukowego wykształcenia dwoistość złych skutków nie pociąga. Uniwersytet, od czasu założenia, działa w części przynajmniéj zbawiennie na rozwój nietylko niemieckiéj ale i czeskiéj literatury naukowéj, coby nie miało miejsca bez dwoistości. Zdaje się więc, że złe następstwa, o których mówi senat akademicki, streszczają się w tém co jest w petycyi nazwaném: „wystąpieniem wyłącznie narodowych dążeń.“ Pod tym względem nie można zaprzeczyć, że wskutek wyłącznie narodowych dążeń, to jest dążeń, które ze szkodą interesów naukowych zmierzają tylko do panowania jednéj narodowości nad drugą, wynikają w korporacyi nauczycielskiéj i między studentami starcia, które, szczególniéj w korporacyi profesorskiéj, utrudniają wspólną działalność członków obu narodowości.“

„Projekt do prawa przyjęty przez wysoką Izbę poselską pozwala, według ilości studentów, słuchać połowy lekcyj na drugim uniwersytecie; petycya senatu akademickiego, pragnęłaby to ograniczyć do czwartéj części całkowitéj liczby studentów. Za powód tego ograniczenia podaje się, że rozciągnięcie władzy dyscyplinarnéj nad jedym i drugim uniwersytetem tém więcéj jest utrudnioném im większa jest liczba studentów nieimmatrykulowanych.

„Myślą naszą było *nie zniesienie jedności Uniwersytetu ale podział fakultetów na niemieckie i czeskie, przyczém miałaby miejsce jedna tylko immatrykulacya, we wspólnym uniwersytecie, a zatém jednolita władza dyscyplinarna.*

Podział na dwa uniwersytety wytworzy niewątpliwie pewne trudności, ale różnica w ich doniosłości przy pozwoleniu połowie lub czwartéj części studentów na słuchanie lekcyj w uniwersytecie, w którym nie będą zapisani, nie okaże się znaczną, bo w jednym i w drugim wypadku tak niemieccy jak czescy studenci z konieczności schodzić się muszą w tych samych zabudowaniach. Ograniczenie do czwartéj części lekcyi w innym języku, zacieśniłoby bardzo swobodę

wyboru i uczyniłoby złudném prawo słuchania lekcyi w obu językach. Chcąc słuchać większą liczbę godzin w innym języku, niejeden student byłby zmuszonym zapisywać się przeciw swemu życzeniu do drugiego uniwersytetu, przezco mięszanina, któréj się chce uniknąć na jednéj drodze, wytworzyłaby się na innéj.

„Petenci są zresztą zdania, że do rozdziału obu uniwersytetów pod względem przestrzeni, wielką wagę przypisywać należy. Opłakane nadużycia przeszłorocznego lata, na które powołują się bezustanku, wydarzały się nie w obrębie uniwersytetu, lecz na ulicy i gdzieindziéj i to nie wyłącznie między niemieckimi i czeskimi studentami, lecz raczéj między tymi ostatnimi i rozdrażnionymi niższemi warstwami ludności czeskiéj, podobnym więc wypadkom rozdział nie zapobiegnie. Zdarzały się za to w innych miejscach w murach uniwersytetu nadużycia, których przyczyna tkwiła nie w różności narodowego pochodzenia ale w innych okolicznościach, a których ustrzedz się nie było można. Jeżeli więc byłby na widoku rozdział pod względem przestrzeni, to w żadnym razie nie w sposób nieodpowiadający celom naukowego wykładu, jak np. przez przeniesienie czeskiego uniwersytetu do Klementinum, które pod każdym względem jest nieodpowiedniém i niewystarczającém.“

Z tych powodów profesorowie czescy proszą wysoką izbę panów, ażeby przyjęła projekt do prawa zawotowany przez Izbę poselską.

Rozprawy nad projektem do prawa o utworzeniu czeskiego uniwersytetu, toczyły się w Izbie panów austryackiéj rady państwa 8 i 9 lutego 1882 r. w trzech posiedzeniach; we czwartek, 8 lutego ze względu na nagłość przedmiotu odbyło się dodatkowe wieczorne posiedzenie.

Winienem przedewszystkiém zaznaczyć, że na wyraźne życzenie prezesa ministrów hr. Taafego, obronę wniosku mniejszości komisyi szkolnéj Izby poselskiéj, przyjął na siebie zamiast barona von Helferta, hr. Fryderyk Schönborn, namiestnik Morawii, członek czeskiego stronnictwa szlacheckiego, co było dla każdego jasną wskazówką, że rząd solidaryzuje się z tym wnioskiem mniejszości.

Ogólne rozprawy były turniejem parlamentarnéj wymowy w wyższym stylu: za wnioskiem większości przemawiali, oprócz sprawozdawcy D-ra Ungra, baron von Tomaschek, kawaler von Hasner, były prezes mieszczańskiego ministeryum, profesor uniwersytetu praskiego Höfler i książę Schönburg, za wnioskiem mniejszości, oprócz sprawozdawcy hr. Schönborna, hr. Ryszard Belcredi, prezes najwyższego trybunału administracyjnego, profesor uniwersytetu czeskiego Dr. Randa, kawaler von Miklosić, baron von Helfert, hr. Leo Thun.

Między wszystkiemi wypowiedzianemi z tego powodu mowami, na pierwszorzędną wzmiankę zasługuje bezwątpienia mowa hr. Ryszarda Belcrediego, który z wielką znajomością rzeczy przedstawił historyczne i prawne stosunki uniwersytetu praskiego i w gorących słowach bronił praw czeskiego narodu. Prezes ministrów hr. Taafe, odpowiedział na zarzut opozycyi: jakoby rząd pozwalał się wciągać bez planu od ustępstwa do ustępstwa, ale według ukrytego planu dążył do federalizmu: „Rząd nie postępuje bez planu, lecz dąży według planu zupełnie jawnego, który polega głównie na tém, aby umożliwić porozumienie. Jeżeli zaś ma być wogóle mowa o porozumieniu, to zdaniem rządu jest ono wtedy tylko możliwém, *jeżeli się uwzględnia słuszne żądania narodowości, o ile na to jedność i pozycya polityczna państwa pozwala.*" Minister wyznań i oświaty, Conrad von Eybesfeld, dodał do tego jeszcze: „Rząd jest stanowczo tego zdania, że do załatwienia spraw narodowych jedna jest tylko droga: zostawić ludności swobodę porozumienia się co do własnych jéj interesów i szukać środków do tego porozumienia. Rząd ufa, że Niemcy w Czechach i w Austryi, którzy, odkąd tylko Austrya istnieje, bronili jéj wielkości i honoru, dojdą i w przyszłości do przekonania, że *honor czeski jest też honorem austryackim.*"

Dnia 10 lutego 1882 r. przy imiennném głosowaniu i przy niezwykle licznéj, w austryackiéj Izbie Panów, obecności jéj członków, projekt do prawa uchwalony przez Izbę poselską przyjęty został 82 głosami przeciwko 55, czyli większością 27 głosów.

Wskutku wspomnianéj już małoznacznéj zmiany, według któréj w Art. I miało być „z początkiem roku szkolnego 1882—3 (zamiast pierwotnie naznaczonego 1881—2), uchwała Izby Panów musiała być zwróconą do Izby poselskiéj, gdzie 14 lutego 1882 r. zmieniony w ten sposób projekt, przyjęty był bez rozpraw przez większość przeciwko głosom lewicy i tym sposobem prawo przez Radę państwa załatwione zostało. Sankcya cesarska nastąpiła—jak wyżéj wzmiankowałem — 28 lutego 1882 r.

W Czechach powitano z uniesieniem uchwałę austryackiéj Izby Panów, jako początek nowéj ery, w któréj Austrya zapewne wyemancypuje się zupełnie z przesądu, że prawdziwa idea państwowa austryacka polega na uciskaniu nieniemieckich ludów monarchii. Imię cesarza Franciszka Józefa czczone będzie w historyi narodu czeskiego jako imię wielkodusznego odnowiciela narodowéj kultury.

W ciągu lata 1882 r. przedsięwzięto w Pradze odpowiednie przygotowania do stosownego umieszczenia czeskiego uniwersytetu. W maju uorganizowały się kollegia profesorskie nowych czeskich fakultetów: filozoficznego i prawnego w celu przedstawienia mini-

strowi wyznań i oświaty, w drodze przepisanéj, swoich projektów co do obsadzenia niektórych jeszcze katedr.

W końcu nie mogę się powstrzymać od wyrażenia żalu, że spełnienie tego narodowego życzenia, tak ważnego dla przyszłości Czechów, nie mogło nastąpić w ten sposób, w jaki pierwotnie pragnęliśmy je urzeczywistnić, mianowicie że zasada narodowego równouprawnienia w czeskim uniwersytecie nie została przeprowadzona przez przekształcanie instytucyi na prawdziwie dwoisty uniwersytet, w którym fakultety czeskie i niemieckie, na równi pod względem praw postawione, byłyby połączone pod *jedném* wyższém kierownictwem, ze zmieniającym się co rok rektoratem niemieckim i czeskim.

Co do mnie, muszę przyznać, że razem z wszystkimi Czechami żałuję tego z dwóch powodów.

Dwoisty praski uniwersytet, byłby w Czechach wyrazem zawartéj nareszcie między Niemcami i Czechami zgody, do któréj dążyliśmy zawsze szczerze i otwarcie i do któréj téż nadal szczerze i otwarcie zmierzać będziemy.

Dwoisty praski uniwersytet byłby powitany w całéj cywilizowanéj Europie jako zapowiedź rozpoczętego pokoju międzynarodowego, jako drogowskaz w rozwoju cywilizacyi europejskiéj, wreszcie zwróciłby na siebie ogólną uwagę jako unikat w swoim rodzaju. Taki uniwersytet wywierałby na młodzież wszystkich słowiańskich krajów silny urok przyciągający, a nawet kollegia niejednego z niemieckich profesorów zyskałyby większą liczbę słuchaczów. Słowem dwoisty uniwersytet praski byłby rozgłośnym i uczęszczanym wyższym zakładem, kiedy tymczasem teraz oddzielony niemiecki uniwersytet musi koniecznie stracić na znaczeniu, a oddzielony czeski uniwersytet może mieć tylko ograniczone znaczenie. Widocznie niemieccy profesorowie, pod wpływem narodowego krótkowidztwa, stracili z oczów własną korzyść.

Jeżeli między zdobyczami narodowemi najnowszych czasów zamieściłem zmianę ordynacyi wyborczéj, to muszę z góry dodać następującą uwagę. Systemat niesłusznych ordynacyj wyborczych, stworzony w 1861 r. przez Schmerlinga i nieodpowiedni danym warunkom co do liczby ludności i normy opodatkowania, miał jedynie na celu osiągnięcie możliwie znacznych niemieckich większości w sejmach i w radzie państwa. Jeżeli więc dzisiejszy rząd oświadcza się z gotowością zmienienia tego systematu, a zatém nie chce nadal uważać utrzymania hegemonii niemieckiéj za niezachwianą podstawę polityki austryackiéj, to wszelką w tym kierunku przedsięwziętą zmianę w istniejącéj ordynacyi wyborczéj, można uważać za zdobycz narodową.

W tym wypadku idzie nie o zmianę ordynacyi wyborczéj do sejmu czeskiego, na którą, jak wiadomo, przedewszystkiém uskarżamy się, lecz o zmianę ordynacyi wyborczéj do austryackiéj rady państwa. W ordynacyi tyczącéj królestwa czeskiego byłoby wiele do zmienienia, gdyby chcieć usunąć wszystkie niesprawiedliwości rażące przy danych stosunkach.

Sejm czeski liczy 241 członków w następującym składzie:

1) Głosy pojedyncze: arcybiskup, 3 biskupów i rektor uniwersyt.	5
2) Wielka posiadłość ziemska (fideikomis 16—reszta 54) . . .	70
3) Miasta 72 — Izby handlowe 15	87
4) Gminy wiejskie	79
Ogółem . .	241

W kuryi miast i Izb handlowych narodowość czeską reprezentuje 36 członków, w kuryi gmin wiejskich 49.

Stosunek ludności jest: przeszło $^3/_5$ czechów — niecałe $^2/_5$ niemców.

W tak niesłusznym rozdziale stanowiła nadto ordynacya wyborcza Schmerlinga że: 70 członków kuryi wielkiéj własności, w dwóch korporacyach wyborczych, wybieranych będzie w jednéj miejscowości wyborczéj jednym aktem wyborczym (głosowanie z listy), ażeby w ten spsób niemieckiemu stronnictwu zapewnić w sejmie większość $^2/_3$.

Do austryackiéj rady państwa wybierają Czechy 92 posłów, również według systematu trzech kuryi:

1) Wielka posiadłość ziemska jednym aktem wyborczym	23
2) Miasta i Izby handlowe	39
3) Gminy wiejskie	30
Ogółem .	92

Narodowość czeska ma tu w klasie wyborców z miast i Izb handlowych 16 posłów, z gmin wiejskich 18. Co do reprezentantów wielkiéj posiadłości ziemskiéj rzecz się ma tak samo jak w sejmie.

O zmianie ordynacyi wyborczéj do sejmu, w téj chwili mowy jeszcze niema, niemiecka— albo używając technicznego wyrażenia— „konstytucyjna" większość sejmu odrzuciła już projekta rządowe w téj materyi. Możemy tylko spodziéwać się, że zmiana ordynacyi wyborczéj do rady państwa, mająca już moc prawną, nie zostanie bez wpływu na zmianę ordynacyi wyborczéj do sejmu.

Że Schmerling zdążał do własnych celów, przez wybieranie jednym aktem wyborczym reprezentantów czeskiéj własności ziemskiéj, wynika już z téj okoliczności, że w Galicyi wybiéra się 20 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj do rady państwa w 20 okręgach wy-

borczych; w Bukowinie 3 posłów, takiejże kuryi w 2 okręgach wyborczych i w Tyrolu 5 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj również w 2 okręgach wyborczych.

Właściciele ziemscy w Czechach dzielą się na dwa polityczne stronnictwa, które po prostu nazwać można czeskiém i niemieckiém, które jednak według bieżącéj definicyi nazywają się „konserwatystami i wiernokonstytucyjnemi, albo liberalnemi."

Następujące daty, tyczące wyborów w czeskiéj własności ziemskiéj nie będą bez znaczenia:

27 listopada 1865 r. Wybory dopełniające do sejmu. Z 410 mających prawo wybierania, wybierało 190. Konserwatyści zwyciężają 118 głosami przeciw 72.

9 stycznia 1866 r. Wybory dopełniające do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów 117 głosami przeciw 110.

24 listopada 1866 r. Wybory dopełniające do sejmu. Wiernokonstytucyjni wstrzymują się od wyborów.

4 lutego 1867 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów 188 głosami przeciw 136.

29 marca 1867 r. Powtórne wybory ogólne. Fideikomis wybiera 8 konserwatystów i 8 wiernokonstytucyjnych. W wielkiéj posiadłości allodyalnéj zwyciężają wiernokonstytucyjni 208 głosami przeciw 179.

22 sierpnia 1868 r. } konserwatyści wstrzymują się od wyborów
29 września 1869 r. } przy wyborach dopełniających.

25 sierpnia 1870 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo konserwatystów w fideikomisie 19 głosami przeciw 16, we własności allodyalnéj 178 głosami przeciw 159.

13 września 1871 r. Wybory dopełniające w sejmie. Wiernokonstytucyjni wstrzymują się od wyborów.

22 kwietnia 1872 r. Wybory do sejmu. Konserwatyści wstrzymują się od wyborów.

Prawem 2 kwietnia 1873 roku dla przeciwdziałania usunięciu się Czechów wprowadzone zostały bezpośrednie wybory do rady państwa.

23 września 1878 r. Ogólne wybory do sejmu. Zwycięstwo wiernokonstytucyjnych w fideikomisie 20 głosami przeciwko 17, w allodyalnéj własności 217 głosami przeciwko 143.

3 lipca 1879 r. Wybory kompromisowe, za interwencyą nowego ministeryum Taafego. Wybranych jest do rady państwa 13 liberalnych posłów, 10 konserwatystów. *Posłowie narodu czeskiego wstępują do rady państwa.*

18 lutego 1882 r. Wybory dopełniające do rady państwa. Zwycięstwo konserwatystów 215 głosami przeciwko 187.

15 maja 1882 r. Wybory dopełniające do rady państwa. Liberalni wstrzymują się od wyborów.

Z powyższych danych można się przekonać, że nie trudném jest dla rządu wybory czeskiéj własności ziemskiéj na tę stronę przechylić, na którą mu potrzeba i że dla gabinetu Taafego byłoby również bardzo łatwém przeprowadzić w czeskiéj własności ziemskiéj wybory zachowawcze i w przyszłych ogólnych wyborach do sejmu zmienić dzisiejszą niemiecką większość na czeską.

Że zaś Czechom bynajmniéj o to nie chodzi, ażeby ostrze przeciwko nim wymierzone poprostu odwrócić, i że mają szczery zamiar istniejące w różnych ordynacyach wyborczych niesprawiedliwości tylko w tym duchu i w téj mierze usunąć, ażeby każdy pozostał przy swojém nieuszczuploném prawie, dowodzi jasno wniosek czeskiego posła Zeithammera w przedmiocie zmiany ordynacyi wyborczéj do rady państwa.

Według tego wniosku, przedstawionego w Izbie poselskiéj austryackiéj rady państwa dnia 2 maja 1882 r., posłowie czeskiéj własności ziemskiéj w liczbie 23 wybierani będą nie jednym aktem wyborczym w jednéj miejscowości wyborczéj, ale w *pięciu* okręgach wyborczych w dwóch korporacyach wyborczych.

Wielka własność ziemska fideikomisowa na całe Czechy wybiera:

W Pradze	5
Niefideikomisowa własność ziemska w miejscowości wyborczéj Praga	3
„ „ Budweis	4
„ „ Eger	4
„ „ Reichenberg.	3
„ „ Chrudim	4
Ogółem .	23

W Eger i w Reischenbergu wybranych będzie prawdopodobnie 7 liberalnych; w Pradze, Budweis, Chrudim przypuszczalnie 11 konserwatystów; w fideikomisie zapewne 5 konserwatystów, a może 5 liberalnych. Może więc być wybranych 16 konserwatystów przeciwko 7 liberalnym—coby dość odpowiadało stosunkom krajowym; a może tylko 11 konserwatystów przeciwko 12 liberalnym.

Ten nowy przez Zeithammera projektowany *modus* zyskał 23 marca 1882 po trzeciém odczytaniu w izbie poselskiéj moc uchwały 162 głosami przeciw 124; izba panów przyjęła wniosek 24 maja 1882 r. W połowie czerwca nowella reformy wyborczéj miała otrzymać sankcyę cesarską.

Z wnioskiem Zeithammera był w związku projekt Lienbachera, posła niemieckiego z Salzburga, którego treść główna polega na obniżeniu cenzusu wyborczego dla miast i gmin wiejskich z 10 m. 5 fl.

Dla czeskiego stronnictwa w wielu miastach Czeskich takie postanowienie jest bezpośrednio korzystném. Z powyższego więc okazuje się, że te zmiany w ordynacyi wyborczéj do rady państwa uważane być mogą za oczekiwany długo początek usunięcia niesprawiedliwości w ordynacyach wyborczych, że zatem godzi się zaliczyć je do narodowych zdobyczy.

Poświęciwszy już cały list walce obu narodowości w Czechach, muszę w końcu w krótkich przynajmniéj słowach wspomnieć o nowéj formie, w któréj ta walka, od początku 1881 r. obustronnie się toczy: jestto walka o szkołę, albo, jeśli kto chce, walka „niemieckiego stowarzyszenia szkolnego z takimże czeskiém: Ustředni matice školská.“

Jeszcze w 1880 r. w Czerwcu weszło w życie „niemieckie stowarzyszenie szkolne,“ z którego statutów przytoczę tylko co następuje: „Celem niemieckiego stowarzyszenia szkolnego jest popierać dążenia ludności do tworzenia i utrzymania szkół niemieckich w krajach austryackich z ludnością mięszaną pod względem języka, na granicach dokąd sięga język niemiecki lub w miejscach, gdzie jest odosobniony w śród innéj mowy, a szczególniéj tam, gdzie utworzenie szkoły niemieckiéj z funduszów publicznych jest niemożliwém. Siedliskiem stowarzyszenia jest Wiedeń. Członkiem stowarzyszenia jest każdy, kto złoży jednorazowo 20 lub rocznie najmniéj 1 fl.“

Przeciwko niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu założony został w Pradze w grudniu 1880 r. Ustředni matice školská, z tą samą dążnością w przeciwnym kierunku i z tą różnicą, że czeskie stowarzyszenie ma 2 kategorye członków, z których pierwsza uiszcza jednorazową składkę 500 i 100 fl., druga płaci składkę roczną 10, 5 lub 1 fl.

O działalności i powodzeniu obu stowarzyszeń doniosę w następnym liście.

Spór narodowości trwa w Czechach ciągle, a ze strony przeciwników toczy się nawet z nową gwałtownością. Pragniemy pokoju, ale uczciwego i trwałego pokoju na podstawie równych praw dla wszystkich. Niestety jednak, zmuszeni jesteśmy prawie do przekonania, że nasi przeciwnicy stanowczo tego nie chcą, lecz że wszystkiemi siłami pracują nad sprowadzeniem katastrofy, która zgodę na zawsze uniemożliwi. Oby to Bóg na lepsze przemienił.

Dr. Gabler.

P. S. List ten skończyłem w Niedzielę Zielonych Świątek. Dziś, 3 czerwca, nie mogę się powstrzymać od dodania następującego faktu, jako oryginalnéj ilustracyi naszych obecnych stosunków i najwłaściwszego zakończenia tego pisma.

Pilsen i Reichenberg, są to po Pradze dwa największe miasta w Czechach. Oba liczą przeszło po 30000 mieszkańców; w obu stosunek ludności pod względem narodowości prawie ten sam, tylko w odwrotny sposób. W Reichenbergu jest $^{4}/_{5}$ Niemców i $^{1}/_{5}$ Czechów, w Pilsen $^{4}/_{5}$ Czechów a $^{1}/_{5}$ Niemców. Jak więc Niemcy uważają Reichenberg za niemieckie miasto, tak my możemy uważać Pilsen za miasto czeskie. W danych warunkach nigdyby nam na myśl nie przyszło urządzać w Reichenbergu festyny czeskich śpiewaków z publicznémi pochodami, ze zgromadzeniami i mowami. Tymczasem Niemcy w drugie święto Zielonych Świątek urządzili w Pilsnie uroczystość niemieckich śpiewaków, przyczém odbyło się nietylko kilka publicznych pochodów, ale na zgromadzeniach odzywały się bardzo podburzające mowy. Czeska ludność Pilsenu dobrze o tém wiedząc, że niemieccy agitatorowie mają jedynie na celu wywołać „narodowe męczeństwo,“ ażeby módz do Berlina o pomoc zawołać, sprawiła wzorowém zachowaniem się, że zamiar ten spełzł na niczém,—tak, że w ciągu trwającego dwa dni festynu śpiewaków niemieckich, nie wydarzyło się w Pilsnie najdrobniejsze zakłócenie porządku publicznego. Mimo to, praska „Bohemia,“ organ partyi niemieckiego kasyna, umieściła 30 maja sprawozdanie z uroczystości, w którém czytać można dosłownie: „Licznie odkomenderowana policya i żandarmerya, poskramiała energicznie wszelkie wybryki pojedyńczych zbiegowisk motłochu, usiłującego zakłócić spokojność.“ Dzienniki wiedeńskie powtórzyły tę uwagę po Bohemii.

1 czerwca ta sama „Bohemia“ wydrukowała co następuje:

„Do szanownéj redakcyi czasopisma „Bohemia“ w Pradze.

„Na mocy § 19 prawa prasowego, wzywa się o wydrukowanie w najbliższym Numerze „Bohemii“ poniższego sprostowania na tém samém miejscu i temi samemi czcionkami jak prostowany artykuł.

„Wiadomość zamieszczona w N. 148 peryodycznego pisma „Bohemia“ z d. 30 Maja 1882 r. w sprawozdaniu o uroczystości niemieckich śpiewaków w Pilsen, jakoby przy wjeździe uroczystujących „licznie odkomenderowana policya i żandarmerya poskramiała energicznie wszelkie wybryki pojedyńczych zbiegowisk motłochu, usiłującego zakłócić spokój“ — jest nieprawdziwą, bo ani przy wjeździe ani podczas całego festynu, nie było ani zbiegowisk motłochu, ani usiłowań zakłócenia spokojności. C. k. żandarmerya nie była wcale przy tym wjeździe obecną, równie jak straż gminna, która od-

bywając zwykłą służbę bezpieczeństwa, nie miała sposobności poskramiać usiłowań pogwałcenia spokojności.

Pilsen 31 Maja 1882 r.

Radca c. k. namiestnictwa *Czerwenka.*"

Urzędowy „Prager Abendblatt" umieścił nazajutrz 31 maja następującą notatkę:

„*Uroczystość śpiewaków w Pilsen.* Z powodu ostatnio w mieście Pilsen odbytéj uroczystości śpiewaków, reporterowie różnych praskich i wiedeńskich dzienników opowiadali o szczególnych środkach ostrożności, które miały być przedsięwzięte przez władze „dla zabezpieczenia Niemców." Według naszych informacyi, władze pokładały tak wielkie zaufanie *(jak się okazało z przebiegu uroczystości, zupełnie usprawiedliwione)* w zdrowym rozsądku czeskiéj ludności Pilsenu i miejscowéj gminnéj reprezentancyi, że nie potrzeba było przedsiębrać wyjątkowych środków ostrożności, a tém mniéj takiego wzmocnienia siły zbrojnéj, jakie we własnéj fantazyi dostrzegli „miłujący prawdę sprawozdawcy."

Wobec powyższego wstrzymuję się od wszelkich dalszych uwag.

Praga 4 czerwca 1882.

Dr. Gabler.

TEORYA DARWINA

W STOSUNKU DO NAUKI I ŻYCIA

Szkic ogólny.

Darwin z gruntu zreformował nauki biologiczne, wlewając w nie nowe życie i otwierając nowe dziedziny badania.
A. Wrześniowski.

I.

Doniosłość naukowa.

Niejednokrotnie porównywano teoryą Darwina do odkrycia Kopernika lub Newtona, a porównanie to, z drugiéj strony, napotykało silną opozycyę w szeregach jéj przeciwników lub nawet zwolenników. Rzeczywiście, biorąc rzecz ściśle, i tu jak wszędzie, *comparaison n'est pas raison.* Porównywać teoryą biologiczną ze sferą praw, w których ma zastosowanie matematyka, jest to zaiste dopuścić się braku ścisłości. Któż jednak od porównania wymaga ścisłości pozytywnéj? Jeśli porównywamy szereg żołnierzy z murem, miecz bohatéra z piorunem, to tu z pewnością nie ma ścisłości, a jednak porównanie podobne doskonale się przyczynia do objaśnienia pojęcia, że nieprzyjaciel musiał robić w szeregu żywych organizmów wyłomy takie, jak w martwym po kawałku się kruszącym murze, że bohatér szybko, a dzielnie raził wroga i rzucał nań postrach swym widokiem. W tym duchu można z zupełném prawem porównywać, rzecz dającą się wyrazić matematycznie z rzeczą daleką od téj ścisłości, i w tym duchu porównania powyższe nie mają w sobie nic nienaturalnego...

Odkrycia Kopernika i Newtona posiadają wiele cech wspólnych z teoryą Darwina. Jak Kopernik poruszył z miejsca ziemię i nazna-

czył jéj nikłe stanowisko w nieskończonym wszechświecie, tak téż i Darwin wykazał brak gruntu pod stałością gatunku, i dowiódł jego znikomości; jak ziemia stała się drobnym atomem w szeregu ogromnych a niezliczonych ciał niebieskich, tak i gatunek przelotnym objawem zależnym, jak chorągiewka na dachu, od powiewu okoliczności. Kopernik strącił ziemię z wysokiego stanowiska geocentrycznego, Darwin wskazał gatunkowi skromniutkie miejsce pomiędzy miliardami odmian. Kopernik zwalił podstawy astronomii ówczesnéj, Darwin podkopał grunt dotychczasowéj teoryi biologicznéj.

Podobnież wielką jest analogia pomiędzy wpływami wywarténi na umysł człowieka przez obie te teorye: ze zwalczeniem poglądu geocentrycznego, człowiek ujrzał się prochem w obec wszechświatu, ze zwaleniem stałości gatunków efemerą znikomą, jednéni z ogniw łańcucha stworzeń.

Wreszcie obie spokrewniły się jednakowym losem, obie przeszły próby prześladowania, bo obie dotknął zarzut zgubności i konieczność walki z insynuacyami.

Z obu wreszcie wynikły konsekwencye, daleko sięgające po za zakres nauk, w których pierwotnie powstały, konsekwencye, którym poniżéj obszerniejszy ustęp poświęcimy.

Nie mniejszą, a raczéj daleko większą analogię okazują teorye Darwina z prawem powszechnego ciążenia, odkrytém przez Newtona. Jak ostatnie obejmuję cały wszechświat, tak pierwsza obejmuje wszystkie istoty żyjące. Jeśli nie można jéj nazwać najogólniejszém prawem świata żywego, to również niepodobna twierdzić, aby prawo Newtona było najwyższém prawem wszechświata; lecz jak wszystkie znane i nowo odkrywane fakta okazują się zgodnémi z prawem ciążenia, tak téż i wszelkie znane i nowo poznawane fakta w zakresie biologii znajdują pomieszczenie w teoryi Darwina. A choć nie wszystkie zjawiska świata żyjącego dadzą się już teraz *dokładnie* tłómaczyć na zasadzie téj teoryi, to przecież nie podciągnęliśmy jeszcze pod nasze „powszechne“ prawo Newtona, zjawisk chemicznych i elektrycznych nie mówiąc już o fizyologicznych.

Odkrycia Kopernika i Newtona połączyły jednym węzłem fakta na pozór odrębne a sprzeczne, odkrycie Darwina stało się punktem ogniskowym dla podobnie odosobnionych faktów w świecie organicznym, w nowém świetle stosunkową wartość faktów przedstawiło i wytknęło nowe drogi badaniu.

W tém leży bodaj czy nie największa i najważniejsza analogia z największémi odkryciami dawniejszémi. Teorya Darwina jest dla nauk biologicznych nowym punktem widzenia, nowym kierunkiem badania, nowém światłem, nowym duchem przenikającym każdą

gałąź nauki i nadającym im grunt logicznéj konieczności, jednolitą spójnię i nowe widoki.

Zastanawiając się nad historyą nauk przyrodniczych, napotykamy w niéj uderzające oscylacye, składające się z nagłych wybuchów wspaniałego rozkwitu badań, po których następuje zastój a często nawet zanik lub zwrot wsteczny. Falowanie to najwidoczniejsze jest w poszczególnych częściach jakiéjkolwiek nauki. Nagły rozkwit pochodzi zawsze od pojawu nowéj *metody* badania, nowéj szkoły, pod którą to nazwę podciągamy narzędzie, sposób, nowy punkt widzenia. Co za wspaniały rozwój nauki nastąpił po wynalazku lunety i teleskopu, mikroskopu, spektroskopu, po odkryciu tlenu, elektryczności galwanicznéj, po utworzeniu teoryi atomistycznéj, podstawienia, izomeryi! Ileż to nowych faktów zdobyto jakby od niechcenia, faktów, o których ani myślał pierwszy odkrywca metody, aby do téj sfery należały! Sam inicyator i mnóstwo jego uczniów, oraz następców zastosowuje nowy środek do rozmaitych zjawisk, probuje go wszędzie, gdzie tylko rozum każe, i oprócz rozszerzenia kręgu nauki, zdobywa jeszcze mnóstwo niespodzianek, o których ani marzył pierwszy odkrywca (1). Na gruncie tych zastosowań, prób i szperań, fala rozwoju nauki dochodzi do szczytu. Lecz potém, rozszerzywszy się, objąwszy coraz większe kręgi, rozprasza na mnóstwo faktów, opada wreszcie i rozprasza się na tysiące pojedynczych kropel, bez widocznego, albo nawet bez żadnego wpływu na właściwą naukę. Nastąpiło osłabienie siły pierwotnego bodźca, wyczerpanie się zakresu działania dla metody, niedołężność jéj do dalszego albo głębszego w naturę wnikania. Lecz wtedy często promień geniuszu lub przypadek na nowo wstrząsa powierzchnią oceanu wiedzy i znowu pcha falę w tym samym lub innym kierunku, wspomagając pierwszą, modyfikując ją lub dając jéj zaniknąć całkowicie.

Otóż pomiędzy innémi korzyściami, które daje nauce teorya Darwina, jedną z największych jest ta, że daje jéj nową metodę badania, nowy punkt widzenia, nowe pobudki, odkrywając nowe strony natury organicznéj i umysł badaczy na nie kierując.

Wązkiém a płytkiém korytem przewijała się fala historyi naturalnéj przez długie wieki, zmuszona ograniczać się tylko do zbierania materyału chaotycznego, i katalogowania go na wątłych i niepewnych zasadach. Wtedy zjawia się Linneusz i swą sztuczną terminologią oraz wymaganiem ścisłéj dyagnozy, stwarza sposób dokładniejszego porozumiewania się i „robi inwentarz“ w którym i no-

---

(1) Tak np. farby anilinowe zostały odkryte przy pracy nad teoryą podstawień.

we przedmioty miejsce znajdują. Ustaliwszy jako punkt wyjścia dla systematyki pojęcie gatunku, nadaje systemowi gruntowną podstawę. Daje to ogromny popęd rozwojowi nauki, materyał gromadzi się obficie, historya naturalna staje na wysokim piedestale w świątyni wiedzy. Lecz wkrótce rola, zaorana przez Linneusza, zaczyna jałowieć, epigonowie jego biorą formę za rzecz, system za samą naukę. Powiększają wprawdzie spis znaczną liczbą nowych tworów, ale jednocześnie propagują mniemanie, niestety aż do nowszych czasów sięgające, że oznaczanie i opis gatunków, uważanych za niewzruszone, jest jedynym celem i właściwém zadaniem historyi naturalnéj.

Fala znowu opada, lecz tkwią w niéj zarodki nowego ruchu. Już Linneusz mówił że „głównym celem botaniki jest wykazanie grup naturalnych“ (1) i system swój uważał tylko za „nić Aryadny;“ nadto materyał przez szkołę jego zbierany roztwiera jasnym umysłom szersze widoki. Więc po ciasném regestrowaniu zjawia się Jussieu i Cuvier, którzy genialném swém wniknięciem w naturę rzeczy, nowe życie i nowe pierwiastki rozkwitu w naukę wlewają. Wyborna porównawcza metoda Cuviera i praca jego niezmordowana, tworzą anatomię porównawczą i doprowadzają ją do iście wspaniałego rozwoju, a postawienie zasady wzajemnéj zależności organów od siebie i wykrycie czterech typów, nadają systematyce podkład filozoficzny, którego dotąd nie miała. Za nowym tym popędem historya naturalna znowu wysoko się wznosi. Ma wyborny system, który się ciągle rozwija i stwierdza swą wartość, ma wszędzie drogi wytknięte.

Ustalone pojęcie niezmienności gatunków przewodniczy badaniom i daje cel jasny i prosty, postawienie typów wiedzie do ściślejszego uzasadnienia „planów budowy“, do ich określenia i wykazania wzajemnych stosunków. Lecz wkrótce droga się kończy i rozchodzi na manowce. Filozoficzny podkład cuvierowski zaczyna się zatracać i anatomia porównawcza przeradza się w anatomię oddzielnych form, w zootomią. Materyał wprawdzie powiększa się, lecz z jego wzrostem coraz wydatniéj występują błędy Cuviera, które jednak zwyrodniali jego epigonowie uważają za dogmat. Nie widzą, że gatunki i typy są to tylko pojęcia, wyrażające pewne grupy faktów, że to jest omówienie spostrzeżonych, ale nie wyjaśnionych jeszcze zjawisk i biorą je niejako za potęgi osobiste, za prawa idealne, rządzące budową istot organicznych. W skutek tego co chwila uderzają o rafy podwodne i wreszcie stają na mieliznie. Okazuje się chwiejność

---

(1) J. V. Carus, Geschichte der Zoologie. München 1872 str. 501.

określeń znanych gatunków, przejście od jednych do drugich, jaskrawo na jaw wychodzi rozmaitość punktów widzenia, z jakich różni naturaliści na dane gatunki spoglądają, widocznym jest zupełny brak kryteryum. Gmach nauki zdaje się być zagrożonym, metoda wyczerpała się, a gdy jedni nie chcą widziéć niebezpieczeństwa i chowają głowę w piasek, lub usiłują nadać metodzie życie sztuczne, inni zupełnie o niéj zwątpili i oczekiwali czegoś nowego. Wiele bystrych umysłów zniechęciło się badaniem bez przewodniéj idei, i dało się unieść na pole większe przedstawiające nadzieje, u innych zaś powstawały pomysły, będące zwiastunami teoryi ewolucyjnéj. Lecz więdnąca w marazmie historya naturalna nie mogła zostać w pokoju. Ze wszech stron uderzały w nią tarany, pobudzające do ocknięcia się. Z astronomii przenikło do niéj pojęcie o prawdziwie nieskończonych okresach czasu kosmogonicznych, w geologii ustalił się pogląd na olbrzymie peryody historyi ziemi i musiał runąć jeden z pierwiastków dawnéj teoryi powstania istot organicznych. Nadto Lyell wprowadził do nauki geologii pojęcie sumowania się drobnych przyczyn przez czas bardzo długi, jako istotny czynnik wielkich zmian na kuli ziemskiéj, a rzecz widoczna, że znakomite to odkrycie nie mogło pozostać w granicach téj tylko nauki, w któréj powstało. Baer pracami swemi embryologicznemi położył nową podstawę pod cuvierowskie typy królestwa zwierzęcego, paleontologia kruszyła wiarę w kataklizmy fauny, a przytém mnóstwo innych odkryć ciaśniejszego zakresu, dawało uczuć systematykom, że straciwszy grunt pod nogami, powinni na szerszém polu szukać równowagi. Lecz większość ich, tak się trzymająca nauki Cuviera że nawet jego błędy za dogmat uważała, wolała pozostać bez żadnego punktu oryentacyjnego, w niepewności na téj wyraźnéj dotąd drodze, gdzie za cel jedyny miano opisywanie gatunków i ich różnic, badanie organów łączenie gatunków w wyższe grupy bez niebezpiecznego pytania zkąd i dla czego.

Będąc już świadkami faktu dokonanego, możemy się dziwić, że ówcześni naturaliści nie umieli uznać faktu za fakt, nie dali się kierować duchowi czasu, który nakazywał rozejrzeć się po innych dziedzinach, i prawdy ich włączyć do badań w historyi naturalnéj. Ale wtedy wniosek ten nie był tak rzucającym się w oczy, a zresztą potrzeba było na to człowieka nietylko wielkiego umysłu, ale znającego gruntownie geologią i paleontologią, zoologią i botanikę, embryologią i fizyologią, a nadto wiele innych jeszcze faktów których, jak się okazało, trzeba było szukać aż w gołębiarstwie. Człowieka takiego wtedy nie było—a raczéj był, Darwin, wyraz ducha czasu, wyraz

skoncentrowania wiedzy z kilku różnych dziedzin, wyraz potrzeby, skutek rozwoju nauki.

I płytka a rozproszona fala historyi naturalnéj znowu się wznosi do szczytu, na miejsce wyczerpanego kierunku wstępuje nowy, na jałowym gruncie systematyki zakwita pole zielone. Wszystko już jest pełne znaczenia, pełne interesu, wszystko drga nowym duchem i życiem. Odkrywają się szerokie widoki i tysiączne połączenia z innemi dziedzinami, a mnóstwo bystrych umysłów, które uciekły od systematyki na inne pole nauki, może już do niéj powrócić, bo ona już nie jest bezbarwném katalogowaniem.

Rzecz godna zaznaczenia i rozpowszechnienia w kołach publiczności, bo dowodząca z jednéj strony stałego gruntu, nieprzerwanego łańcucha cegieł, z który się budują nauki przyrodnicze, a z drugiéj okazująca, iż teorya Darwina jest nieodrodną córą swéj matki, nieskrzywioną gałęzią pnia ogólnego wiedzy ścisłéj; rzecz godna zaznaczenia powiadam, iż teorya Darwina pomimo swego napozór rewolucyjnego charakteru, nie była wcale, jak widzieliśmy, wyskokiem z głowy Minerwy, nie była pomysłem druzgocącym dotychczasową naukę, jak to się często dzieje w filozofii, gdzie jeden system obala, unicestwia i czyni niepotrzebnym poprzedni. Tu mamy widok zupełnie odmienny. Darwin zmienił tylko jeden wniosek w poprzedniéj nauce; ogłosił fakt, wynikający z dotychczasowych badań, znany, lecz dla obawy ignorowany, wygnał z nauki sztucznie przyczepioną metafizykę, i na miejsce jéj dla jednych uczonych, a na miejsce próżni dla drugich, wprowadził cement jednoczący, wprowadził teoryą, którą uzasadnił na faktach, przez téż naukę zebranych. Co więcéj, choć Cuvier i jego szkoła, czy to zwolennicy „wznawianych aktów tworzenia“ czy téż ściśli pozytywiści, którzy wołali „nie wiemy i mało nas to obchodzi“ choć uczeni ci, powiadam, zaciekle walczyli przeciwko zabiegom poprzedników Darwina, jednakże w łonie téj to szkoły powstało pojęcie o „typach“ o „planie stworzenia,“ pojęcie które tylko jaśniéj i właściwiéj pojął i przyczynowo uzasadnił, wielki autor „Origin of species.“ Darwin, mówiąc ogólnie, nie zwalił bynajmniéj Cuviera i jego szkoły, on stanął na ich barkach, aby sięgnąć po prawdę ogólniejszą; on nie zburzył cząstkowéj budowy swych znakomitych poprzedników, lecz użył jéj do budowy większéj, powszechniejszéj, on nie napisał *minus* obok pracy przeszłości, lecz wziął ją, z należném jéj znaczeniem ze znakiem dodatnim, za podstawę swéj teoryi, on nie zdruzgotał nauki, lecz nadał jéj postać i styl architektoniczny.

Na tém polega silna podstawa teoryi Darwina, to tłómaczy jéj nagłe rozpowszechnienie i pozyskanie wszystkich niemal naturali-

stów na zwolenników. Darwin nie tworzył lecz wytłómaczył, wykrył stosunki pomiędzy faktami wiadoméni i kto zna ducha, jaki teraz panuje w naukach przyrodniczych, kto zna na wskróś pozytywne wychowanie jéj adeptów, ten pojmie, że gdyby teorya Darwina była rzeczywiście, jak to twierdzą niektórzy jego przeciwnicy, w zasadniczéj opozycyi z nauką, z nauką nie z tym lub owym wnioskiem szkoły Cuviera, to nowocześni przyrodnicy ani słyszéćby o niéj nie chcieli.

To téż teorya Darwina, nietylko nie wstrzymuje kierunku cuvierowskiego, ale i owszem wielce go popiéra i rozkrzewia. Mogą sobie szczątki cuvierzystów wołać, że darwinizm jest szkodliwy dla pozytywnéj wiedzy, mogą się silić zwalić go odkrywaniem nowych faktów, a darwiniści radzi być tylko mogą temu dalszemu gromadzeniu materyałów, które jest tylko wodą na ich młyn, środkiem do rozjaśnienia ciemnych zagadnień. Aby pracować dla teoryi Darwina, nie potrzeba wcale być jéj zwolennikiem — trzeba tylko sumiennie a umiejętnie pracować. W tém leży siła jego teoryj, w tém wartość i doniosłość.

Mamy tu więc widok wspaniały, jaki tylko w prawdziwéj nauce napotkać można. Wielki prąd cuvierowski czy chce czy nie chce, wpada w obszerne łożysko, wyżłobione przez Darwina, i nie tracąc bynajmniéj swego specyalnego znaczenia, spływa się z prądem darwinistowskim, który nie tylko go pobudził do wezwania pomocy nowych źródeł, ale i tam wiele nieznanych wyszukuje i do wspólnego zwraca koryta.

Takie jest znaczenie teoryi Darwina jako metody, jako szkoły. Systematyka otrząsa się z martwoty i drgać pełném życiem zaczyna. Mówić teraz o podrzędności systematyki, o jéj płytkości byłoby dziecińStwem. Opisuje się gatunki, kataloguje je jak poprzednio, ale już z podkładem życia. Odkrycie nowego gatunku, dającego się pomieścić łatwo w ramach układu, jest faktem ważnym, odkrycie takiego, który kłopotu lub nieprzezwyciężonych trudności nabawia systematyka, jeszcze ważniejszym i z największą radością jako nowy promień światła witanym. Pięknie rozwijająca się od Cuviera anatomia porównawcza otrzymuje bez sporu pierwszorzędne przynależne swym zasługom i znaczeniu stanowisko, dostaje w rękę nić przewodnią i wchodzi na wyżynę, gdzie się wielki widnokrąg przed nią roztacza i gdzie ją czczą koła szerokie. A drganie nowego życia, rozgląd obszerny, pobudka nowa tworzą setki prac szczegółowych, któreby nawet po odłączeniu podkładu darwinistowskiego miały prawdziwą wartość dla nauki. Szkoła Darwina jest dalszym ciągiem szkoły Cuviera, jest jéj nową fazą, która wbrew Wigandowi nic sprzecznego nie ma z „Naturforschung Newtons und Cuviers.“

Darwin jest tak samo dziecięciem Cuviera i Jussieu'go, jak ci byli potomkami Linneusza.

Czyż mam przytaczać setki tytułów dzieł i prac szczegółowych opartych na teoryi Darwina, kiedy z nader nielicznémi wyjątkami wszystkie do tego rzędu należą. Do roku 1872 Spengel wyliczył na 34 stronicach 340 prac, popierających lub krytykujących tę teoryą, a jeszcze pominął literaturę polską, rosyjską, hiszpańską i inne! Ileż to od owego czasu przybyło. Oto jest materyalna wskazówka siły i doniosłości nowego bodźca naukowego.

Lecz zastanawiając się z téj strony nad teoryą Darwina, uwzględnialiśmy przeważnie jéj znaczenie pośrednie, dla wykazania, że chociażby jéj znaczenie treściowe, istotne, miało tylko wartość przemijającą — czego przypuścić nie podobna — to i w takim nawet przypadku doniosłość téj teoryi wykraczałaby po za zwyczajne granice.

Zastanówmy się teraz nad jéj wartością samoistną, bezpośrednią.

Teorya Darwina swą treścią kardynalnie zmieniła pogląd na świat organiczny i jego dzieje. Szczegóły zlały się w jednę całość organiczną, jeden system, gdzie jedna część jest od drugiéj zależna, mnóstwo zjawisk napozór odosobnionych i obcych sobie połączyło się jednym węzłem, wielość form, w któréj wzrok tonął, pozyskała nić przewodnią; „jedność planu stworzenia" szkoły cuvierowskiéj otrzymała światło i uzasadnienie przyczynowe, i przynajmniéj w zakresie nauk biologicznych, stało się zadość marzeniu wszystkich ludów i wieków; marzona jedność i ciągłość została urzeczywistnioną. To o czém nie myślano, lub czemu przypisywano przyczyny metafizyczne stało się jasném i pozyskało grunt w przyczynach prostych, dostępnych badaniu, niemal mechanicznie zrozumiałych i wskutek tego zmniejszyła się przepaść jaskrawa, dzieląca dawniéj naturę organiczną od nieorganicznéj. Teleologia antropomorficzna została wygnaną i na miejsce przyczyn celowych (*causae finales*), wprowadzone zostały tak jak w naturze nieożywionéj przyczyny skutkowe (1) (*c. efficientes*) (1).

Zstąpmy do mniéj ogólnéj sfery.

Dawniejszy systematyk zoolog, paleontolog, embryolog, morfolog, pragnęli znać tylko swoje specyalne, ściśle odgraniczone gałęzie nauk, zamykali się w nich jak ślimaki w skorupach, byli dumni z tego zamknięcia się i szczycili się tém głośno, że nie wiedzieli co się w pokrewnych gałęziach dzieje. Jak trzymanie się w sztucznych

---

(1) Prof. Wrześniowski dowodnie zbija we „Wszechświecie" (N. 6) zarzut, jakoby teorya Darwina była teleologiczną.

szrankach uchodziło za postępowanie, jedynie godne naukowego umysłu, tak wyjrzenie po za nie uważano niemal za kompromitacyą. Jeśli to wyjątkowo i dla celów tylko drobnostkowych niekiedy czyniono, to uważano za konieczne tłómaczyć się, ograniczać doniosłość swego postępku, aby u kolegów nie stracić miana specyalisty. Darwin objął jednym rzutem oka systematykę i geologią, embryologią i paleontologią, fizyologią, morfologią i geografię zwierząt i roślin, znalazł w nich nić wspólną i połączył je nadal nierozerwalnym węzłem. Stanowią one teraz jednę całość i jedna nauka ma dla drugiéj otwartą skarbnicę faktów, któréj już ignorować nie wolno. Darwin wykazał, że łącznie je traktować należy, że w jednéj znajdujemy wyjaśnienia, wskazówki, materyał dla drugiéj. A oprócz téj łączności zewnętrznéj (t. j. z innemi naukami, czyli z innemi grupami faktów) wniósł jeszcze Darwin ściślejszą łączność wewnętrzną, jedność w każdą zosobna naukę; uwydatnił ściśle cel, do którego dążyć mają, dał im ognisko, punkt ciężkości, a rzuciwszy na ich grunt postulat przyczynowości, stworzył nową epokę, bo wyprowadził je z zakresu nauk czysto opisowych do nauk *objaśniających*. Fakta takie jak plan w typie, jak możliwość szeregowania w systematyce, jak podobieństwo tkanek, jak następstwo form w paleontologii, nie są już dziwnémi zjawiskami, bujającemi w sferze idei, Darwin pod nie grunt podłożył.

Jednóm słowem, jeżeli wolno użyć porównania, luźne ławice piasku naukowego zostały wskutek pojawu teoryi Darwina zmetamorfozowane w skały, porządnie ułożone, krystaliczne, a jednocześnie okazały się pokładami jednéj i téj saméj formacyi.

To, cośmy mówili o zoologii, stosuje się téż i do botaniki. Nadto, gdy wskutek dwustronnego znaczenia t. z. protistów, zacierających granicę pomiędzy roślinami a zwierzętami, fauna i flora pojmowane są jako dwa konary z wspólnego pnia wychodzące, teorya Darwina łączy dwa te działy, że tak powiem, w jedną, wyższą formacyę, a ten fakt łączności, zmuszający do porównywania i badania wspólnego pnia, wielkie już teraz a nieobliczone w następstwie musi wydać rezultaty w kierunku pojęć monistycznych, w kierunku szczegółowego wykazania i zrozumienia przyczyn i natury téj cudownéj dyfferencyacyi.

Niezależnie od ostatecznego rezultatu badań Darwina, od jego teoryi, znajdujemy w momentach, na których ją opiera, w bezprzykładnie bogatym i nawet przeciwników zdumiewającym materyale, nagromadzonym dla wyprowadzenia wniosków, wiele faktów ważnych, które same w sobie stanowią doniosłe odkrycia już jako zjawiska nowe, już jako silnie zaakcentowane i należytem światłem

oświecone. Gdy dawniéj zaledwie je uwzględniano, teraz nabyły dla wszelkich partyi wysokiéj doniosłości na tle teoryi Darwina. Do takich należą: odkryte przez Baera podobieństwo faz rozwoju płodu do form na rozmaitych szczeblach systematyki, następstwo paleontologiczne, organa szczątkowe, naśladownictwo (mimikrya), metamorfoza i przemiana pokoleń, atawizm i potworności, zależność wzajemna organów i funkcyj, walka o byt, wreszcie hodowla zwierząt i roślin, która nietylko że naukowe znaczenie zyskała, ale jeszcze prawa jéj i siła nabyły szerokiego rozgłosu, nie mogącego pozostać bez rezultatów praktycznych.

Przejdźmy do innych nauk.

W geologią rzuca teorya Darwina słabe jeszcze wprawdzie, ale mogące się rozjaśnić w przyszłości, światełko na czas trwania peryodów geologicznych. Im większą jest różnica w skamieniałościach, im mniéj identycznych form w dwóch formacyach występuje, tém większe i tém dłużéj trwające zajść musiały zmiany pomiędzy obu formacyami. Przy dawniejszéj teoryi wskazówka ta nie miała żadnego znaczenia, gdyż jeżeli wznawiały się całkowite akta stworzenia, to w następstwie form organicznych mogła panować jak największa fantazya.

Antropologia zeszła ostatecznie ze swego wyłącznego stanowiska i może pełną dłonią czerpać prawdy z innych gałęzi wiedzy. Kwestya postępu, znikania ras dzikich, zyskały w nauce podstawę. Według niektórych autorów nawet medycyna zyskała coś z zaakcentowania i przedstawienia we właściwém świetle zjawisk takich jak atawizm, walka o byt, przystosowywanie się, a spodziewać się należy, że momenta te należycie uwzględnione do wielu jeszcze objaśnień doprowadzą.

Podobnież teorya Darwina przenika inne, dalsze dziedziny. Nie mówiąc o astronomii i chemii, gdzie niektórzy chcą znaleść jéj zastosowanie na zasadzie już dalszych analogij, nie ulega wątpliwości, że teorya ta w naturalnéj swéj postaci znajduje zastosowanie w językoznawstwie (Aug. Schleicher) i w psychologii, gdzie rzuca racyonalne i z całością nauk zgodne światło na początek instynktów, czynności nieświadomych, kwestyę dziedziczności, niektórych zboczeń, na psychologię porównawczą ludów, a wreszcie łączy tę sferę z daleko ogólniejszą i w niéj szuka jéj zarodków.

Historykom daje Darwin nitkę Aryadny, z którą łatwiéj im się obracać po labiryncie dziejów ludzkości; ogólne czynniki świata organicznego, walka o byt, zmienność, dziedziczność i t. d., muszą znaleść podstawowe miejsce w prawdziwie głębokiéj historyozofii.

Wreszcie socyologia, ekonomia polityczna i polityka nie mogą pozostać obojętnémi świadkami tego ogniska powszechnego, i socyolog lub polityk, który nie studyuje dzieła Darwina, nie może być uważany za stojącego na wysokości swego zadania.

Słowem wszędzie, gdzie się ma do czynienia ze zbiorowiskiem istot organicznych, czy to jedno komórkowych czy ludzkich, wszędzie teorya Darwina ma zastosowanie, wszystko przenika i wszędzie stosunki rozjaśnia, sprowadzając rzeczy skomplikowane do formy jak najprostszéj, do procesów niemal mechanicznych.

Więc czy teorya Darwina jest powszechném najogólniejszém prawem świata organicznego? Czy to jest ostateczna najwyższa formuła biologii? Możemy śmiało odpowiedzieć, *że jest nią obecnie.* Czy się niewzruszenie bardzo długo utrzyma na tém stanowisku o tém próżno-by mówić. Tłomaczy nam teraz ogół zjawisk świata organicznych lepiéj i jaśniej niż wszelka inna teorya, daje wskazówki do odkrywania nowych faktów i ma gotowe miejsce dla niezależnie od niéj odkrytych. Może w przyszłości zostać zmodyfikowaną, może się przedstawić jako za ciasna, może się okazać szczegółowym wypadkiem zasady ogólniejszéj, ale to nie ulega wątpliwości, że jako tłomaczenie ogromnéj grupy faktów, wywalczyła sobie zaszczytne miejsce pomiędzy pierwszorzędnemi teoryami naukowemi. Że ma niedokładności i luki, to rzecz pewna, ale któraż teorya w nauce luk i niedokładności nie posiada? Jeśli teorya eteru, atomów, płynów elektrycznych, pomimo swych niedokładności i braków pozwoliły wysoko wybujać naukom fizyki i chemii, jeśli par excellence świetne odkrycie Kopernika zawierało w sobie fałsz geometryczny, jeśli w ogóle żadna teorya nie wyskoczyła odrazu jako naga prawda z głowy Minerwy, to i od teoryi Darwina nie można żądać zupełnéj dokładności i nienaukową jest rzeczą powstawać przeciwko niéj dla braków szczegółowych. Choć prawo Marriotte'a i Boyle'go okazało się matematycznie fałszywém, jednakże iluż zdobyczy naukowych stało się zarodkiem i jakąż jeszcze w nauce ważność posiada po takiem zredukowaniu i obstawieniu warunkami. Takież same *mutatis mutandis* jest stanowisko teoryi Darwina. Posiada ona jeszcze tę zaletę, iż widać w niéj gdzie jest prawda niewzruszona, a gdzie braki lub strony słabe. Źleby było, gdyby jéj postęp nauki w jednych miejscach nie rozszerzył, w drugich nie przykrócił, nie zmodyfikował i nowych cegiełek nie powstawiał, część jéj jednak kardynalna jest i będzie jedną z najważniejszych zdobyczy umysłu ludzkiego i bezwątpienia ważną a stałą epokę w dziejach wiedzy ludzkiéj stanowi.

II.

Stosunek do życia społecznego i moralności.

Wpływ teoryi Darwina na moralność, obowiązki społeczne i na religią, rozpatrywany zwykle bywa ze stanowiska *„człowieka jako małpy.“* „Darwin zrobił z człowieka małpę“ rozlega się głos w szeregach pewnego rodzaju przeciwników teoryi ewolucyjnéj, a więc człowiek „*może*“ albo i „*powinien*“ *żyć* jak małpa, jak zwierzę, a więc wali się cały gmach religii, moralności, poczucia obowiązków społecznych, poświęcenia, wali się cała cywilizacya i świat wpada w zezwierzęcenie. Przytém, dodają, wyprowadzaniem człowieka od małpy, obraził Darwin estetykę i oburzył uczucie ludzkie.

Poddajmy ten wniosek i to pojęcie analizie racyonalnéj, a zacznijmy od estetyki.

Gdyby Darwin mógł być niekonsekwentnym i wyłączył od razu człowieka z zakresu swéj teoryi na staréj zasadzie, iż człowieka od zwierząt dzieli przepaść istoty i pochodzenia niczém niezapełniona, lub gdyby był jeszcze ostrożniejszym i wyłączywszy królestwo zwierząt jako powstałe wskutek teatralnych cuvierowskich „wznawianych aktów stworzenia“ — zastosował teoryę ewolucyi tylko do roślin, tylko wreszcie do jednéj ich rodziny, to bezwątpienia w szeregach tych, którzy najwięcéj przeciwko niemu powstają, znalazłby znaczny poczet zwolenników, którzyby wielbili jego geniusz okazany przez wniknięcie w najcudowniejszą tajemnicę stworzenia. Ale Darwin tego nie uczynił i w „Origin of species“ choć nie zastosował swéj teoryi do pochodzenia człowieka, jednakże o téj możności w paru miejscach napomknął i wreszcie w dziele specyalném „o pochodzeniu człowieka“ wyprowadził ostatnie konsekwencye, żadnéj co do jego pojęć wątpliwości nie pozostawiające. Ta zaś konsekwencya z teoryi była tak wyraźną i uderzającą, że dla najmniéj naukowego umysłu stało się zrozumiałém, iż chcąc uratować dawny pogląd na stanowisko człowieka, trzeba zwalić teoryą w jéj najszerszym zakresie, trzeba ją wygnać z ostatniego przytułku, choćby z jakiejś rodziny roślinnéj. Jedném słowem ci, którzy umieli z powodzeniem pogodzić odkrycie Kopernika oraz naukową kosmogonię z dawniejszemi poglądami, niewieleby się troszczyli o podstawy teoryi, gdyby nie ostatnia konsekwencya, i tylko ze względu na nią uderzyli cum studio et ira na podstawy teoryi.

Podobnież, gdyby Darwin, gwałcąc anatomię porównawczą popełnił nonsens wywodu człowieka od kanarka, kolibra, a chociażby mrówki, to wprawdzie sfery, którym zależy na utrzymaniu literalne-

go znaczenia dawnego poglądu również-by na wywód taki napadały; ale w szerokich sferach publiki descendencya taka nie miałaby nieprzyjaciół, bo nie obrażałby jéj uczuć estetycznych. Ale jakkolwiek małpa stoi daleko wyżéj na drabinie jestestw organicznych i zarówno ciałem jak i inteligencyą najbardziéj zbliżona jest do człowieka, jednakże porównanie z nią niezmiernie ogół obraziło. Właśnie wskutek jéj podobieństwa, wychodzą na jaw różnice, zmuszające do porównywania i z tego powodu wyglądające jak potworne zjawiska istoty ludzkiéj.

Gdyby małpa była piękném, z pięknemi ruchami, lecz głupiém zwierzęciem, ogół bynajmniéj nie lękałby się porównania; ale że jéj postać w porównaniu z naszą jest karykaturą, że jéj maniery są nieprzyzwoite, więc choć posiada inteligencyą, stosunkowo dość wysoką i choć ogólna budowa najbardziéj zbliża się do naszéj, porównanie razi. Właśnie to wielkie, nawet dla prostaka widoczne podobieństwo, przedstawia nam małpę jako naszą karykaturę, jako postać naszą w potwornych formach, a karykatura dla osoby skarykaturyzowanéj nigdy nie bywa przyjemną. Idyota budzi w nas wstręt, na głupią zaś owcę możemy patrzéć z przyjemnością, jeszcze zaś więcéj oburza nas człowiek rozsądny, lecz gwałcący prawa towarzyskie lub społeczne....

Lecz ani Darwin, ani jego znakomity kontynuator Haeckel, nie wyprowadzają człowieka od małp, których brzydotę widzimy. Pierwszy wyraźnie protestuje przeciwko przypuszczeniu, jakoby nasz protoplasta był identyczny lub nawet bardzo podobny do którejkolwiek z małp istniejących (1), a drugi, choć uchodzi za krańcowego, zastrzega w swéj „Antropogenii,“ iż „jasną jest rzeczą, że ani jedna z żyjących dziś małp antropomorficznych nie należy w prostéj linii do przodków rodu ludzkiego; wszystkie one są ostatniemi rozproszonemi szczątkami jakiéjś staréj gałęzi wąsko-nosych, z któréj, w jednym kierunku, jako oddzielna odnoga rozwinął się ród ludzki.“ Daléj pomiędzy wspólny pień małp wąskonosych a człowieka, stawia Haeckel *niemych ludzi pierwotnych* (Alali), mających już formy zupełnie człowiecze, ale z pierwotnym jeszcze rozwojem myśli i mowy i ta gałęź dopiero ma być pniem rodu ludzkiego (2). Od wspólnego tedy szczepu, z którego miały powstać małpy wąskonose i Alali, jesteśmy oddzieleni mnóstwem form i nieobjętemi okresami czasu, tembardziéj zaś dalecy jesteśmy od małp, które swoją drogą, w innym kierunku, od wspólnego pnia się oddaliły i w biegu tysiącoleci w specyalne

(1) O pochodzeniu człowieka, roz. VI.

(2) Anthropogenie, wyd. III, str. 520.

się formy rozwinęły. Wywód ten nie wyłącza wcale możliwości, aby owa wspólna praforma małp i alalów nie miała wyższych zdolności od małp dzisiejszych, i żeby one nie mogły z niéj powstać, jak trafnie powiada prof. Hoyer, przez wsteczny degeneracyjny kierunek rozwoju, przez zdziczenie, według wyrażenia pospolicie używanego.

Gdyby nam powiedziano, iż przodkowie anglików czy słowian, żyjący za czasów panowania pierwszéj dynastyi w Egipcie, a zatém kilkadziesiąt wieków temu, mieli zdolności umysłowe niższe od najgłupszego buszmana, gdyby wykazano, iż ks. Bodouin pochodził w prostéj liniii od brata Herostrata, to ich pokrewieństwo byłoby jeszcze daleko bliższém od węzłów genealogicznych, łączących nas z Alalami a tém bardziéj z małpami. A jednakże czyżby Bodouin nie okazał zboczenia umysłowego, gdyby tak jak niektórzy antidarwiniści, brał żywo do serca swoją genealogią!

Ponieważ nawet w geometryi wolno, dla dowiedzenia prawdy, doprowadzić rzecz do absurdum, przypuśćmy na chwilę wbrew Darwinistom, iż pochodzimy w prostéj linii od małp, i że czas dzielący nas od oranga jest o setki tysięcy lat krótszy, że np. przemiana ta dokonała się za czasów historycznych. Ale czyż w takim razie wypadałoby nam wstydzić się swego pochodzenia. Czemuż arystokracya niemiecka nie wstydzi się zaledwie o kilkaset lat odległych swych przodków liber-baronów, którzy z kamiennych swych gniazd spadali na drogi i jak rozbójnicy kalabryjscy, łupili spokojnych podróżnych! Czemuż nie wstydzimy się swego pochodzenia, gdy nam biblia powiada, że mamy wspólny ród z Kainem, czemuż nie chcemy przestać być ludźmi, gdy wiemy, iż więcéj jest na ziemi zbrodniczych potworów ludzkich niż małp antropomorficznych? Kto się tego nie wstydzi, a oburza na naukowy wywód od małp, popełnia błąd wielki. A taka słabość w wnioskowaniu dowodzi tylko słabéj zdolności w konsekwentném myśleniu, co już właśnie tylko za atawizmem, za pochodzeniem od form słabo uzdolnionych przemawiaćby mogło.

Więc jeżeli szlachcicowi wstydzić się nie należy, iż jakiś daleki jego przodek był łotrem, mędrcowi — że protoplasta był sługą ciemnoty, dobroczyńcy—że był nędznikiem, jeżeli nawet człowiekowi pochodzącemu od fizycznego i duchowego potworu, tylko głupota wyrzucać może pochodzenie, to tém bardziéj ludzkość nie powinna się wstydzić swych małpich protoplastów, które żyły w czasie tysiąc lub więcéj razy tak odległym, jak zapamiętany lub wymarzony protoplasta najstarszéj w Europie rodziny arystokratycznéj.

Jeszcze mniéj ma sensu i do jeszcze większéj rozpaczy o rozumie ludzkim doprowadza wniosek: „jeżeli pochodzimy od małp, to żyjmy po małpiemu; jeśli pochodzimy od zwierząt, to żyjmy po zwie-

rzęcemu.“ Zupełnie identyczny byłby wniosek, że ponieważ królowie polscy pochodzili od kołodzieja, więc powinni byli robić wozy dla chłopów, nie zaś rządzić ludem lub gromić tatarów i ponieważ dajmy na to przodek Kopernika był szewcem, więc i Kopernik powinien się był trzymać kopyta. Rzecz dziwna, iż nikomu z wnioskujących w podobny sposób nie wpadł do głowy pomysł urządzenia sobie życia wedle modły średniowiecznéj, kiedy śniadanie księżniczek składało się z kawałka szpérki i chleba, a wyprawa z kilku koszul płóciennych.

Przyznać należy, że oprócz przeciwników Darwina, którzy jego teoryi podobne wnioski narzucają, zdarzają się także i jego „zwolennicy,“ którzy z artykułów gazeciarskich właściwie tych tylko wniosków się nauczyli i widocznie z niemi sympatyzują. Ponieważ zboczenia umysłowe i moralne rozwijają się w niezmiernie licznych kierunkach, a nie zamierzamy zająć się niemi w tém miejscu, więc takim zwolennikom Darwina poradzimy tylko, aby byli konsekwentni i udali się do swych współbraci po logice.... na drzewa dziewiczych lasów Azyi i Afryki.

Jak dalekim jest wniosek taki od teoryi Darwina, wié każdy, choć pobieżnie z nią obznajmiony. Teorya ta, nietylko że nie zaprzecza możliwości i potrzeby postępu, ale nawet podkłada podeń niejako grunt konieczności. Możliwém jest według niéj przypuszczenie, że gdyby jakaś odosobniona grupa ludzi spadła umysłowo, moralnie i materyalnie do poziomu przodków, wspólnych z małpami i gdyby działały na nią takie warunki, w jakich się znaleźli przodkowie małp, to członkowie téj grupy mogliby się stać istotami do nich podobnemi. Nikomu jednak badacz angielski tego nie radzi, a natomiast ostrzega, że upadek cywilizacyi może ludzi w pewnym, choć małym stopniu, zniżyć do istot tak upośledzonych, od których oddaliliśmy się przez dywergencyą, przed odskok cech, które ogólnie nazwać można ludzkiemi i które każą nam czuć instynktowny wstręt do cech małpich, właśnie wskutek przeciwnego kierunku, jakiśmy w swym rozwoju odbyli. Teorya Darwina może być tylko pod tym względem najsilniejszym bodźcem do cywilizacyi, do postępu.

Streśćmy to wszystko. Jak fakt pokrewieństwa mrówki z koszenillą nie może doprowadzać do wniosku, aby mrówki przestały żyć społecznie, pilnie pracować i kierować się stosunkowo wysokiemi zdolnościami, lecz natomiast przyjąć sposób życia leniwych i głupich koszenil,—jak zresztą wniosek podobny byłby nietylko nielogicznym, lecz zupełnie bezwładnym, tak też nielogicznym i bezskutecznym jest wszelki wniosek z pochodzenia człowieka o jego dzisiejszém stanowisku.

Drugim punktem, na który spadają zarzuty przeciwników teoryi ewolucyjnéj, jest „walka o byt."

Powiadają, iż Darwin postawił zasadę „walki o byt," że usprawiedliwia walkę o byt wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami. Jak w pierwszym tak również i w tym przypadku słychać też głosy niby darwinistów, którzyby swe czyny niezgodne z moralnością tłomaczyć chcieli teoretycznie, na zasadzie tego czynnika ewolucyjnego.

Przedewszystkiém Darwin nie postawił walki o byt za zasadę w zwykłém znaczeniu tego wyrazu. Nie pisał on ani kodeksu prawodawczego, ani też nie tworzył systemu religijnego. Zadaniem jego jest tylko tłomaczenie zjawisk przyrody. On wykrył znaczenie walki o byt, znanéj zresztą uczonym — choć w niecałkowitym zakresie—już bardzo dawno; nie sięgając daleko, możemy zacytować Jędrzeja Śniadeckiego. Darwin jest w takim samym stosunku do walki o byt, jak Newton do siły ciężkości, jak inni naturaliści do piorunów i do bakteryi zarazy. On doprowadził ludzkość do świadomości, że takie a takie zjawiska dzieją się na zasadzie nieulegającego wątpliwości faktu walki o byt i wykazał przyczyny, dla których fakt ten jest koniecznością. A jak Newton nie odpowiada za to, że człowiek pozbawiony materyalnéj podstawy pada i druzgoce sobie kości, jak nie są winni zarazy ci co odkryli bakterye, tak też i Darwin nie może być odpowiedzialnym za walkę o byt, choćby ona gorszą była od najgorszéj zarazy.

Prawdą jest bezwątpienia, iż niektórzy politycy i ludzie prywatni zasłyszawszy coś o Darwinie, uciekają się do teoryi, gdy chcą przed sobą lub innemi tłomaczyć swe czyny niezbyt piękne, nielitościwe lub okrutne. Nieraz postępowanie bismarkowskie — według zasady „siła przed prawem" — uznawano za konsekwencyą teoryi Darwina. Ale czyż historya nie daje nam milionowego szeregu przykładów działania według téj zasady bez wpływu teoryi ewolucyjnéj. Chińczycy i Egipcyanie, Arabowie i Hiszpanie, Tatarzy i Krzyżacy, wszystkie ludy, we wszystkich czasach, wybornych tego dostarczają przykładów i czynić Darwina odpowiedzialnym za zasady Bismarka lub wyzyskiwanie biednych przez możnych, byłoby to samo, co stawiać mu za winę ucisk w Chinach, surowość Juliusza Cezara lub Agatoklesa, zagładę Peruwian, Meksykańczyków, Albigensów lub Słowian nadelbiańskich.

Cały szereg zbrodni i gwałtów, który nam przedstawia historya, a bezporównania większy jeszcze szereg zbrodni prywatnych, których echo zaginęło wśród pól i lasów, miast i wsi, zamków i lepia-

nek—wszystko to jest bezwątpienia głównie objawem walki o byt, ale nigdy jakiéjś tam teoryi.

Należałoby się wreszcie pozbyć nader fałszywego pojęcia, jakoby czyny ludzkie, biorąc *rzecz ogólnie*, były skutkiem takiéj lub owakiéj teoryi, nie zaś instynktów, potrzeb, namiętności. *Video meliora proboque, deteriora sequor*, jest powszechną praktyką postępków ludzkich i doskonale wyraża antytezę pomiędzy teoryą a praktyką. Ludzie wiedzą o tém dobrze, że „natura ludzka jest słabą“ z powieści i z pism najbardziéj rozpowszechnionych, a jednak bardzo chętnie zapominają o tém, gdy chodzi o rzucenie potwarzy na jakąś teoryą. Ludzie dla tego się wyzyskują, zabijają i t. d., że im dolega niedostatek, wszystko jedno jakiéj natury i wszystko jedno czy rzeczywisty, czy urojony (popęd do zbytku). Na moście na Berezynie spychali się ludzie nawzajem, bez względu na to, czy byli ateistami czy religijnymi, katolikami czy protestantami, a kobiéty rywalki nie nawidzą się tak dobrze u chińczyków jak i u zulusów.

Pospolicie przypisujemy pewne nagłe, a wielkie zjawiska w życiu ludów wpływowi jakiéjś teoryi. Nie mówiąc już o tém, że nawet w takim razie, nicby nas nie powinno wstrzymywać na drodze dochodzenia prawdy, sądzę, iż wątpić można o prawdziwości powyższego twierdzenia. Jeśli jakie teorye dostąpiły tak znacznego rozpowszechnienia, że mogły bezpośrednio wzruszać całe masy, to z pewnością religijne. Jeśli jednak weźmiemy wypadek bardzo prosty i stosunkowo dobrze znany, przypisywany zwykle teoryi religijnéj, mianowicie podboje Arabów i poddamy go analizie, to spostrzeżemy, że pospolity ten wniosek nie jest zupełnie pewnym. Któż dowiedzie, że doktryna Mahometa nie była tylko doskonale odgadniętym wyrazem potrzeb dumnych, chciwych a w niedostatku żyjących beduinów? Wszakże historya mówi nam o takich warunkach bytu Arabów. Wyobraźmy sobie Arabów, żyjących w dostatku w jakimś raju ziemskim i przedstawmy sobie jakby wtedy przyjęli projekt awanturowania się po pustyniach Afryki. Cóż się stało z tym wojowniczym narodem w Hiszpanii? Historya nie mówi wcale że wiara i fanatyzm wśród nich osłabły, a jednak zamiast wojny zaczęli pełną dłonią sybaryckiego życia używać i zajęli się nader pokojowemi sprawami: architekturą, nauką i sztuką. Ileż to innych narodów z wojowniczemi doktrynami zniewieściało w dostatku. Potrzebaż przykładów? Powołam się na historyę wojen, w któréj uchodzi za pewnik, że duch wojowniczy topnieje od dostatku jak śnieg od słońca i wtedy już żadne nawoływanie, żadne teoretyczne względy nie pomagają.

Weźmy inny przykład z tegoż samego świata muzułmańskiego. Nie ma faktów dowodzących, aby mahometanie osłabli w wierze w prawdy Koranu i w nieprzyjaźni dla innowierców. Dla czegóż jednak nie przedsiębiorą wyprawy na Europę, gdzie zwycięstwo dałoby im jeszcze świetniejsze zdobycze niż ongi w Hiszpanii? Dla tego, że im warunki na to nie pozwalają. Nie powiem chyba paradoksu jeśli wniosę, iż gdyby mieli tyle prawdopodobieństw powodzenia ile ich nie mają, to znowu teorya podboju rzuciłaby tłumy muzułmańskie na pola europejskie. Gdyby zaś téj teoryi nie było pod ręką, to ten sam wpływ wywołaćby mogła nieobłudna chęć napełnienia skarbu państwa, kieszeni baszów i mułów.

Nie przeczę bynajmniéj, że i teorya może działać do pewnego stopnia w podobnych wypadkach. Ale gdy rozbieramy sprawę, w któréj obok teoryi działa instynkt zachowawczy w jakiejkolwiek ze swych rozlicznych form, to bezpieczniéj postąpimy, jeśli przewagę wpływu temu instynktowi przypiszemy.

Mówiliśmy dotychczas o teoryach religijnych. O ile zaś słabsze musi być działanie teoryi naukowéj, która nigdy tak silnie i tak gorąco nie bywa odczuwaną jak religia! Religia ma prawdy absolutne, nauka ich niema. Za religią szły massy na śmierć, za prawdę naukową dwóch dni pościć nie będą. Przytém religia stawia zasady i przepisy, nauka zaś pozwala tylko dobadywać się w swych odkryciach wskazówek. Nigdy więc one nie wyłączają dyskusyi i nigdy takiego wpływu jak niewzruszone i niedozwalające wątpliwości zasady religijne wywołać nie mogą.

Wogóle więc, gdzie tylko działa rozbudzony instynkt zachowawczy, wpływ teoryi może być tylko uważany za przytknięcie zapałki do materyału wybuchowego. Lecz kto się boi wybuchu, niech lepiéj nie trzyma nitrogliceryny, aniżeliby miał drżeć na widok każdego człowieka z papierosem, bo nitrogliceryna wybucha i od pioruna i od lada wstrząśnienia i od rozmaitych przyczyn, zupełnie niewidocznych, jakby sua sponte. Więc zamiast lękać się teoryi, starajmy się, aby rzeczywistość nie przedstawiała gruntu dla przewrotu.

Darwin sformułował jednę z najważniejszych kategoryj zjawisk w świecie organicznym, wykazał różnorodne jéj znaczenie i nazwał walką o byt. Zrozumiawszy dobrze pochodzenie, zakres i rozmaite formy tego czynnika, możemy sobie zdać jasną sprawę z gwałtów, wyzyskiwań, zamachów na własność i życie, ze zdrady, obłudy i t. d. i gdy spotkamy fakt jaki, w zakres tych czynów wchodzący, powiadamy, iż jest wynikiem walki o byt. I słusznie. Lecz jeżeli nam na myśl przychodzi obwiniać Darwina za to, że walka o byt istnieje, to popełniamy krzyczącą nielogiczność i gniewamy się chyba dlatego

że nam Darwin oczy otworzył, że wyrwał nas z błogiéj iluzyi, bo widok złego drażni nas i wolelibyśmy o nim zapomniéć. Okazuje się, iż nerwowa plantatorka z „Chaty wuja Tomasza“ nie mogąca słyszéć o nędzy ludzkiéj, a patrząca obojętnie na ucisk murzynów, nie jest wcale wymarzoną postacią. Gdy nas kto do muru przyprze, przyznamy ostatecznie, iż od Kaina aż do policyi napoleońskiéj, od budowy piramid aż do dzisiejszéj eksploatacyi rud merkuryuszowych, mamy przykłady walki o byt na każdym kroku i o każdéj chwili, możemy sobie teraz miliony jéj obecnych aren *in actu* przedstawić, ale słabe nerwy nie pozwalają nam wprowadzić do swéj świadomości formuły, wyrażającéj te fakta że walka o byt jest na nieszczęście faktem tak ogólnym, jak potrzeba pewnéj ilości chléba, odzieży, wygody, zabawy, zbytku itd.

Ale kto czyta nie dla mody i zabawy, i kto się zagłębi w znaczenie walki o byt, ten dojdzie do przekonania, iż Darwin przez jéj zaakcentowanie i rozjaśnienie stał się wielkim dobroczyńcą świata. Lekarz, który niepożądane a ważne objawy w organizmie zbywa orzeczeniem, że są wyjątkowe lub pozorne i nic nieznaczące, jest albo nieświadomym albo kłamcą; lekarz umiejętny i uczciwy stawia dyagnozę choroby choćby była nieuleczalną. Darwin postawił nam dyagnozę chorób ludzkości, i zdarł różową i złotem tkaną zasłonę z posągu Izydy.

„Widzimy oblicze natury, promieniejące wesołością, widzimy często nadmiar pożywienia, ale nie widzimy albo zapominamy, że ptaki, które około nas dzwonią swe pieśni, żywią się po większéj części owadami lub nasionami, a więc ciągle niszczą życie; albo téż zapominamy ileżto tych śpiewaków, ich jaj lub piskląt, niszczą ciągle ptaki i czworonożne drapieżne.“

Tak nam przedstawia naturę Darwin. Możemy wołać „ach! czemuż to życie nie jest sielanką!“ ale któż fałsz temu obrazowi zarzuci. Nas, wychowanych na powiastkach, przedstawiających, iż wszystko jest najlepsze i najpiękniejsze na naszym świecie, wiadomość taka oblewa zimną wodą i doświadczamy rozczarowania, które nas często do złorzeczenia prawdzie doprowadza. „Oświecone“ warstwy społeczeństwa, wychowane w ten sposób, że lubią prawdę tylko platonicznie, tylko w powiewnych szatach ideału, a gdy się im nagą przedstawi, czują do niéj wstręt. Lecz jeśliśmy już tak nieszczęśliwi, że na różanych i promiennych bajkach wykołysani, nie możemy bez przestrachu spojrzéć w oczy właściwemu stanowi natury i ludzkości, to czyż nadal mamy pielęgnować tę naiwność? Gdzież się wtedy podzieje ta cecha, którą się tak pysznimy: dążność do prawdy, czyż pozostanie ona tylko... obłudą. Czyż postąpimy tak jak owa czuła ary-

stokratka, którą serce boli, gdy jéj kto opowiada o nędzy i dla tego nic o niéj wiedziéć nie chce.

Nic dziwnego, że wielu złorzeczyło Darwinowi za rozwianie tęczowych snów młodości. Psychologia, złożona w belletrystyce, nauczyła już nas, iż ludzie wolą ułudę niż prawdę i gniewają się za jéj rozwianie, ale po przejściu pierwszego wrażenia, każdy tém więcéj wdzięcznym Darwinowi być powinien. Przedewszystkiém odkrył on nam *prawdę*, która już sama w sobie ma wszelkie prawo bytu, choćbyśmy jéj dobrych skutków zrazu nie widzieli, lub tylko złe czasowo spostrzegali,—prawda bowiem, będąc *wiernym obrazem* rzeczywistych zjawisk świata, choćby z początku, z powodu niedostatecznego poznania warunków, szkody podobne np. do śmierci fizyka Richmanna przynosiła (1), jednakże tylko pożyteczną być może przy odpowiedniém ułożeniu się stosunków lub zrównoważeniu zachwianych pierwotnie żywiołów.

Możnaby i należałoby rzecz tę szeroko rozwinąć, ale w tym szkicu uczynić tego niepodobna.

Zapewne spotkam się tutaj z zarzutem, że wiadomość o walce o byt może zmienić lub znieść niektóre właściwości, wypielęgnowane przez cywilizacyą. Temu zaprzeczyć nie podobna, ale niełatwo przewidziéć które. W każdym razie znajomość walki o byt nie będzie miała gorszych następstw od saméj walki, toczonéj od tysięcoleci. A jeśli sama walka o byt, pomimo rozmaitych zygzaków i zwrotów w tył doprowadziła nas do dzisiejszéj naszéj umysłowości i cywilizacyi, to i świadomość jéj co najmniéj nie gorsze wywrze skutki.

Wpływając na pojęcia, wiadomomość ta może wpłynąć i na czyny, lecz ktoby chciał się w niéj dopatrzéć pierwiastku psującego charakter, ten jest w błędzie. Charakter bowiem zależy od zarodków wrodzonych, od przykładów w domu i od celu, jaki stawia wychowanie. Jeden zwolennik téj teoryi będzie walczył o pieniądze na karty, inny stanie na polu obywatelskich czynów, jednego świadomość powszechnéj walki może zachęcić do zabójstwa, innego do samobójstwa z rozpaczy, że świat tak jest okropny; dla innych wreszcie może być tak obojętną, jak odwieczne a słuszne narzekania poetów na świat nikczemny. Słowem może tu być tysiące możliwości, zależnych od temperamentu, wychowania, wzorów etc. i nikt ich przewidziéć ani obliczyć nie jest wstanie. Jeśli powołanie się na przykład

---

(1) Richmann badał prawa elektryczności atmosferycznéj, a nieznając dobrze warunków prawdy, że elektryczność zbiera się w ogromnéj ilości na prętach metalicznych zaostrzonych, został rażony piorunem. Gdyśmy je poznali umiemy ze świadomością używać gromochronów.

może mieć pewne znaczenie, to przytoczymy tu fakt, że nasi darwiniści bynajmniéj nie odznaczyli się czynami gorszymi od swoich przeciwników.

Jeśli ktoś chce widziéć w teoryi Darwina przewodnik prawa, obowiązków, moralności, to może w niéj znaleść tylko dobre zasady. Powie mu ona, że każdy ma prawo bytu, że wolno mu o nie walczyć, i że uzyska tyle, ile na to jego energia i siły zmysłowe czy umysłowe oraz warunki, w których żyje pozwolą. Kategorycznie więc potępia lenistwo—to największe nieszczęście człowieka i społeczeństwa. Mówi mu daléj, iż człowiek, żyjąc sam jeden, nie mógłby się utrzymać w walce o byt z siłami przyrody, lub spadłby na poziom bardzo nędznéj istoty, więc i dla utrzymania swego własnego bytu potrzebne mu jest życie wspólne, społeczeństwo. Ile mu dobra daje ta forma życia, spostrzeże właśnie najlepiéj ten, kto się zastanowi nad walką o byt, jakaby się rozwinęła, gdyby każdy człowiek żył na własną rękę. Mając zaś tyle pożytku od społeczeństwa, człowiek ma obowiązek względem siebie i tych, którzy tę pożyteczną formę stanowią, starać się, aby istnienie téj formy było możliwém; musi więc dla większego dobra poświęcić niektóre mniejsze, musi się zastosowywać do równowagi społecznéj. Sposób tego stosowania się wskazują prawa i zasady moralności i zwyczaje, które wyrobiło długie doświadczenie, całe wieki walki o byt. Trzeba je przyjąć i uszlachetniać je, aby czyniąc dobrze społeczeństwu i sobie dobrze uczynić. Kto świadomie przekracza prawa i zasady, jest po prostu oszustem, który nie dopełnia swych zobowiązań, kto występuje przeciw nim nieświadomie podobny jest do człowieka, który propaguje pieszą podróż do Madrytu, dla tego że w wagonach bywa ciasno i duszno.

Rzecz łatwa do pojęcia, że dla jasności przedstawiliśmy powyższą analizę bardzo jednostronnie. Wzięliśmy za przykład człowieka hipotetycznego, pozbawionego wszystkich tych instynktów społecznych, które w nas wyrobiły długie wieki życia społecznego. Ale taż sama teorya Darwina powiada nam, że ludzi takich nie ma, że są tak samo niemożliwi jak mrówka, którаby mogła żyć bez roju. A to jeszcze bardziéj popiéra powyższe wnioski.

Teorya Darwina nie wyłącza, ale, przeciwnie, przewiduje możliwość najrozmaitszych zboczeń w najrozmaitszych kierunkach; ale uzasadnia tém tylko potrzebę urządzeń i praw, aby się złym zboczeniom rozwinąć nie dawały i aby wszystkie ku dobru społeczeństwa kierowały. Rzymska zasada: *salus reipublicae suprema lex esto* jest najkonsekwentniejszym wynikiem teoryi Darwina, która tém samém uświęca wszelkie prawa, jakie ludzkość w tym celu wynalazła i wynajdzie.

Jak pośpieszne i jak jednostronne wnioski, wyprowadzano z teoryi Darwina, dowodzi jaskrawy fakt, że gdy jedni chcieli w niéj widzićć poparcie aspiracyj komunistycznych, inni uzasadniali nią wybryki szkoły manczesterskiéj. Zobaczmy jak wygląda jedno i drugie w jéj oświetleniu.

Jeśli komuniści są takimi jak ich przedstawiają, to myślą o jakiemś królestwie bożém, w łonie którego nie ma wcale nierówności, nie ma różnych zboczeń, żądań, potrzeb, nie ma walki o byt. Darwinista zaprotestuje najprzód przeciwko ostatniemu marzeniu. Żadne społeczeństwo nie może się wyłamać od tego twardego prawa powszechnego. Można i należy walkę o byt ograniczać, tj. sprowadzać ją na jak najpożyteczniejsze dla społeczeństwa i dla jednostek pole, ale myśléć o zupełném jéj zniesieniu jest zupełną mrzonką. Wtłoczyć więc nagle społeczeństwo w jakieś ramki, w których rzekomo walka o byt ustaćby miała, jest to czynić *experimentum in corpore vili*, po którém, kto wie, jakieby kołysania dla odzyskania równowagi czyniło. Daléj dla stanu takiego potrzeba przypuścić zupełne nieistnienie tego, co Darwin nazywa zmiennością i rozbieżnością (diwergencyą) charakterów, co jednak jest zupełnie niemożliwém. Przy istnieniu zaś dywergencyi i zawsze możliwym braku dostatecznych środków, dla zadość uczynienia wymaganiom takiego stanu, należałoby chyba niezmiernie silne pęta na dywergencyą nałożyć, aby ich rozerwać nie mogła. To zaś jest jednoznaczne z najszaleńszym despotyzmem i może jeszcze więcéj ludzi nieszczęśliwych by uczyniło, aniżeli ich jest obecnie.

Daléj, gdyby nawet możliwém było stałe zaprowadzenie wszechstronnéj równości w jakiemś państwie, gdyby możliwém było wygnanie walki o byt do archiwów historyi, to wskutek właśnie jednego i drugiego czynnika ludność tego państwa marniałaby w zastoju, zacofała i stałaby się ofiarą walki o byt z sąsiedniém państwem... Jeśli z jednéj strony jednostka poddać się musi wielu ograniczeniom, to z drugiéj, zbyt silne ograniczenia jéj woli uczyniłyby jéj życie społeczne niewolą, a społeczeństwo doprowadziłyby do upadku.

Więc marzyciel taki, gdyby chciał iść za wskazówkami teoryi Darwina, musiałby zrzec się myśli sprowadzenia wszystkich ludzi do jednego mianownika i wyrugowania walki o byt z łona społeczeństwa. Mógłby myśléć o tém tylko, aby zwyciężonych nie gnębiono i aby walka skierowaną była ku największemu pożytkowi społeczeństwa, czyli że stanąłby na starém stanowisku powolnéj, stopniowéj, a bez ryzykownych przewrotów walki cywilizacyjnéj o prawo, sprawiedliwość, humanizm.

Walcząc przeciwko zarzutowi, iż teorya descendencyi daje grunt komunizmowi wpadli niektórzy w drugą ostateczność, twierdząc, iż popiera arystokracyą. Jest w tém prawda i nieprawda. Prawdą jest, iż teorya uzasadnia prawo istnienia jednostek wybitnych, które mogą sobie wywalczyć wyjątkowe warunki życia, prawdą jest, iż wymaga szczególnéj względności ze strony ogółu dla wyjątkowych jednostek, będących pionierami lub filarami oświaty, dobrobytu, wiedzy, uczuć społecznych, jedném słowem, prowadzących ogół po drodze postępu i podtrzymujących lub powiększających jego siłę w walce o byt. W tym znaczeniu teorya Darwina jest arystokratyczną i każdy jéj zwolennik będzie się domagał wyjątkowo szczęśliwych warunków, przywilejów dla podobnych jednostek, a to dla umożliwienia im jak najswobodniejszego działania, dla wyrażenia wdzięczności za zasługi, dla zachęty. Jeśli jednak tytułem do przywilejów ma być próżniactwo i rozpusta, używanie cudzoziemskiego języka, a choćby ładne maniery, mała ręka a wielka pycha—to chyba trzeba być ślepym, aby nie widziéć, że darwinista podobnéj arystokracyi popierać nie może.

Podobnież napróżno szukają w teoryi Darwina usprawiedliwienia ci, dla których wyłącznym motorem życia jest samolubstwo oswobodzone od wszelkich niemal względów społecznych i którzy kierują się w swych czynach tylko chciwością bez granic. Aby brzydota tych czynów nie raziła zbyt oczu całą swą nagością, przystrajają ją w krawat manczesterskiéj „wolnéj konkurencyi" i w naukowe rękawiczki „walki o byt". Wyżéj już powiedzieliśmy, że Darwinista nie wyobraża sobie człowieka niespołecznego, że wymaga od jednostki działania dla dobra społeczeństwa, że więc w imię utrzymania się społeczeństwa w walce o byt potępiać musi wyłączność interesów jednostki, jaki wprowadza do społczeństwa rozkład i grozi mu rozsypaniem się na mnóstwo niezależnych od siebie punktów, a utrudniając życie innym jednostkom, tamuje jego postęp. Żaden darwinista nie wyobraża sobie człowieka jedynie tylko jako machinę do zbierania pieniędzy i wybujałość w tak wyłącznym kierunku, musi uważać za znamię upadku, bo gdy pewna liczba takich aparatów sących powstanie, inne muszą w tym samym kierunku, choćby dla oporu, wytężać swe siły i odrywają się od pracy w koniecznych dla społeczeństwa kierunkach. Żadna wyłączność nie może być tolerowaną, bo żadna nie wystarcza dla bytu i postępu ludzkości, tembardziéj taka, która innych podkopuje i w prąd niewłaściwy porywa. Darwinista więc dążyć będzie do harmonii kierunków, do należytego każdego z nich, według ważności i odpowiedniości, uwzględnienia i zalecać będzie takie urządzenia, któreby harmonią utrzymywały, regulowały

i wyłamywać się z pod jéj praw nie dozwalały. Jednocześnie, opierając się na niewątpliwem istnieniu instynktów społecznych i rozmaitych zarodków potrzeb, które wiekowe życie społeczne wlało w jednostki, ostrzegać będzie wyłamujących się w kierunku bezgranicznego materyalnego samolubstwa, że mogą doznać wielkiego zawodu wtedy, kiedy już osądzą, że są bliscy celu, szczęścia. Przez zaniedbanie zarodków, o których zapomnieli, a które jak złota nitka przez cały szereg pokoleń się ciągną, popełnili wiele błędów, które nagle wyjdą na jaw w swych skutkach, wtedy, kiedy się tego wcale spodziewać nie będą. Im wyżéj małpa się wzniesie, tém widoczniejszym jest jéj ogon, mówi angielskie przysłowie; otóż właśnie gdy u szczytu swych marzeń spostrzegą swój z zaniedbania obowiązków powstały ogon małpi, wytykany ze śmiechem i odrazą przez ogół, zwierzęce ich szczęście gorzkie zgotuje im zawody na nowém stanowisku, do zajęcia którego prawo sobie przyznają.

Wielce zabawnym dowodem zaślepienia ludzkiego jest to, że chciwi egoiści wynoszą się często na piedestał pionierów i dobroczyńców społeczeństwa, właśnie na zasadzie teoryi Darwina Powiadają oni, jeśliśmy doznali powodzenia, to tém dowiedliśmy swojéj wyższości. W walce o byt, zwyciężają istoty silniejsze, zdolniejsze, wyższe. Będąc więc uprzywilejowanymi stanowią wzór godny podziwu i naśladowania. Iść swoim torem nikomu nie zabraniają, a każdyby ich torem poszedł i nawet idzie, lecz dojść do tak wysokiego celu nie może, bo nie ma odpowiednich zdolności, jest niższym. Dla tego nie należy mu się wcale powodzenie i dla tego ani do równych, ani do wyższych o to pretensyi miéć nie może. Uważając swoją zdobycz za zupełnie zasłużoną nagrodę swéj pracy i zdolności, nie mają żadnego obowiązku jéj zmniejszać na korzyść ludzi niższych od siebie i właśnie dla całości społeczeństwa i dla jego postępu dobrze jest, według nich, aby ludzie niżsi przyciśnięci byli twardemi okolicznościami jako bodźcem do pracy, lub téż zupełnie znikli w walce o byt, jako jednostki nie mające praw bytu, nieuprzywilejowane, od natury upośledzone i skazane na zagładę.

Ale jest to tylko sofistyka na gruncie darwinistycznym.

Gdyby tak wnioskował szczur lub hijena to trudno byłoby z niemi o to się sprzeczać—chociaż także zupełnéj racyi by nie miały. Ale ponieważ wszystkim szczurom chodzi *tylko* o dobre odżywianie się, ponieważ wszystkie mają jeden i ten sam cel i sposób życia, ponieważ wszystkie jednakowo walczą o byt, więc kto tłuściejszy, kto więcéj sobie umie zyskać zapasów, ten naturalnie silniejszy, zdolniejszy, wyższy od innych szczurów, o ile naturalnie nie zdarzył się taki np. przypadek, że jeden z nich, który mógł być najsłabszym, najle-

niwszym i najchudszym, nie utył na spadłéj do nory przez nieuwagę kucharki słoninie, właśnie wtedy, gdy inne szczury poszły na jakąś mądrą wyprawę lub zaszachowane były przez kota. Prawie tak samo rzecz się ma u ludów na najniższym stopniu kultury będących, które również oprócz odżywiania się żadnych innych celów nie mają, a przytém znają tylko jedną drogę, prowadzącą do tego celu, mianowicie zbieranie ostryg i owoców lub téż jakieś zaczątki rolnictwa. I tu większa ilość przedmiotów pożywienia będzie wskazówką większéj siły, inteligencyi, pilności, jedném słowem wyższości. Lecz rzecz widoczna, że odskok pomiędzy „uprzywilejowanym“ a „nieuprzywilejowanym“ będzie tu bardzo mały i wyrazić się może tylko jakimś małym ułamkiem, dodanym do normalnéj ilości.

Podobnież rzeczby się miała w społeczeństwach europejskich, gdyby dla każdego ich członka istniała tylko jedna droga utrzymania swego bytu. Gdyby każdy żył tylko z tego, co np. zaorze, zasieje i zbierze, różnice dowodziłyby wyższości, ale wyższość ta byłaby niezmiernie nikłą. Gdy zaś cywilizacya wyrobiła tysiące dróg odrębnych, nie można bynajmniéj porównywać dwóch pracowników na dwóch drogach, jako dwóch ilości jednorodnych i nonsensem jest mówić, że rolnik i kupiec, którzy dorobili się majątku, są inteligentniejsi, wyżsi np. od fabrykanta mikroskopów, który się go nie dorobił, bo właśnie przyczyną tego niedorobienia się może być mała inteligencya rolników i kupców. Powiedzieć zaś, iż niższość fabrykanta mikroskopów właśnie na tém polega, że wziął się do pracy, mniéj dającéj korzyści od rolnictwa, kupiectwa itd. jest to toż samo, co propagować zniesienie podziału pracy, sprowadzenie ludzkości do dzikiéj prostoty, upadek cywilizacyi, jedném słowem dać wyraz swojej niższości!

Właśnie wskutek różniczkowania, wskutek rozlicznych dróg, wyrobionych przez cywilizacyą, powstały rozmaite stosunki, rozmaity zbieg okoliczności, który tworzy wielkie majątkowe różnice pomiędzy ludźmi; a stosunki te to w jednym to w drugim kierunku się przerzucają i zbogacają jednostki, które się przypadkowo na ich drogach znalazły. Dla wielkich majątków, które tylko wskutek zastosowania pary do pracy mogły powstać, wynalazek machiny parowéj był tylko niezależnym od nich przypadkiem. Poprowadziła do niego diwergencya, nic wspólnego z gromadzeniem kapitału nie mająca. Daléj pierwsi co zrozumieli wartość pewnego wynalazku bardzo często tracili majątki, a na ich gruzach wyrośli ci, co nic a nic jego ważności niepojmowali, i wzięli się do niego dopiéro wtedy, gdy już opinia publiczna wartość jego okrzyczała. Kto był wyższy, Watt i Stephenson, czy téż ci co wśród warunków, przez nich stworzonych porobili ma-

jątki? Co więcéj wynalazcy ci byli przez cały świat „praktyczny“ wyszydzani.

Ludziom, którzy doznali powodzenia w życiu, bardzo jest miło zapominać o wpływie przypadkowych warunków. Dopomaga im w tém dawna teorya, że silna wola i inteligencya daje zawsze powodzenie. Ale darwinizm zadał cios ostateczny téj teoryi, a raczéj postawił tę zasadę na właściwém stanowisku dodawszy ograniczenie: „przy odpowiednich warunkach“. Z powyższéj przestarzałéj a bardzo zakorzenionéj zasady wyprowadzono wniosek, że z dwóch ludzi z których jeden doznał powodzenia a drugi nie doznał, pierwszy, był inteligentniejszym i silniejszą miał wolę. Ale wniosek taki tylko w tym razie byłby prawdziwym, gdyby w obu razach wszystkie warunki były jednakowe. W życiu zaś nigdy się to nie zdarza. „Jeśli rzucimy garść piór w powietrze, powiada Darwin, to wszystkie spadną na ziemię według określonych praw; ale jak prostém jest zagadnienie, w które miejsce każde z nich upadnie, w porównaniu z działaniem i oddziaływaniem licznych roślin i zwierząt, które w przebiegu stuleci zadecydowały o gatunkach i stosunkach liczbowych drzew rosnących teraz na starych indyjskich ruinach!“ W stosunkach ludzkich byłoby to również trudném jeśli nie trudniejszém, mając stu ludzi równéj siły woli i inteligencyi, mówić o jednakowym ich losie za lat choćby 10, byłoby jeszcze niedorzeczniejszém od twierdzenia, że każde ze stu piórek zupełnie identycznych na wiatr rzuconych, padnie w jedno i to samo miejsce lub w sto punktów z góry oznaczonych.

Jeżeli w naturze działają miliony przyczyn na ten lub ów los zwierzęcia i rośliny, to niemniéj ich przypuścić należy w życiu ludzkiém. Są one znane i nieznane, widoczne i niewidoczne, wielkie i małe w każdéj chwili i na każdego inny wpływ wywierające. Że zaś w naturze żadna cząstka siły nie ginie, więc każdy z tych wpływów wywiera swój skutek. Czasem kombinuje się na powodzenie, czasem na klęski, czasem na położenie bez wyjścia. Niekiedy następują nieprzewidziane ich kombinacye, lub wzrosty jednych czynników, a wtedy unoszą wszystkich spotkanych na drodze jak potok wezbrany, któremu wszystko jedno, czy niesie świerk czy dębinę, czy zgniły czy zdrowy kawałek. Trzeba się wtedy tylko umieć kierować. Porównanie więc możliwe jest tylko pomiędzy razem niesionymi, nie zaś pomiędzy nimi a pozostałymi poza granicami potoku.

Małoż podobnych w życiu widzimy przykładów! Przed kilkunastu laty wszyscy niemal grający na giełdzie wiedeńskiéj uważali się za wielce inteligentnych, bo dużo wygrywali, i wcale się niespostrzegli że się przepaść przed niemi otwiera! Jeśli z nich który, sprzedaw-

szy z wielkim zyskiem wszystkie papiery, nagle ciężko zachorował, chociażby z radości, na miesiąc przed „krachem“ i tym sposobem nadal papierów nie nabywał, to może dotąd uważa się za mądrego. Dziś zbiera majątek ten kto ma zapas cukru, jutro może być zniesione cło od cukru zagranicznego i będzie mądry ten co nie ma zapasu. Dziś zabiegli i rozsądni ziemianie sprzedają pszenicę z powodu wiadomości o wielkich urodzajach w Ameryce, jutro zbogaca się jakiś niedołęga, który swego produktu sprzedać nie mógł,—bo przyszła wiadomość z Ameryki że owad niszczy pszenicę. Pewien kupiec warszawski zarobił sto tysięcy rubli na tém, że miał zapas nic nie wartéj galanteryi, która nagle zyskała wartość gdy zaprowadzono cło złotem. Dwóch kupców miało znaczny zapas perkalików w wielkie kwiaty na firanki i nie mogło go sprzedać z powodu stagnacyi w handlu, lecz gdy jeden wedle słusznych kombinacyi i po usilnych staraniach sprzedał go po niskiéj cenie kupcom na spodnice dla azyatek i śmiał się ze swego niezaradnego sąsiada, przyszły nowe żurnale z Paryża i eleganckie damy zaczęły się ubierać w materyał firankowy. Dziś może mieć powodzenie tylko człowiek pobożny, jutro ten co dobrze tańczy, pojutrze uczony, a następnego dnia robi karyerę szachista lub ten co dobrze układa szarady, poluje albo łże. Tak, tysiące, już mniéj już więcéj jaskrawych okoliczności, rządzi losem ludzkiem i nawet na jednéj i téj saméj drodze, w jednym i tym samym fachu powodzenie nie może być miarą inteligencyi i energii. I one bez wątpienia grają rolę jako ważne warunki, lecz fałszem jest jakoby stopa zarobku była do nich proporcyonalną.

Bezwarunkowo cywilizacya doprowadziła nas do tego, że inteligencya, energia i charaktery z niemi współrzędne wiele znaczą w życiu; ale aby wszystko znaczyły, to dotychczas jest pium desiderium. To co chętnie zwycięzcy w walce o byt nazywają wyższością, jest w świetle teoryi Darwina (niech nam czytelnik wybaczy potworność neologizmu) tylko „przewagą najodpowiedniejszości“. Tylko przy szczególnym zbiegu warunków zwycięża wyższość, w innych okazuje się właśnie najodpowiedniejszą niższość. Przy spokoju zwyciężają drzewa wyniosłe, wśród burz karłowate. Posiadanie skrzydeł lub oczu jest dla zwierząt w niektórych warunkach niekorzystném i zwyciężają bezskrzydłe i ślepe. Czasami doznają powodzenia Katony i Brutusy innym razem Katiliny i Nerony. W ogóle w społeczeństwach bywają warunki w których raz otrzymują przewagę wyżsi, drugi raz mierni, a nawet niżsi. Dla tego téż jeśli kto nie ma innych danych swéj wyższości, innych tytułów zasługi, ośmiesza się tylko roszcząc sobie do nich pretensyą, na zasadzie powodzenia w walce o byt.

Zajęliśmy się tą kwestyą dłużéj niżby to ze względu na ramy niniejszego szkicu ogólnego wypadało. Uczyniliśmy to dla tego, że obecném mot d'ordre antidarwinistów i pseudodarwinistów jest zdanie jakoby według teoryi Darwina najdoskonalszym człowiekiem, ideałem, była pompa mamony umiejąca zręcznie wyjść z pośród rozmaitych szkopułów. Widzieliśmy że tak nie jest. Pomimo zaś stosunkowéj obszerności tego szczegółowego rozbioru poświęciliśmy téj sprawie bardzo mało miejsca. Niedotknęliśmy ani warunków w których podobne zjawiska występują, ani téż nie próbowaliśmy podać zarysu prawdziwego ideału człowieka według teoryi Darwina. Uczynimy to w miarę możności później, a tymczasem niedomówienia nasze i niedokładności, tłómaczy określenie niniejszéj pracy pomieszczone pod jéj tytułem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do treści rodziału.

Chodziło nam w nim przedewszystkiém o rozproszenie przesądu, jakoby teorya Darwina poniżała i demoralizowała ludzkość. Sądzę że wystarczyło słabych sił moich do podkopania u nas tego przesądu. Sądzę nadto że dałem kilka wskazówek nowych widoków, nowego stanowiska poglądu na rozmaite fakta i zaznaczyłem że w teoryi Darwina roztwiera się szerokie, lecz niestety bardzo skomplikowane pole prawdziwéj fizyologii życia ludzkości, oraz że zyskujemy w niéj nitkę Aryadny, mogącą ułatwić badania téj sfery i wskazać sposoby prowadzenia ludzkości w tym kierunku, aby dobre pierwiastki coraz pocześniejsze zajmowały w niéj stanowisko, aby walka o byt coraz szlachetniejszy charakter przybierała i coraz liczniejszym masom wychodziła na pożytek.

(*Dok. nast.*) *Bronisław Rejchmann.*

Molière w świetle najnowszéj krytyki.

I.

Lotheissen. Molière, sein Leben und Werke. Frhf. à M. 1880. 8-a, str. 418.
Mahrenholtz. Molières Leben und Werke vom Standpunkte der heutigen Forschung. Heilbronn, 1881. 8-e, str. 393.

Imię wielkiego komedyopisarza francuskiego żyje w tradycyi, brzmi nieraz nawet w ustach tych, którzy utworów jego wcale nie znają lub znają tylko z dorywczych wzmianek. Rzadko kto z ludzi oczytanych nie wie i o tém, że dla wielu komedyopisarzów był on niedościgłym wzorem doskonałości i twórcą komedyi nowożytno-klasycznéj, posiadającéj właściwe sobie znamiona artystyczne, że stworzył osobną szkołę, któréj wyznawcami byli przez długie lata pisarze wszystkich ucywilizowanych narodów. Poczynając od włocha Goldoniego i duńczyka Holberga, a skończywszy na naszym Zabłockim, wszyscy pierwszorzędni i drugorzędni komedyopisarze ubiegłego stulecia, w mniejszym lub większym stopniu, hołdowali temu smakowi i téj taktyce autorskiéj, którą uświęcił Molier powagą swego talentu.

A jednak ta popularność i powaga Moliera, obowiązująca dla poetów, nie dawała żadnéj rękojmi ani gruntownéj znajomości dzieł jego, ani bezstronnego, dojrzałego sądu o jego życiu i zasługach. I owszem, żaden może z wybitniejszych pisarzów nie ulegał sądom tak sprzecznym, jak autor *Tartufa* i *Mizantropa*. Jeden pochwalał w nim to, co drugi za największą poczytywał mu wadę: Rousseau zarzucał mu demoralizujące tendencye, Kamil Desmoulins widział w nim apostoła republikanizmu i rewolucyi, gdy tymczasem Schlegel odkrył w nim komedyopisarza bez moralnéj godności i królewskiego sługusa. A jeżeli w tych sądach zdarzały się niekiedy

uwagi trafne, było to raczéj dziełem przypadku, niżeli świadoméj wyników swych krytyki.

Nie mogło nawet być inaczéj, raz dlatego, że ówczesny stan krytyki literackiéj nie znał ani téj metody, ani tych źródeł, na których opiera się krytyka dzisiejsza; powtóre i dlatego, że żywot Moliera był dla wszystkich tajemniczą zagadką. Kilka oszczerczych paszkwilów, jakie podyktowała współczesnym zawiść autorska lub stronniczość koteryjna, oraz kilka ogólnikowych pochwał, jakiemi zamanifestowali się zwolennicy Moliera, — oto był cały materyał, na którym opierały się wszystkie życiorysy jego; różnica pomiędzy niemi zależała jedynie od tego, ku któréj stronie skłaniało się bardziéj ucho biografa. Jak to się zwykle dzieje, chętniéj słuchano nieprzyjaciół niż życzliwych: powtarzano więc zazwyczaj wszystkie baśnie i niedorzeczności, które podał pierwszy biograf Moliera, Grimarest (1706 r.). Autor ten, mniéj krytyczny niż złéj woli, starannie pozbierał wszystkie bajki i plotki, jakie obiegały jeszcze podówczas, w rodzaju złośliwych i oszczerczych kalumnii De Visé'go, Saumaise'a, Montfleury'ego i t. d. Życiorys, napisany przez Woltera, nie większą posiadał wartość, jakkolwiek i dziś jeszcze w niektórych popularnych wydaniach dzieł Moliera znajdujemy go na czele.

Rzetelniejsza krytyka życia i utworów Moliera zaczyna się dopiero w wieku XIX, lecz i ta początkowo posuwała się bardzo powolnym krokiem. Wprawdzie już Beffara (1821) i Tachereau (1825) sięgnęli do innych, wiarogodniejszych źródeł; ale szczupły ich zasób nie pozwolił obydwom wyłamać się zupełnie z pod powagi tradycyi, szczególniéj w części biograficznéj. Nawet w dwadzieścia lat późniéj, Bazin, autor pierwszéj krytycznéj monografii o Molierze (1), skarży się jeszcze na brak autentycznych źródeł; nie przeszkodziło mu to jednak poddać gruntownéj krytyce dotychczasowych sądów i opinii i podkopać powagę źródeł, na których się zwykle opierano.

Dopiero w ostatnich dwudziestu latach dla studyów nad Molierem zdobyto grunt pewny i uzbierano sporo materyału, a w miarę tego, jak rozpraszały się mgliste osłonki, otaczające postać wielkiego komedyopisarza, zaczęło wzrastać i ogólne zainteresowanie się badaczów. Dawna obojętność i niechętne uprzedzenia znikły zupełnie, ustępując miejsca powszechnemu entuzyazmowi. Cały legion gruntownych badaczów z zapałem oddaje się mozolnym i drobiazgowym poszukiwaniom, zbiera najdrobniejsze fakty i wskazówki, mające jakikolwiek związek z osobistością lub utworami Moliera.

---

(1) *Notice sur la vie et les ouvrages de Molière*. Paris, 1848; jest to przedruk artykułu, umieszczonego poprzednio w *Revue des deux mondes* z r. 1847.

Wszyscy usiłują wyświetlić najdrobniejsze szczegóły jego życia i genezę jego komedyi; rozigrana wyobraźnia niektórych zapaleńców chciwie chwyta wszystko, co tylko da się przyczepić do postaci poety; oględne poszukiwania przechodzą w fantastyczne improwizacye, życiorysy stają się romansami, zbiorem wszelkich anegdot i baśni, niekiedy bez żadnéj wartości (1). Inni znów radziby go widzieć tam, gdzie jego noga nigdy nie postała, a przynajmniéj żadnych na to nie ma dowodów (2).

To bałwochwalcze uniesienie niektórych wielbicieli Moliera — rzecz zwyczajna w podobnych wypadkach— nie przeszkadza innym, rozważniejszym i powściągliwszym, pracować z istotnym dla nauki pożytkiem. Najważniejszym owocem tych studyów jest krytyczne wydanie dzieł Moliera, odpowiadające wszelkim wymaganiom nauki dzisiejszéj (3), oraz cały szereg monografij, wyświetlających bądź pojedyńcze momenty z życia poety, bądź téż stanowisko i znaczenie jego utworów. Ostatniemi nawet czasy dla badań nad Molierem powstały specyalne organy, około których skupiają się wszystkie prawie siły wybitniejszych pracowników. We Francyi od r. 1879 wychodzi *Molièriste*, a w Niemczech także od r. 1879 *Molière-Museum*. Tak więc autor Tartufa doczekał się wreszcie tego, co Goethe, Szekspir i Dante posiedli już oddawna.

Przedstawić sumaryczny obraz tych zdobyczy, które ostatniemi czasy poczyniła krytyka, skupić je i wszechstronnie oświetlić postać i działalność Moliera — oto zadanie, które wobec tak ożywionych studyów musiało się koniecznie nasuwać badaczom. Rzecz jednak godna uwagi, że pierwsze usiłowania w tym kierunku poczynili nie Francuzi lecz Niemcy, u których popęd do badań na tém polu objawił się znacznie późniéj.

Wbrew swojemu zwyczajowi badacze niemieccy przez długie lata nie zwracali na Moliera prawie wcale uwagi, poprzestając na pobieżnéj znajomości jego życia i utworów i przyjmując niejako za ostatni wyraz to, co jeszcze w początkach naszego wieku wyrzekł był o nim August Wilhelm Schlegel. Oceniając Moliera bardzo po-

---

(1) Pifteau, *Les maîtresses de Molière*. Paris. 1880. — Houssaye, *Les commediennes de Molière*. Paris, 1879. — Houssaye, *Molière, sa femme et sa fille*. Paris, 1880.

(2) Magen, *La troupe de Molière à Agen*. Paris, 1874. W przeciwieństwie do tych śmiałych i bezowocnych hipotez stoi oględna i gruntowna praca Mongolda, *Molières Wanderungen in der Provinz* w *Zeitschrift für neufranzösische Sprache und Literatur*. Tom I, 1880.

(3) Oeuvres complètes de Molière, par L. Moland. Paris, 1863—4; 7 tomów. — Oeuvres etc. p. Despois et Mesnard. Paris, 1873—1880,—dotychczas wyszło tomów pięć.

wierzchownie i dowolnie, krytyk ten, czyniąc mu tysiączne mniéj lub więcéj nieuzasadnione zarzuty, potępia go nietylko jako poetę-artystę, ale i jako człowieka; jak gdyby rozmyślnie pomija celniejsze utwory jego i zwracając głównie uwagę na mierniejsze, wystawia go w świetle tak niekorzystném, iż dziwićby się należało wraz z krytykiem, czém się to stało, że autor Tartufa, Don Żuana i Mizantropa uchodzi za „jedynego i oryginalnego artystę“ (1). Powaga, jaką cieszył się Schlegel, sprawiła, że pomimo ożywionych studyów nad literaturą, Niemcy pozostawili Moliera w cieniu, zwłaszcza że inny, bardzo zresztą poważny i gruntowny badacz, zupełnie od Schlegla niezależnie, swojemi sądami o Molierze wielce się przyczynił do ustalenia opinii, dla naszego komedyopisarza nieprzychylnéj. Był to Schack, autor cennéj historyi dramatu hiszpańskiego. Wszystko to miało ten skutek, że dawne uprzedzenia wciąż trwały, a nawet dzisiaj jeszcze spotkać się można z ich resztkami (2).

Pierwszy krok ku rehabilitacyi ojca komedyi francuskiéj uczynił dopiero w r. 1869 Humbert, wydając uczoną i gruntowną monografią (3), w któréj obszernemi wywodami starał się wykazać, jak dalece niesłusznie postępuje krytyka niemiecka, przeceniając Szekspira jako komedyopisarza i zapominając o tém, że sami nawet Anglicy nigdy Moliera nie stawiają pod tym względem niżéj. Wywody Humberta, zbijające krok za krokiem wszystkie opaczne sądy i opinie krytyków niemieckich, nie odniosły na razie widocznego skutku: dzieło jego ciężko-uczone i do pedantyzmu rozwlekłe, dziś więcéj może zwraca na siebie uwagę niż wtenczas, kiedy się ukazało. Jednakże niedługo potém odezwał się pisarz inny, bardzo popularny i ceniony — Paweł Lindau. Wobec prac dzisiejszych, monografia Lindaua (4) straciła bardzo wiele, głównie dlatego, że autor z utworów Moliera zadużo wnioskował o jego życiu i przez to nie uchronił się od wielu śmiałych hipotez, które późniéj, kiedy ogłoszono nowe autentyczne materyały, upadły same przez się, lub nie wytrzymują wytrawnéj i oględnéj krytyki. Miała ona jednak tę wielką zaletę, że była napisana popularnie, poczytnie i wielkie sprawiła wrażenie. Je-

---

(1) A. W. Schlegel. *Vorlesungen über dramatische Literatur*. Heidelberg, 1809; odczyt dwunasty.

(2) Świeży tego przykład znajduje się w najnowszém wydaniu Scherra historyi literatury powszechnéj, gdzie Molierowi poświęca autor niecałą stronicę, a tłómacz polski, który w przypiskach uzupełnił Kornela i Rasyna kilku dłuższemi wyjątkami przekładów, do Moliera metody téj nie zastosował.

(3) Humbert, *Molière, Shakespeare und die deutsche kritik*. Leipzig, 1869.

(4) Lindau, *Molière, eine Ergänzung zur Biografie des Dichters*. Leipzig, 1872.

den z dzisiejszych molierystów, Mahrenholtz, przyznaje się, że do studyów nad Molierem zachęciła go książka Lindaua.

Przełamano więc pierwsze lody obojętności i uprzedzenia i dziś literatura niemiecka może się już pochwalić znacznym zastępem badaczów, pomiędzy któremi niejeden pierwszorzędną zdobył sobie powagę. Gruntowne artykuły i rozprawy ukazują się coraz częściéj; nie ustępują one w niczém prawom molierystów francuskich, z tą jedynie różnicą, że kiedy Francuzi przechylają się bardziéj ku studyom biograficznym, niemieccy badacze dają pierwszeństwo studyom literackim. Jednocześnie zaczęły się mnożyć krytyczne wydania pojedyńczych komedyi Moliera. Pierwszy wystąpił w tym kierunku Lion; jeszcze w roku 1871 rozpoczął on wydawać celniejsze komedye, a wkrótce za nim podążyli Laun i Fritsche. Wydania Launa (1), jakkolwiek bardzo krytyczne, w przypiskach podają tylko treściwe uwagi, czyniące zadosyć potrzebom szerszego koła czytelników; natomiast Lion i Fritsche starają się wyzyskać wszystko, co tylko do wyświetlenia utworów przyczynić się może. Pierwszy wydał dotychczas trzy komedye, drugi — cztery. Krytyka uznaje je za wzorowe.

W roku 1880 ukazała się pierwsza próbka ujęcia w jedną całość poczynionych zdobyczy. Ferdynand Lotheissen, profesor literatury francuskiéj przy uniwersytecie wiedeńskim, ogłosił obszerną monografią o życiu i pismach Moliera. Skreśliwszy w krótkim obrazie rozwój komedyi francuskiéj do wystąpienia Moliera, autor rozważa następnie działalność poety w połączeniu z kolejami jego żywota i zamyka całość dwoma rozdziałami, w pierwszym ocenia społeczeństwo francuskie w świetle utworów Moliera, a w drugim podaje historyczny obraz wpływu Moliera na komedyą niemiecką. Jakkolwiek dzieło Lotheissena — o ile mi wiadomo — krytyka przyjęła bardzo przychylnie, nie waham się wyznać, że zawiodło ono moje oczekiwania. Po tém, co autor napisał dawniéj (Historyą literatury francuskiéj w XVII wieku, dotychczas nieukończoną), można się było spodziewać czegoś lepszego. Nie powiem, żeby to była praca pobieżna, nie naukowa, nie oparta na wynikach nowszych badań. Wszystko to w niéj jest; ale sposób przedstawienia rzeczy, skądinąd przystępny i wolny od pedantyzmu, ma w sobie coś w rodzaju tych pospolitych foliałów, jakie się piszą oddawna. Autor nie wlał w nią nowego ducha, któryby ją wyróżniał i czytelnika osobliwie zainteresował, a postać Moliera oświetlił i na tle ówczesnego życia z całą

(1) *Molière mit deutschen Commentar* von prof. Laun. 1873—1881. Dotychczas wyszło trzynaście tomików.

subtelnością odsłonił. Rozpisuje się wprawdzie szeroko, a jednak powiada stosunkowo niewiele i postać Moliera wychodzi dość blada; czytelnik zaledwie dostrzega te drobne arterye, które ją łączą ze społeczeństwem i jego dążeniami.

Być może, że praca Lotheissena traci wiele przez to, iż doczekała się współzawodnika. W rok po jéj ukazaniu się wyszła bowiem monografia Mahrenholtza, jednego z najgorliwszych molierystów niemieckich, który już od lat kilku ogłaszał gruntowne rozprawy, dotyczące różnych szczegółów literackiéj działalności i żywota Moliera.

Studyum Mahrenholtza jest bez porównania gruntowniejsze i sięga daleko głębiéj. Autor zna na wylot wszystkie kwestye sporne, wszystkie źródła i przetrawił cały materyał biograficzny i literacki, a że jest wogóle ostrożny i nie bawi się w śmiałe hipotezy, osiąga więc cel zamierzony i przedstawia Moliera istotnie w świetle „dzisiejszych badań.“ Nie chodzi mu o popularność i popularnym nie będzie: w każdéj kwestyi, czy to roztrząsając jaki szczegół biograficzny, czy oceniając który utwór Molierowski, autor ma na myśli czytelnika już dobrze z całą literaturą przedmiotu obznajmionego. Oczywiście, pisząc dla specyalistów, nie potrzebował przemawiać inaczéj; można ich nawet wymęczyć monotonnością wykładu. Uderza ona szczególniéj w rozbiorze komedyi: przy każdéj z osobna usiłuje rozstrzygnąć cały szereg kwestyj w jednym i tym samym porządku: czas i pobudki napisania, znaczenie źródła pomysłu, czas wystawienia, ilość dochodu a nawet obsadzenie ról i pierwsze wydania. Na końcu monografii znajduje się szczegółowy i systematyczny spis bibliograficzny wszystkiego, co się tylko w jakikolwiek sposób Moliera dotyczy. Wszystko to sprawia, że całość, skądinąd ciekawa, jest nużąca i ciężko-strawna; dopiéro przeczytawszy ją razy parę, można się zoryentować, a niekiedy trzeba nawet zajrzéć do źródeł, do utworów poety. Te wszystkie właściwości monografii wymagają, abym, strzeszczając wyniki badań autora, od jego porządku odstąpił, chociażby nawet ze stratą dla samego bogactwa treści.

II.

Cały żywot Moliera (którego właściwe nazwisko było Poquelin), a zwłaszcza pierwsza połowa, aż do roku 1658, jest tajemniczą księgą, któréj nawet najnowsze badania nie zdołały należycie odgadnąć i rozjaśnić. Pomimo wielu autentycznych dokumentów,

uzbieranych ostatniemi czasy (1), postać wielkiego komedyopisarza wciąż jeszcze rozpływa się w mistycznych obłokach, i tylko gdzieniegdzie występuje wyraźnie, faktycznie. Cały szereg domysłów, mniéj lub więcéj trafnych, wypełnia długie przerwy, lecz czy domysły te dają rękojmią prawdy? Były one nieuniknione skutkiem ożywionych badań nad życiem poety, mianowicie wobec tradycyjnych uprzedzeń i potwarzy, które należało sprawdzić, skonstatować lub odrzucić. Większa ich część upadła stanowczo; inne zachwiano, lecz nie zawsze udało się natomiast podstawić coś pewnego.

Opierając się na wiarogodnych lecz dorywczych, a często ubocznych wskazówkach, usiłują niektórzy odtworzyć zarys młodzieńczych lat Moliera. Niewątpliwém przecież jest to tylko, że nasz poeta urodził się w Paryżu 15 stycznia 1622 r., jak o tém świadczy akt chrzestny; że w jedenastym roku życia utracił matkę, że pobierał nauki w kolegium ojców jezuitów aż do roku 1640. Czy jednak ten pobyt w szkołach jezuickich miał jaki wpływ na ukształtowanie się pojęć młodzieńca, jak to przypuszczają niektórzy, na to stanowczo odpowiedzieć nie można. Podobnież problematyczne są twierdzenia tych, którzy, jak np. Loiseleur (2) upatrują wielki wpływ Gassendiego na wyrobienie się filozoficznych pojęć Moliera. Dowody, czerpane w komedyach poety, są tak ogólnéj natury, że można w nich widzieć wszystko, co się komu podoba. Jest to wogóle metoda bardzo niebezpieczna zbyt wiele wymagać od utworów poetyckich, a zwłaszcza od komedyi i chcieć z nich wyciągnąć niewątpliwe wskazówki biograficzne. Doprowadziło to Lindaua do twierdzenia, że stosunek młodego Poquelina do rodziców, a zwłaszcza do macochy (Katarzyny Fleurette) był arcy nieprzyjemny. Jak dalece wnioski te, oparte na tém spostrzeżeniu, jakoby w komedyach Moliera nie spotkać sympatycznych postaci matki i macochy, są niezgodne z prawdą, okazał to już Scheffler; sam jednak nie uchronił się od innéj hipotezy, skądinąd prawdopodobnéj, że Molier zdolności umysłowe i niektóre przymioty charakteru odziedziczył po matce, kobiecie nie bez wielkich zalet umysłu i serca, a wespół z niemi i zarodek późniejszéj choroby piersiowéj (3).

---

(1) Soulié, *Recherches sur Molière et sa famille.* Paris, 1863. — Campardon, *Documents inédits.* Paris, 1871. — Campardon, *Nouvelles pièces.* Paris, 1876 i inne.

(2) *Les points obscurs de la vie de Molière.* Paris, 1877, str. 50. Domysł ten podziela i Lotheissen (str. 32—33), upatrując ślady wpływa Gassendiego w humanitarnym poglądzie Moliera na świat, co okazują jego komedye.

(3) Porównać artykuł Schefflera, *Molières Verhältniss zu seinen Eltern* w Herrig'a, *Archiv für das Studium der neueren Sprachen und Literaturen.* Tom 59, rok 1878, str. 288—300.

Również nie można nic stanowczego powiedzieć ani o tém, czy Molier pozyskał w Orleanie stopień licencyata, jak to przypuszcza Lotheissen (str. 35), choć nie ulega wątpliwości, że tam na studya prawne uczęszczał, ani o tém, jakie mianowicie pobudki skłoniły młodzieńca do obrania aktorskiego zawodu. Niektórzy przypuszczają, że Molier jeszcze w latach pacholęcych rozbudził w sobie zamiłowanie do widowisk scenicznych, na które go dziadek prowadzał (1); że zamiłowaniu temu przyszła w pomoc miłość ku Magdalenie Béjart, podszarganéj kokietce, która stała podówczas na czele wędrownéj trupy dramatycznéj (2). Mahrenholtz nie jest od tego, żeby się pisać na przyczynę inną, wskazaną w jednym pamflecie (*Elomire hypocondre*, z r. 1670); według owego pamfletu przystąpienie do trupy dramatycznéj było ze strony Moliera krokiem człowieka zrozpaczonego, któremu w żadnym „uczciwym“ zawodzie się nie szczęści. Żywot Szekspira i Schillera dostarcza analogicznych przykładów, nie mówiąc już o innych.

Bądź co bądź, w r. 1643 Jan Poquelin, wbrew woli ojca i rodziny, zostaje aktorem, zmienia nazwisko i, ponieważ trupa Magdaleny Béjart w Paryżu utrzymać się nie mogła, przez lat właściwie piętnaście (1643—1658) pędzi żywot tułaczy na prowincyi. Badacze, przeważnie francuscy, usiłowali ułożyć całą Odyseję z jego wędrówek; wyszperali wszystkie niewątpliwe i wątpliwe ślady jego pobytu w miastach zachodniéj, południowéj i południowo-wschodniéj Francyi. W ciągu tego czasu Molier powoli wywalczył sobie moralne przewodnictwo nad trupą, przetrwał burzliwe czasy Frondy, zdobył niejakie uznanie, a nawet materyalnie się podźwignął, kiedy Fronda uciekła. Były to czasy ciężkich prób i walk, istotna szkoła życia dla przyszłego poety. Ustawiczne stykanie się z pospolitą rzeczywistością rozwinęło w jego umyśle ten realny, konkretny zmysł twórczy, który przenika wszystkie jego kreacye.

W roku 1658 przenosi się Molier z całą swoją trupą do Paryża; zbrojny w kilkanaście fars, przykrojonych podług miary włoskiéj, których sam był autorem (dwie z nich ocalały), i w dwie komedye spodziéwa się pozyskać dla siebie uznanie i powodzenie, czego już dawniéj dobijał się kilkakrotnie, ale nadaremnie. Rzecz to była niełatwa: trzeba było rywalizować z wyćwiczonemi trupami dworskiemi, które nowemu towarzyszowi nie były rade, a jego kompania zanadto pachniała prowincyonalnémi nałogami. Talent jednak poety mia

(1) Tak między innemi sądzi Moland, wydawca dzieł Moliera i Schweitzer, wydawca Moliere-Museum (I, 3 4).

(2) Lotheissen uwzględnia jedno i drugie; porów. str. 41.

wcześniéj lub późniéj odnieść zwycięstwo, pomimo zawiści współbraci artystów i pisarzów. Dobra, choć prowincyonalna trupa, oraz talent pisarski Moliera służyły za najdzielniejsze środki do walki. Z każdym nowym utworem zwycięstwo przybysza stawało się coraz widoczniejsze, aż wreszcie sam Ludwik XIV zaczął go jawnie osłaniać swoją powagą.

Zatamowana w ten sposób zawiść szuka sobie innego upustu. Sam Molier niemało w tém sobie zaszkodził. Od samego początku, zamiast bawić i śmieszyć publiczność obojętnemi farsami, wystąpił z krytyką, kierując ją przeciw różnym wadom społecznym, szczególniéj arystokracyi (w *Śmiesznych wykwintnisiach*) i drażnił ją pewnym liberalizmem pojęć moralnych. Liberalizm ten był poczęści wynikiem rozwolnionych obyczajów i przytępionego poczucia moralnego, co wyrobiło się w Molierze przez długie i poufałe obcowanie z kobiétami takiemi, jak Magdalena Béjart; poniekąd znowu był to objaw protestu przeciw ciasnéj i filisterskiéj pruderyi. Pierwsze utwory Moliera (farsy a poczęści i komedye) grzeszą indyferentyzmem etycznym. Nie było to zresztą nic wyjątkowego; ale kiedy nie znany parweniusz zaraz po przybyciu do Paryża wystąpił śmiało w obronie rozleglejszych i humanitarniejszych pojęć, kiedy naraziwszy się *śmiesznemi wykwintnisiami*, zaatakował samowolę władzy rodzicielskiéj (w *Szkole mężów*),—miarka się przebrała. Podrażnione namiętności i nałogowe uprzedzenia zwróciły się przeciw nieznanemu śmiałkowi z całą gwałtownością. Zaczęto szperać w moralnéj hipotece autora. Poufała zażyłość z aktorami, objaw lekkomyślnéj krewkości Moliera, stały się źródłem wszelakich domysłów, szkalujących paszkwilów. W tym właśnie czasie (było to w r. 1662) ożenił się poeta z Armandą, córką Magdaleny Béjart. Uchodziła ona za jéj młodszą siostrę, lecz wieść powszechna utrzymywała inaczéj—i utrzymywała słusznie. Małżeństwo z Armandą było dolaniem oleju do ognia; niejakiś nawet Montfleury, jeden z tuzinkowych pisarzów ówczesnych, podał skargę do króla, że związek Moliera z Armandą, córką jego dawniejszéj miłośnicy, jest kazirodny (1). Król skargę pominął milczeniem i zamanifestował się w ten sposób na korzyść oskarżonego; nie przeszkodziło to jednak rozszerzeniu się potwarzy i tysiącznym z tego względu przykrościom.

Wielbiciele Moliera usiłowali go wielokrotnie z téj potwarzy oczyścić. Niektórzy, jak np. Tachereau, opierając się na dokumen-

(1) Lotheissen (str. 142) zdaje się przypuszczać, że dotknięte tém małżeństwem aktorki, które także miały niejakie prawa do serca dyrektora (np. De Brie, Duparc), mogły w téj intrydze mieć udział.

tach urzędowych, utrzymywali, że Armanda była istotnie siostrą Magdaleny; jednakże gruntowna krytyka Loiseleura obaliła te wywody i dowiodła, że w metryce urzędowéj zeznania były fałszywe:—Było to jeszcze wtedy, kiedy młoda Magdalena cieszyła się względami jednego panka i spodziéwała się zostać jego żoną. Właśnie podczas długiéj nieobecności kochanka znalazł się anioł pocieszyciel, lecz z pewnością nie Molier, bo było to jeszcze przed jego przystąpieniem do trupy i Magdalena powiła córeczkę, do któréj ojcowstwa nieobecny panek nie miał żadnego prawa. Wypadało więc zatrzeć ślady niewiary przed jego powrotem—i oto, stara Béjart przyjęła na siebie winę swéj córki i przyznała się urzędownie do macierzyństwa Armandy. Wobec takiego stanu rzeczy, małżeństwo Moliera z Armandą, jako córką poprzedniéj jego miłośnicy, obudza pewien niesmak, jakkolwiek nie ulega wątpliwości żadnéj, że pogłoski, jakoby Armanda była córką Moliera (patrz *Elomire hypocondre*), należy uważać za oszczerstwo. Usiłowano poetę w jakikolwiek sposób uniewinnić. Lindau utrzymuje (str. 40), że na poetę nie pada stąd żadna plama. Inni zaczęli snuć nowe hipotezy. Scheffler poświęcił sprawie téj osobny artykuł (1), w którym usiłuje dowieść, że nie Magdalena Béjart była miłośnicą Moliera, ale jéj młodsza siostra Genowefa; że współcześni, poinformowani niedokładnie o życiu Moliera podczas wędrówek na prowincyi, przenieśli uczucie poety ku ostatniéj na Magdalenę i w ten sposób rzucili cień na czystość charakteru poety. Hipoteza ta, niezupełnie nowa, bo już przez Soulié'go wysnuta (2) nie została przez krytykę przyjęta (3), a Mahrenholtz nie uważa nawet za potrzebne nad nią się rozwodzić.

Z większém natomiast powodzeniem potrafili wielbiciele Moliera obronić go od innych zarzutów i wystawić w świetle bardzo korzystném.

Pominąwszy drobne wady i słabości, jak naprzykład pewną drażliwość i porywczość względem niektórych nieprzyjaciół—co łatwo daje się wytłómaczyć,—Molier wszędzie i zawsze okazuje się bezinteresownym i wspaniałomyślnym Szczególniéj w stosunku do chciwego ojca okazał to wielokrotnie; wspomaga go w tajemnicy tysiącém franków i trzyma w sekrecie dowody nawet wówczas, gdy po śmierci ojca rodzeństwo przystąpiło do podziału spadku. Tyle razy zarzucana mu niemoralność i bezbożność jest faktem niezaprzeczo-

---

(1) *Armande Béjart*; w Herriga *Archiv für das Studien der neueren Sprachen und Literaturen*, tom 61, rok 1879 str. 165—176.

(2) Soulié, *Recherches*, str. 58.

(3) W swoim czasie zbijał ją Loiseleur, *tamże*, str. 230 i następ.

nym, ale tylko w ciasnocie pojęć i pedanteryi samych oskarżycieli i nabożnisiów w rodzaju Tartufa. Molier przerastał ich umysłem i tylko dla tego ściągnął na siebie zarzuty, że patrzał z punktu moralności ogólno-ludzkiéj, że ponad formułki i pozory przekładał istotę rzeczy zarówno w naturalności jak i w religii. Mało przywiązywał wagi do formułek i obrządków religijnych, lubo je spełniał ze względów praktycznych; nigdy jednak nie występował przeciw zasadom ani etyki, ani objawienia.

III.

Lecz cóż dało powód do zarzucenia mu herezyi? Co uzbroiło przeciw niemu nietylko tych, którzy mogli być osobiście dotknięci przez poetę, ale nawet takiego Bossueta, Fenelona, a za nimi i dzisiejszych obrońców ortodoksyi (1). Potrosze wszystkie poważniejsze komedye, ale głównie Świętoszek i Don Żuan. Już w pierwszych chwilach pobytu Moliera w Paryżu, niechęć osobista, połączona z ciasnotą wyobrażeń, potrafiła w jego utworach (*Szkoła mężów*, *Szkoła kobiét*) upatrzyć wiele demoralizującego. Spisane artykuły obowiązków małżonki, które Arnolf podaje Agnieszce (w *Szkole kobiét*), wskazywano jako parodyą dziesięciorga przykazań; za same nawet tendencye poety potępiano, szczególniéj jego opozycyą przeciw samowoli powagi rodzicielskiéj i opiekuńczéj. Okrzyknięto go za libertyna. *Świętoszek* i *Don-Żuan* zdyskredytowały go zupełnie. W pierwszym upatrywano dążność do ośmieszenia pobożności, w drugim—głoszenie ateizmu. Źle zrozumiano, a raczej nie chciano zrozumiéć myśli poety i uderzano nań za to, że Don-Żuan jest wcielonym ateuszem; odgadywano prawdę, ale tylko w połowie i nie dostrzegano, że był to wierny wizerunek ówczesnéj arystokracyi dworskiéj. Wyrafinowany rozpustnik, zimny i okrutny panek wobec prostaczków, umiejący w razie potrzeby przysłonić się maską religijności, a w gruncie rzeczy zupełny niedowiarek, jest Don-Żuan typem nietylko moralnéj, ale i religijnéj nicości wyższego świata. Jest on tylko drugą, poprawną i rozszerzoną edycyą Tartufa.

I w Świętoszku Molier śmiało zdziera maskę obłudy religijnéj, i odsłaniając demoralizujące jéj skutki, staje w obronie zdrowéj moralności, która niekoniecznie potrzebuje chodzić w przepisanéj sznurówce, bo ta ją przygniata i wypacza, jak wypaczyła już Orgona i je-

---

(1) Tak naprzykład świeżo z tym samym zarzutem wystąpił Veuillot, *Molière et Bourdalone* Paryż, 1877.

go matkę, i oddaje na łup zręcznemu oszustowi. Nie jest przecież Molier jakimś libertynem; od wszelkich wyrozumowanych teoryjek i teoryj, jest on również daleki, jak i cały ten wiek, w którym żył. To objaw raczéj pewnego humanitarnego nastroju jego myśli i serca, wynik zdrowéj kompleksyi moralnéj, wypróbowanéj i uszlachetnionéj w walce z życiem. To trzeźwy, żadnemi uprzedzeniami niezamącony pogląd na życie, na naturę człowieka i jéj prawa. Wypowiada to poeta nieraz przez usta samych osób działających. Kleant w *Świętoszku*, może tu służyć za przykład. Na takie jednak postacie nie zwracano należytéj uwagi; natomiast krytyka współczesna i późniejsza chętnie czepiała się tych postaci, za których przekonania poeta nie mógł odpowiadać. Z tego, co mówi Kryzald w *Szkole kobiét*, łatwo możnaby wywnioskować, że poeta zachwala indyferentyzm moralny w stosunkach małżeńskiego pożycia. Lecz pytanie, czy można Kryzalda identyfikować z poetą? Dokładne rozpatrzenie się w idei komedyi przekonywa, że nie. Kryzald jest tylko kontrastem w stosunku do Arnolfa, kontrastem potrzebnym dla tego, żeby osobistość Arnolfa i myśl przewodnią komedyi lepiéj uwydatnić.

Był czas, kiedy poeta mógł zejść na manowce takiego indyferentyzmu: w początkach zawodu autorskiego. Jego farsy, o ile z pozostałych można sądzić o wszystkich, i początkowe komedye okazują to dowodnie. Autor bawi tu nieraz siebie i publiczność kosztem poczucia sprawiedliwości i moralności. Lecz były to czasy młodzieńczego fermentu, czasy aktorskiego tułactwa, niewyrobionego talentu i nieustalonych poglądów. Molier pozostawał jeszcze pod wyłącznym wpływem farsy włoskiéj, która podówczas panowała wszechwładnie i któréj hołdowali wszyscy komedyopisarze; pozostawał na łasce niewybrednéj publiki, któréj trzeba było dogadzać, a która o poczucie sprawiedliwości, przyzwoitości i moralności nie dbała zgoła. W późniejszych atoli utworach znika ten dwuznaczny charakter i poeta z zupełną świadomością celów i środków podejmuje śmiałą i wielostronną walkę nietylko w poważniejszych komedyach, ale nawet w doraźnych improwizacyach, w kompozycyach obstalunkowych, o ile na to czas i inne okoliczności pozwoliły. Dwie tylko sztuki z ostatnich lat życia poety okazują niejaki zwrot do młodzieńczego indyferentyzmu: *Jerzy Dandin* i *Psoty Scapin'a*, a poniekąd *Pourceaugnac* i *Uszlachcony mieszczanin*. Jeżeli gdzie, to tutaj właśnie napaści Roussa mają racyą: harmonia pomiędzy poczuciem moralném i wrażeniem estetyczném zatarta; widz śmieje się poniewoli, bo komizm Moliera porywa wszystkich z nieprzepartą siłą,—lecz śmiech nie przygłusza przykrego niesmaku. Bezwzględni wielbiciele Moliera próbowali już nieraz poetę w tym względzie obronić; wszel-

kie przecież naciągane argumentacye, jak np. Jacobsa (1), bezstronna krytyka musi odrzucić. Może ona tylko na usprawiedliwienie poety przytoczyć łagodzące okoliczności; pośpiech,—bo mocarz wszechwładny nie rozumiał, co znaczy woli jego nie wykonać,—wycieńczenie ustawiczną walką i tworzeniem, oraz inne przemijające okoliczności, jak naprzykład chwilowy brak nowości w repertuarze,—sprawiły, że te utwory grzeszą upośledzeniem poczucia moralnego.

Nie wynika stąd przecież, aby za przykładem Schlegla godność Moliera piętnować zarzutem niewolniczéj służalczości i jego zasady moralne przyrównywać do giętkości królewskiego kamerdynera.

Molier, podobnież jak całe społeczeństwo ówczesnéj Francyi, był monarchistą w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Powaga królewskiego majestatu jest dla niego świętością, a nawet drogoskazem; nigdy jednak do tego stopnia, żeby aż miał ubóstwiać słabostki i wady Ludwika XIV. Ci, co tak mniemają, opierają się na błędném zrozumieniu *Amfitryjona*. Powierzchowna krytyka widzi w téj komedyi cichą apologią miłostek królewskich poza granicami stosunku małżeńskiego (2). Sądząc z ironicznego tonu, w jakim tu Jowisz się wystawia, prędzejby można wnioskować wprost przeciwnie, że Molier odważył się tu zlekka drasnąć samego autokratę; jakoż, sztuka ta raz tylko i to prywatnie była przedstawiona na dworze (*en visite*),—dowód oczywisty, że upatrywano w niéj niemiłe aluzye do miłostek Ludwika XIV. Lecz taka zuchwałość ze strony poety byłaby niemożliwą, zwłaszcza, że władca francuski był jedyną potężną osłoną Moliera. Najprędzéj niéma w Amfitryonie żadnéj wyraźniéj, świadoméj tendencyi: jestto sobie igraszka dramatyczna, napisana dla śmiechu i humoru, nic więcéj.

Z tém wszystkiém, podobnież jak inni pisarze ówcześni, jest Molier zależnym od Ludwika; jest jego nadwornym komedyopisarzem, którego obowiązkiem jest przedewszystkiém bawić go i rozrywać, bo młody i uciechom świata oddany jeszcze monarcha, potrzebuje rozrywek, wesołości, festynów—i mieć je musi. Od tego jest Molier i tylko o tyle cieszy się względami samowładcy, o ile może nastarczyć jego wymaganiom; wszystkie inne względy, jakkolwiek nadawały Molierowi niejaką wartość w oczach Ludwika, były już podrzędnéj wagi. Tém się wprawdzie tłómaczy, dla czego skrępowany poeta tworzy farsy i lekkie komedye; które nie pod każdym względem zadowolą wykształcony smak krytyka; lecz nie należy zapomi-

(1) Jacobs *über Molière und die Klassiker aus dem Zeitalter Ludwigs XIV*, herausgegeben von Humbert. Bielefeld, 1879.

(2) Ostatnio wystąpił z tém zdaniem Lindau, tamże, str. 91—93.

nać, że tylko w tych warunkach mógł poeta stworzyć Świętoszka, Szkolę kobiét, Mizantropa, Don-Żuana i inne wyższego polotu komedye. Zresztą, tego samego wymagał i gust publiczności, z którym trzeba było liczyć się koniecznie, zwłaszcza, jeżeli się było komedyopisarzem i dyrektorem trupy jednocześnie (1). Powodzenie materyalne było nieodzownym warunkiem istnienia, a jak dalece smak publiczności był jeszcze niewykształcony, dowodzi tego choćby ta okoliczność, że kiedy lekkie farsy ściągały tłumy widzów, Mizantrop, jedna z najcelniejszych komedyi Moliera, nie miała powodzenia i trzymała się na scenie jedynie przez to, że poeta wystawiał ją w połączeniu z którąkolwiek ulubioną farsą. Łaska autokraty zapewniała Molierowi nietylko byt materyalny, ale co ważniejsza—roztworzyła przed poetą podwoje wyższego towarzystwa i była tarczą obronną przeciw tym wszystkim pociskom, któremi w niego godzono. Gdyby nie ta łaska, Molier, pomimo bystrego zmysłu obserwacyjnego, pomimo plastycznéj zdolności tworzenia, możeby nie poznał życia arystokracyi francuskiéj, a w takim razie nie stworzyłby Don-Żuana, Mizantropa i innych. Podobnym zasłonięty puklerzem mógł śmiało podejmować walkę z potężnym zastępem nieprzyjaciół zasad swych i dążności. I to tém śmieléj, że dążności poety zgadzały się najczęściéj z dążnościami króla, szczególniéj w pierwszych latach jego panowania. Obaj byli wrogami arystokracyi i naturalnemi przeciw niéj sprzymierzeńcami, chociaż przyczyny nienawiści były różne. Demokratyczne pojęcia Moliera, jego literacka opozycya przeciw możnéj arystokracyi, przeciw bucie i swawoli zdemoralizowanych panów, były Ludwikowi bardzo na rękę. Widziéć dumną i oporną niegdyś arystokracyą, oddaną na łup śmiechu teatralnéj publiczności, było dla Ludwika nie tylko potrzebą serca, w którém tkwiło jeszcze bolesne wspomnienie upokorzeń z czasów Frondy; widoki polityczne—potrzeba poniżenia i podkopania powagi szlachty, miały w komedyach Moliera broń wyborną i skuteczną.

Molier i Ludwik to dwaj sprzymierzeńcy, z tą jednakże różnicą, że pierwszy o tyle tylko korzystać może ze swobody działania, o ile drugi na to zezwala; zastrzeżenie co do własnych interesów nie sięga daléj, o ile to dotyczy Moliera. Mógł poeta wygłaszać filipiki przeciw pojedynkom—bo to się zgadzało z przekonaniem Ludwika. Mógł Ludwik osłaniać Moliera od napaści kleru i ortodoksyi, kiedy po wystawieniu Świętoszka podniosly się krzyki przeciw poecie, a niektó-

---

(1) Mahrenholtz, *Einige offene Fragen der Moliere—Kritik*, w *Zeitschrift für neufranzösische Sprache und Literatur*, II, str. 473, rok 1880

rzy chcieli go wraz z komedyą na stos wyprawić; mógł—bo nie widział w tém nic dla siebie niewygodnego, a jeżeli wystawienia Świętoszka na scenie zabronił, czynił to dla tego, żeby względom dyplomacyi uczynić zadosyć. Nie zobowiązywało go to jednak na przyszłość: nie mając żadnego poczucia estetycznego, Ludwik XIV patrzy na Moliera jako na wygodne narzędzie swéj polityki; niejednę myśl nawet poecie podsuwa—a wspólność przekonań politycznych ułatwia porozumienie się.

Z tém wszystkiém nie jest poeta skrępowany zupełnie. Pozostaje mu dosyć szerokie pole, dla autokraty obojętne, na którém może działać i walczyć z zupełną swobodą. Działanie to i walka Moliera ma nietylko negatywne znaczenie. Występując w obronie zasad humanitarnych, nie jest on bynajmniéj jakimś doktrynerem, ani rewolucyonistą; nie chce burzyć, ani obalać; pozostawiając społeczeństwo w tych warunkach, w których ono zostaje, pragnie tylko wyplenić chwasty zdziczałe. Widzi je wszędzie, i zrzadką bystrością uchwycić umie. Nie zaślepiony doktrynerskiemi uprzedzeniami, jeżeli moralny upadek szlachty maluje, to i zdrowszemu mieszczaństwu przywary jego szczerze i bez ogródek wytyka. Bez litości szydzi z Dandinów i wydaje na pośmiewisko tych, co wiedzeni próżnością, pogardzają rzetelném stanowiskiém i gwałtem pragną się wcisnąć pomiędzy szeregi wybrańców urodzenia (*uszlachcony mieszczanin*).

IV.

Pomiędzy Molierem i Szekspirem zachodzi wielkie i wielorakie podobieństwo: ta sama w obydwóch zdolność do konkretnego, realnego malowania natury ludzkiéj, to samo głębokie rozumienie komizmu, ta sama wreszcie umiejętność zużytkowania nieudolnych pomysłów i surowych materyałów, nagromadzonych pracą poprzedników.

Już początkowe utwory Moliera (*Roztargniony*, *Przekory miłośne*, a nawet wcześniejsze farsy), którym ze stanowiska sztuki tyle zarzucić można, okazują w młodym poecie bystrego spostrzegacza natury ludzkiéj i wiernego jéj malarza. Znajdują się w nich pojedyńcze postacie i sceny tak wierne, iż nic nie pozostawiają do życzenia. Z każdą następną komedyą składa poeta dowody rozwijającéj się zdolności. Postęp w tym względzie jest wszędzie widoczny, a kiedy z wiekiem dojrzalszym i szerszą znajomością świata i ludzi stanął u szczytu poetyckiego zawodu, umiał tworzyć kreacye żywe i pełne prawdy psychicznéj z tą samą subtelnością, co i Szekspir. Ci, którzy zarzu-

cają mu, że w jego komedyach napotykają się tylko konwencyonalne figury, sądzą bardzo jednostronnie i powierzchownie. Molier, jak i każdy inny poeta, jest przedewszystkiem dzieckiem swego czasu i swego narodu: jeżeli niektóre jego postacie grzeszą konwencyonalizmem to dla tego, że konwencyonalizm należał do wybitnych cech życia towarzyskiego owych czasów. A wszakże po za owemi konwencyonalnemi postaciami stoi cały szereg postaci żywych i prawdziwych po wsze czasy. Przypatrzmy się chociażby kobietom molierowskim. Jakaż tu rozmaitość rzeczywistych kontrastów! Obok najwznioślejszych i najdelikatniejszych poruszeń serca i umysłu, zimny egoizm, wyrafinowana kokieterya; obok szczeréj naiwności lub biernéj powolności dziewczęcia, śmiała oporność dojrzałéj kobiéty, co umie bronić praw swego serca lub własnego interesu. A pomiędzy temi kontrastami całe szeregi postaci przejściowych, oddanych z zupełną subtelnością malowidła. Nie wyczerpuje to jeszcze bogatéj rozmaitości: zwróćmy uwagę na to, że poeta kreśli postacie ze wszystkich sfer i kierunków życia (1).

Pominąwszą drobne, gdzieniegdzie spotykające się szczegóły, zarzucać kreacyom Moliera brak prawdy psychicznéj może tylko ten, kto źle zrozumiał jego komedye. Obrawszy niewłaściwe stanowisko, krytyk widzi zagadkę psychiczną tam, gdzie jéj wcale niema, choćby np. w *Szkole kobiét* lub w *Świętoszku*. W pierwszéj tylu już krytyków upatrywało pewien oddźwięk niesnasków małżeńskich samego poety z Armandą, która—jak to badania okazują—złamała mu wiarę. Podejrzliwy Arnolf ma wyobrażać samego Moliera. Przypuszczenie to, może do pewnego stopnia i trafne chociaż komedya ta została napisana jeszcze w pierwszym roku małżeńskiego pożycia z Armandą, jest zupełnie zbyteczne, albowiem wcale nie wyjaśnia znaczenia saméj komedyi. Ażeby ją zrozumieć, nie potrzeba za przykładem Lindaua domyślać się wszędzie spowiedzi autora. Należy raczéj pamiętać o tém, że źródło komizmu tkwi nie w samym jedynie charakterze ludzkim: komizm wyższego rzędu polega raczéj na kolizyi charakteru z rzeczywistością. W tém rozumieniu komizmem będą nietylko słabości i przywary natury ludzkiéj w zwykłem rozumieniu, ale wszelka jednostronność i przesada. Arnolf jest komicznym nie sam przez się, bo skądinąd jest to człowiek zacny i prawy, i jako taki nie zasługuje na wyśmianie, ale dla tego, że wpada w przesadny pesymizm i występując do walki z rzeczywistością,

---

(1) Już poprzednio pytanie to szczegółowo rozbierał Mahrenholtz w osobnéj rozprawie: *Die weiblichen Charaktere in Molières Komödien* w Herriga, *Archiv* etc. Tom 62 str. 255—272, r. 1879.

przeliczył się: nie wziął w rachubę słabości natury kobiecéj i potęgi jéj miłości. Surowy rygorzysta Alcest (w *Mizantropie*), posuwający się do bezwzględnego potępienia wszystkich, staje podobnież w kolizyi ze światem, a kolizya ta jakkolwiek komiczna, podnosi się do wysokości prawie tragicznéj.

Wobec takich zalet, łagodniéj należy sądzić drobne wady i uchybienia, jakich w komedyach Moliera krytyka wytknęła bardzo wiele. Naciągane sytuacye, poświęcenie prawdy dla efektu, a nadewszystko mechaniczne rozwiązanie węzła komicznego, oto są zarzuty, których nie usprawiedliwi żaden wielbiciel Moliera. Nie są jednak te wady ani tak wielkie ani tak powszechne, żeby dla nich stawiać Moliera niżéj od Plauta — jak to czyni Schlegel — albo od dramaturgów hiszpańskich — jak to czyni Schack. Obaj ci krytycy, z różnych zresztą powodów, obniżają wartość Moliera do poziomu nieudolnego naśladowcy, a nawet plagiatora.

Zarzut plagiatorstwa ciężył na Molierze oddawna; już współczesna krytyka niechętnych pismaków wytykała mu to ustawicznie, chociaż oszczędzała innych, co wyzyskiwali cudze pomysły. Lecz co wolno było czynić zawistnym niedorostkom nie uchodzi to w krytyce poważnéj i bezstronnéj. Że Molier korzystał ze wszystkiego, temu nie można zaprzeczyć, lecz korzystał tak samo jak Szekspir. Ażeby należycie ocenić stosunek utworów molierowskich do ich źródeł, nie dosyć zaznaczyć ogólne podobieństwo treści lub pojedyńczéj sceny; należy je porównać szczegółowo i odważyć różnicę w poczuciu artystycznem, w dosadności prawdy fizycznéj, w jędrności dowcipu. Takie porównanie przeprowadzone z całą dokładnością, okazuje bezwarunkową wyższość Moliera (1).

Najprzód zapożyczenia ograniczają się w większéj części na ogólnym zarysie intrygi, z usunięciem pojedyńczych osób, połączeniem kilku scen w jednę i tym podobnemi skróceniami lub zmianami. Zmiany te i skrócenia wprowadza poeta dlatego, żeby fabule komicznéj nadać większą giętkość i wyzyskać ją bardziéj dla prawdy i sztuki. Najczęściéj przecież zapożycza Molier pojedyńcze tylko sceny, a nawet bardzo drobne ustępy i to nietylko z dramaturgów hiszpańskich lub rzymskich, ale z romansów współczesnych, średniowiecznych nowelek, dykteryjek i wszelkich innych źródeł. Niema komedyi, do którejby się nie dały wskazać jakieś źródła i nasz poe-

---

(1) Stosunek Moliera do komedyopisarzów rzymskich i hiszpańskich rozważał Manrenholtz już dawniéj w osobnych rozprawach: *Molière und die römische Komödie* (Herrig, *Archiv* i t. d., tom 56, str. 241—264, rok 1876) i *Molière in seinem Verhältnisse zur spanischen Komödie* (tamże, tom 60, str. 284—294, rok 1878).

ta, podobnież jak Szekspir nic z fantazyi nie wysnuł; tak samo jak Szekspir zapożycza on wątku ze świadomością psychologa i artysty. Jako psycholog umié bezbarwnym, szablonowym postaciom poprzedników swoich nadać werwę życia i konsekwentnie charaktery ich przeprowadzić; jako artysta — poziome, a nawet wstrętne pospolitości podnieść i uszlachetnić, akcyą skupić i ożywić, efekt spotęgować. Schlegel, który szczególniéj względem Moliera niesprawiedliwym się okazał, nie zwrócił oczywiście uwagi na to, o ile Harpagon przewyższa Eukliona, o ile *Szkoła mężów* głębiéj sięga myślą niż *Bracia* Terencyusza.

Podobnież niesprawiedliwym okazał się i Schack (1), zdaniem którego *Szkoła mężów*, *Miłość doktorem*, *Doktór z musu*, *Sawantki*, są to tylko nieudolne kopie oryginałów hiszpańskich. Uniesiony predylekcyą dla swojego przedmiotu, widzi Schack jednostronnie i popada w te same błędy co i Schlegel. Gdzie więcéj prawdy i artyzmu, gdzie głębsze ideje: w *Acero de Madrit* Lope de Vegi, czy w *L'amour médicin* Moliera; w *Melindres de Beliza*, czy w *Femmes savantes*? A wszakże są to komedye, w których Molier najwięcéj zawdzięcza pierwowzorom hiszpańskim! Jeżeli bezstronność odda tu zawsze palmę pierwszeństwa Molierowi, to cóż mówić o wyższości dramatów hiszpańskich tam, gdzie zapożyczenia sprowadzają się do słabych reminiscencyj, lub podobieństw bardzo ogólnéj natury?

*
* *

Do takich wyników doszedł Mahrenholtz w swoich studyach nad Molierem. Ostrożny aż do zbytku w kwestyach biograficznych, staje się on stanowczym sędzią, ilekroć ma do czynienia z literacką działalnością poety. Pod jego piórem stanowisko i znaczenie Moliera w zupełnie inném przedstawia się świetle.

Rzecz godna uwagi, że i Lotheissen, pisząc zupełnie od Mahrenholtza niezależnie, do tych samych dochodzi rezultatów. Nie umie on jednak walczyć tak przekonywająco, jak Mahrenholtz, raz dla tego, że jest mniéj szczegółowy, czasem nawet zanadto pobieżny i tylko niektóre utwory dłuższemu poddaje rozbiorowi; powtóre i dla tego, że po części zostaje pod wpływem metody Lindau'a i dosyć łatwowiernie przyjmuje za prawdę szczegóły wątpliwe; wreszcie nie zgłębiał widocznie przedmiotu tak gruntownie i tak wszechstronnie.

---

(1) Schack, *Geschichte der dramatischen Literatur und Kunst in Spanien*. II, 685 III, 448.

Ani wątpić, że krytyka, która tak pochlebnie w ogólności odezwała się o pracy Lotheissena, z większém jeszcze uznaniem oceni monografią Mahrenholtza, chociaż wytknie mu z pewnością niektóre usterki. Za największą poczytać mu należy niejaką przesadę w sądach artystycznych. Jakkolwiek bowiem Mahrenholtz stara się utrzymać na stanowisku bezstronném i na wady poety ślepym ani pobłażliwym być nie chce, nie na wszystkie jego sądy pisać się można, a zalety utworów molierowskich występują wybitniéj, niż ich wady. Wynik to nie tyle predylekcyi autora i jednostronnego uwielbienia, ile apologicznego tonu, w jakim cała monografia została zredagowana. Pomimo bogatéj już literatury, Mahrenholtz wciąż jeszcze uważa za potrzebne zwalczać niekorzystne dla Moliera uprzedzenia. Potrzebę tę uczuwa on daleko silniéj niż Lotheissen, który znów od spornych kwestyi trzyma się zdaleka; nie są mu one obce, lecz się niemi nie przejmuje w takim stopniu jak Mahrenholtz. To téż daleko spokojniéj traktuje swój przedmiot, lecz za to nie osiąga tego skutku, jaki osiągnąćby mógł. Lotheissen bowiem należy do stanowczych wielbicieli Moliera i już na wstępie bardzo wyraźnie oświadcza się na jego korzyść. Pomimo to, dla tego, kto ile tyle, zna kwestye sporne, książka Lotheissena wyda się gołosłowną apologią; na odparcie tysiącznych zarzutów, które oddawna ciążą na pamięci i na utworach Moliera, czytelnik nie znajdzie w niéj dostatecznych argumentów. Wysoko podnosi on zalety Molierowskich komedyi, lecz szczegółowemu rozbiorowi poddaje tylko te, które należą do rzędu tak zwanych arcydzieł, i dotyka prawie wyłącznie ich strony artystycznéj i stosunku do współczesnego otoczenia. Inne strony albo zupełnie pomija, albo zaledwie zlekka potrąca i na tysiączne wątpliwości nie daje żadnéj odpowiedzi. Inaczéj Mahrenholtz: w jego pracy wszystko uwzględnioném i rozpatrzoném zostało; niema kwestyi, któréjby autor monografii mniéj więcéj szczegółowo nie wyłożył, genezy jéj nie przedstawił, a następnie według swego widzenia rzeczy nie rozstrzygnął, lub wątpliwości nie zaznaczył. Z tego stanowiska jeden mu tylko możnaby poważny uczynić zarzut: Mahrenholtz nie postarał się o scharakteryzowanie komedyi molierowskiéj jako dzieła sztuki. Wprawdzie nie sam Molier pracował nad stworzeniem téj komedyi, lecz nikt inny nie potrafił jéj nadać tak skończonéj i charakterystycznéj fizyonomii; on był ostatecznym mistrzem, co powagą swoją uświęcił pewne stałe formy komedyi nowożytnéj, formy, które przetrwały w nienaruszonéj harmonii prawie do naszych czasów. Pomijając tę charakterystykę Mahrenholtz tylko w połowie wywiązał się z zadania, jakie sobie postawił w ostatnim rozdziale (322—339), w którym zestawia tłumaczów Moliera i jego naśladowców po za gra-

nicami Francyi, a więc w Anglii, w Niemczech, w Hiszpanii i we Włoszech; inne narody zbywa ogólnikiem, tłómacząc się brakiem źródeł lub nieznajomością języków. Zestawienie to bardzo pouczające i wymowne zyskałoby wiele, gdyby w liczbie naśladowców Moliera znaleźli się nietylko ci, którzy zapożyczali od niego fabuły lub konceptów, ale i ci, którzy byli wyznawcami jego metody artystycznéj. Imiona ich (np. Goldoni) figurują wprawdzie na liście, ale tylko o tyle, o ile niektóre ich komedye zbliżają się treścią do komedyi Moliera. Tego nie dosyć i wpływ Moliera na późniejszych komedyopisarzów nie odsłania się dla tego w całéj doniosłości, co w monografii tak gruntownéj i tak wyczerpującéj powinno było znaleść właściwe miejsce.

Edward Grabowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Memorie storicho-critiche archeologiche dei santi Cirillo e Metodio e del loro apostolato fra le genti slave per Domenico Bartolini, prete del titolo di S. Marco, cardinale della santa romana chiesa, prefetto della sacra congregazione dei riti. Roma, tipografia Vaticana, 1881, 8⁰ maj, str. XXIX i 254.

19 Listopada 1881 r. pojawił się w „Wiener-Algemeine-Zeitung“ telegram z Rzymu natępującéj treści: „Kongregacya obrzędów rozsyła wszystkim biskupom słowiańskim wydane przez nią na pamiątkę tegorocznéj pielgrzymki słowiańskiéj dzieło o obu apostołach Słowian Cyrylu i Metodym.“ Dzieło, o którém w telegramie mowa, jest to mianowicie, którego tytuł wypisany powyżéj brzmi w dosłownem tłomaczeniu: „Wspomnienia historyczno-krytyczne archeologiczne o świętych Cyrylu i Metodym i o ich apostolstwie w pośród narodów słowiańskich“ i którego autorem w telegramie nie wspomnianym jest kardynał Dominik Bartolini. Wydaném ono zostało jeszcze w końcu lipca r. z. (więc już w parę tygodni po skończeniu pielgrzymki, uczestnikom któréj jest dedykowane), z powodu jednak wyjazdu autora z Rzymu rozesłanie wstrzymane zostało na kilka miesięcy, dla tego téż i ja nie mogłem go dostać za méj bytności tamże. Otrzymawszy je dopiéro teraz za łaskawém 'pośrednictem prałata Meszczeńskiego, zdaję krótką sprawę, która tembardziéj może pożądaną będzie, gdy dzieło, o ile wiem, nie znajduje się w handlu księgarskim.

Przedmowa jego poświęcona jest przeglądowi źródeł, jakie nam się z przeszłości pozostały do historyi obu apostołów. Rozpatruje więc w niéj autor tak zwane życia albo legendy o tych świętych: *włoską* (którą nazywa *rzymską*, dla tego że pisaną była przez jednego z sąsiednich Rzymowi biskupów—Gauderyka z Velletri), *morawską*,

czeską, *pannońskie* i *bulgarską*, charakteryzując źródłową wartość każdéj z nich i przedewszystkiém pierwszéj, oddając jéj pierwszeństwo, jako pisanéj przez współczesnego (korzysta autor z wydania ich przez J. A. Ginzel'a w „Geschichte der Slavenapostel Cyrill und Methodund der slavischen Liturgie," Wiedeń 1861), robi przegląd pozostałych dokumentów, wydanych razem przez tegoż Ginzel'a w „Monumenta epistolaria de ss. Cyrillo et Methodio agentia" i w „Starine," (wydawanéj przez południowo-słowiańską akademię nauk i umiejętności) i przytacza inne dzieła i rozprawy, z których czerpał różne wskazówki, jako to Assemanni'ego, Martynowa, Balana, Pressutti'ego, Szafarzyka, Račkego, Strossmayera, Kojałowicza, Bielskiego, Rettla i kilku innych tylko katolickich pisarzy, w samym tekście tylko wspomnianych.

Rozdział I zawiera pierwsze wiadomości o Cyrylu i Metodym, apostolskie ich prace u Chazarów, w Bulgaryi i na Morawie, przybycie ich do Rzymu, śmierć i pochowanie tamże Cyryla. W rozdziale II autor traktuje o powrocie Metodego do Morawii, spotykanych przeciwnościach i poniesionych przez tegoż prześladowaniach, powtórne powołanie go do Rzymu przez Jana VIII i ponowne zatwierdzenie przez stolicę apostolską liturgii słowiańskiéj; w trzecim wreszcie nawrócenie się Czech, opowiadanie ewangielii „wielu słowiańskim narodom i założenie kościołów," powrót do Morawii, śmierć i pogrzebanie.

Autor nie pisze właściwie historyi apostołów w sposób ściśle naukowy, tak jakbyśmy to w téj kwestyi przypuszczali, rozbierając krytycznie każdą, znajdującą się w źródłach wiadomość, wyciągając wnioski tylko z pewnych, rozpatrując wszystkie zarzuty lub hipotezy innych autorów (1), osobliwie przeciwnego zupełnie obozu; układa on swoje opowiadanie z tego tylko co się znajduje w dwóch właściwie źródłach: legendzie włoskiéj i listach papieżów, które to dwa źródła *in extenso* w opowiadaniu poznać można, a w przypiskach także *in extenso* w ich oryginalnym łacińskim języku, z innych źródeł bierze zaś to tylko, co nie jest w sprzeczności widocznéj lub logicznéj z temi dwoma, ani téż z jego stanowiskiem, jako autora, którego nie ma co zaznaczać, domyśli się go bowiem każdy, i celem dzieła: wykazać, że Cyryl i Metody byli apostołami *wszystkich* słowiańskich narodów, co było także przewodnią myślą encykliki z 30 września

(1) Sporne kwestye autor traktuje rzadko i albo powierzchownie albo wymijająco przytaczając argumenty jednéj i drugiéj strony a sąd pozostawiając czytelnikowi, np. str. 81—84, 140—141.

1880 r. któréj za naukowy fundament i usprawiedliwienie ma ono służyć. Pisząc w roku zeszłym (Ateneum z września 1881) sprawozdanie o jedném z jéj wydań podałem w wątpliwość znajdujące się w niéj twierdzenia o założeniu przez Metodego biskupstw we Lwowie i Kijowie, przypisując je mylnym informacyom kardynała Bartolini, który, jeżeli sam encykliki nie skomponował, to musiał zapewne dostarczyć do niéj materyałów, gdy więc niniejsze jego dzieło otrzymałem, z największém zajęciem czytałem to, co się w niém mówi o dwóch wspomnianych kwestyach i przekonałem się, że dostojny autor złych informacyj nie miał, tylko za nadto uniosła go fantazya, bo aż do niepozwolonego przez logikę wnioskowania i do przypuszczeń żadnemi a żadnemi nieusprawiedliwionych danemi.

Co do pierwszéj kwestyi,—założenia przez Metodego biskupstwa we Lwowie, to autor dosłownie tak pisze na str. 151—153 „Metody spełniając swoją misyę w ziemiach zamieszkałych przez Słowian, przedarł się do Galicyi albo Rusi, albo Rusi Czarnéj, albo Rusi Małéj (!) i, utworzywszy tam liczną chrześciańską gminę, założył w Haliczu biskupstwo. Aczkolwiek papież Leon XIII w swojéj rozgłośnéj encyklice *Grande munus* w kwestyi założenia tego biskupstwa poszedł za tradycyą, podtrzymywaną przez niektórych pisarzów (ależ których ?!), nie zbrakło z różnych stron krytyk, które to założenie biskupstwa zbijały. Lecz chociaż tego nie dowodzi żaden historyczny dokument, atoli tradycya ludu galicyjskiego (gdzie i przez kogo spisana ?!) utrzymuje jako rzecz niewątpliwą, *że Metody założył* (1) stolicę biskupią w Haliczu, który w owym czasie był znaczném miastem i stolicą Rusi (w IX wieku!) a gdy potém upadł, stolica biskupia przeniesioną została do Lwowa, tak iż dzisiejszy arcybiskup grecko-rusiński tytułuje się jeszcze *archiepiscopus Halicensis*. Sławny A. K. Pietruszewicz, kustosz kapituły metropolitalnéj św. Jura we Lwowie, bardzo biegły w rzeczach słowiańskich, chociaż przyznaje, że z żadnego dokumentu historycznego nie wypływa, ażeby św. Metody opowiadał ewangelię w Galicyi i tam założył pierwszorzędną stolicę, jednakże potwierdza, że wszyscy uważają za jak najbardziéj ugruntowaną tradycyę, że to *uczynił jeden z uczniów jego* (2). Lecz w takimże wypadku, pomijając aksiomat prawny, że kto robi jakąś rzecz za pośrednictwem drugiego, rozumiéć należy, że przez niego samego zrobioną została; uznajemy za fakt pewny w starożytnéj hierarchii kościelnéj, że stolica Aleksandryjska między patryarchatami trzymała bezpośrednio miejsce po stolicy Rzymskiéj, dla tego, że była

(1) Te wyrazy przezemnie podkreślone.

(2) Podkreślone przezemnie.

założona przez Piotra z polecenia danego przezeń uczniowi swemu Markowi. Tak téż jeżeli według tradycyi miejscowéj stolica Halicka została założona przez którego z uczniów Metodego z polecenia danego przez niego samego (gdzież na to dowód?), jakże można będzie wątpić o tém, mając przed oczyma przykład ze stolicy Aleksandryjskiéj, założonéj przez Piotra za pośrednictwem jego ucznia Marka, że stolica Halicka, pierwsza w Galicyi, nie była założoną przez Metodego, chociaż za pośrednictwem jednego z jego uczniów?"

Taki wywód, gdyby spadł na słuchaczów z kazalnicy, byłby może więcéj przekonywający, niż gdy stoi czarno na białém; zrobiwszy nad nim kilka uwag w nawiasie, pozwalam sobie jeszcze dodać, że autor zapomniał o rzeczy dosyć kapitalnéj: owego ucznia Metodego zrobić biskupem, bo biskup tylko może założyć biskupstwo, gdyż tak chce prawo kanoniczne i gdy to zawsze, według słów samego autora (str. 155), praktykowane było przez apostołów (!) i ich następców.

Wywód co do założenia biskupstwa w Kijowie jest słabszy, mimo że — jak powiada autor— na stwierdzenie tego faktu mamy więcéj niż zwykłą tradycyę. Jeszcze na początku dzieła autor, mówiąc o misyi Cyryla u Chazarów, kreśli mapę geograficzną, według Spruner'a i Stieler'a, za obszerne nadaje granice państwu Chazarskiemu, bo od ujścia Prutu i po nim w górę aż do źródeł, następnie przez Podole, Wołyń do ujścia Prypeci, potém po Dnieprze poniżéj Smoleńska przez Kaługę, Moskwę, Razań, między Tambowem i Penzą do Saratowa i ztąd po Wołdze, brzegiem morza Kaspijskiego, przez góry Kaukazkie do morza Czarnego, czyli innemi słowy, jak sam wylicza, 24 dzisiejsze gubernie południowéj i środkowéj Rosyi (str. 6 i 154); takie granice, jak się zdaje, nakreśla autor w tym celu, ażeby Kijów jako tako wypadał w środku chazarskiego państwa; mniema bowiem autor, ale zawsze niewiadomo na jakiéj podstawie, że Kijów sam albo téż to miejsce, w państwie Chazarów (mimojazdem zaznaczam, że autor uważa Chazarów za Słowian albo téż za naród słowiańskim mówiący językiem, gdyż na str. 9 — 10 powiada: „mowa Chazarów, która była słowiańską" — favella dei Kazari, ch'era la Slava) pryncypalne, na którém Kijów stoi, było środkowym punktem działalności apostolskiéj Cyryla u Chazarów i że Cyryl, powracając do Konstantynopola, nie mógł założyć w Kijowie biskupstwa, gdyż sam biskupem nie był, ale zostawił na swém miejscu kilku księży, następnie zaś opowiada (str. 155), że „Cyryl, udając się wraz z bratem do Morawii dla opowiadania ewangelii, nie mógł interesować się Kijowem, jako nie mający jeszcze biskupich święceń i niezbędnéj władzy. Gdy zostali powołani do Rzymu, otrzymali tam biskupie

święcenia i Cyryl wkrótce potém umarł. Owóż będzie bardzo prawdopodobném, że Metody, mając sobie daną przez papieża Adryana II misyę do wszystkich Słowian z wysokim tytułem legata a latere, potwierdzonym mu jeszcze przez Jana VIII, wizytując wszędzie owe narody, odwiedził także Chazaryę, zroszoną przez brata potem apostolstwa, i w Kijowie, który się stał miastem przodującém, założył stolicę biskupią. Ten sąd potwierdza się przez fakt, że Kijów zawsze był uważany za metropolię kościelną całéj Rusi (Russia) nawet wówczas, kiedy Rosyanie w czasie późniejszym zajęli go i wraz z całą Chazaryą przyłączyli do wielkiego cesarstwa rosyjskiego." Ne basta. Tegoż rozumowania się trzymając, można sluszniéj jeszcze dowieść, że Metody założył biskupstwo i w Astrachaniu (Balangiar) lub Białéj Wieży (Sarkel), które ongi były ich stolicami.

Wiele nowych dla zajmujących się historyą Cyryla i Metodego wiadomości zawiera rozdział IV, w którym autor zbiera wszystkie świadectwa, tyczące się pochowania i grobu Cyryla w Rzymie, i opowiada historyą poszukiwań (1) w bazylice św. Klemensa dla odszukania relikwi Cyryla; zestawiając tam również niektóre dane, przypuszcza nawet, że i kości Metodego przeniesione zostały do Rzymu i obok szczątków brata pochowane; świadczy o tém Baroniusz, jako o rzeczy świeżo słyszanéj, a co do czasu wcześniéj jeszcze (bo w roku 1580) list Rudolfa II do Grzegorza XIII, popierając prośbę Stanisława Pawlowskiego, biskupa ołomunieckiego, o przeniesienie relikwi Cyryla i Metodego na Morawię; list ten jednak przezemnie po raz pierwszy ogłoszony (w ołomunieckiém czasopiśmie „Koleda" z 20 czerwca 1881, nr. 18, str. 285—286 i w Ateneum z września 1881 str. 573), autorowi nie jest znany, a byłby zapewne bardzo pożądany, jako potwierdzający jego przypuszczenie.

Dodatek do dzieła stanowi rozprawa o starożytnym obrazie ze starosłowiańskiemi napisami, przechowywanym w bazylice św. Piotra w Rzymie, o którym pisali już poprzednio Jan Kukuljević Sakciński i Franciszek Rački; pierwszy z nich odnosi ten obraz do IX wieku i mniema, że był malowany przez Metodego lub przynajmniéj przezeń ofiarowany na pamiątkę podróży jego do Rzymu; drugi zaś, że pochodzi z czasów późniejszych, XIII lub XIV wieku; to ostatnie zdaje się być pewniejszém, bo opiéra się na rozbiorze napisu; kardynał Bartolini zdania Račkego nie zbija, przechyla się jednak do zdania Kukuljevića, opierając się na orzeczeniu jednego z artystów

(1) Mylnie mię poinformował jeden z zakonników irlandzkich od św. Klemensa, jakoby poszukiwań tych nie robiono; porównaj cytowane sprawozdanie w Ateneum z września 1881, str. 573.

rzymskich (Lais'a), który, obejrzawszy obraz, orzekł, że z IX pochodzi wieku, i na późniejszych świadectwach, które mówią tylko, że to jest antiquissima imago.

Pisaném jest dzieło stylem „gładkim i prostym," jaki za odpowiedni do rzeczy autor uważa; są jednak ustępy, w których obok retorycznych figur widać ożywienie i oratorski zapał, jak np. str. 197—198, 206—208, lub w których przeciwnie przeważa ton religijno-kaznodziejski, jak str. 17, 24, 40, 43 i in., co pochodzi zapewne z bezpośredniego wpływu starych legend, z których autor czerpie. Wydanie jest bardzo piękne i korekta staranna; poprawić należy omyłki w imionach własnych na str. 57: *Rumiantsoviani* zam. Runieantsoviani, *Vostokov* zam. Votokov, 157 *Wijuk Kojałowecz* zam. Wünkkoialowicz, 162 *Zagrabia* zam. Zagabria i 194 *Olomucense* zamiast Omolucense. *Teodor Wierzbowski.*

Carlo Malagola. I polacchi in Bologna. Bolonia 1881, 8-a, str. 22.

Szkic powyższy, który najpierw drukowany był w Noworoczniku bolońskim (Strenna bolognese) na rok 1882, a potém wyszedł w osobnéj odbitce, traktuje przedmiot zupełnie nowy i wielce ciekawy, albowiem poświęcony jest wspomnieniu profesorów i studentów polskich uniwersytetu bolońskiego w XIII—XVII stuleciach, w końcu zaś tych znakomitych polaków od Skotnickiego do Mickiewicza, którzy czas jakiś w Bolonii bawili i którzy pozostawili tam ślady swojéj bytności; o wielu téż współziomkach, którzy w literaturze naszéj lub historyi znane posiadają imię, dowiadujemy się jakiegoś nowego szczegółu, otrzymujemy o nich nową datę.

Żałować jednak wypada, że niniejsza praca p. Malagola traktowana jest bardzo pobieżnie, dorywczo, bez zadosyćuczynienia wymaganiom naukowéj gruntowności i ścisłości; najprzód bowiem autor nie opisuje i nie zawsze cytuje dokładnie źródła; przytacza imiona i nazwiska, które niewiadomo czy do polskich słusznie zaliczyć można (np. Martino Faxius, Giacomo Marcin str. 5, Luca de Apolonia str. 10); traktuje rzecz bez należytego chronologicznego porządku, osobliwie w rozdziale o studentach nie opatrzył swéj pracy niezbędnym spisem nazwisk; nadewszystko zaś mylnie poodczytywał imiona własne (np. str. 8 Sdzelai, Sdgslai; str. 11 Wamieniez, Ferlej. Dobrzgn; str. 12 Inrithwianus, Cioleh; str. 14 Ogoriczyk; str. 15 Robezyce; str. 16 Picher) tak nawet, że trudno się domyśleć, jakby one prawdziwie brzmieć powinny np. str. 8 Mirgineingen, Chb, Ghyseg; str. 11 Zadorarcel i inne.

Podobno jeden z naszych literatów podjął się przerobić, albo opracować po polsku szkic p. Malagola i w tym celu sprawdza na miejscu te same źródła. Byłoby do życzenia, ażeby, poprawiając wszystkie błędy poprzednika, podał także wiadomość o owych uniwersyteckich *Rotuli*, *Libri Partitorum* itd.. zrobił z nich i ogłosił jeżeli nie wyciągi, to przynajmniéj ważniejsze dokumenty, jak np. wspomniane przez p. Malagola na str. 20 pozwolenie uniwersyteckiego senatu z r. 1603, wydane Antoniemu Riati, na założenie w Bolonii konwiktu dla polaków.

Teodor Wierzbowski.

La langue des Tziganes slovaques par le Dr. Antoine Kalina, professeur-agrégé a l'université de Léopol. Posen, J. K. Żupański, éditeur, 1882. 8[0] str. 111.

Język Cyganów jest jedynym dyalektem *indyjskim*, jaki od kilku już wieków żyje w Europie. Stosunek jego i innych, obecnie w Azyi żyjących, dyalektów indyjskich do starego języka Indów, zwanego *sanskrytem*, jest mniéj więcéj ten sam, co stosunek dzisiejszych języków *romańskich* do staréj łaciny klasycznéj. Języki romańskie, jak włoski, francuski, hiszpański, portugalski, mołdawski, powstały na tle łaciny ludowéj;—podobnie i obecne języki indyjskie, jak: Hindustani, Bengali, Sindhi, język Cyganów, są niejako dalszym rozwinięciem się starych dyalektów ludowych, zwanych *prakrytem*. Rozumie się, że tak w romańskich, jak w indyjskich językach mnóstwo jest wpływów obcych, które powstają zwykle przez zetknięcie się z narodami, mówiącymi innym językiem. To téż i w mowie Cyganów obok tła indyjskiego znajduje się liczne ślady języka tych narodów z którymi się dłużéj lub krócéj stykali. Np. w języku *Cyganów litewsko-polskich* dostrzec się dają ślady greckiego, rumuńskiego, węgierskiego i niemieckiego, a wreszcie litewskiego i polskiego języka. Z tego wnosi prof. Miklosich, że nim ci Cyganie przyszli do Polski i Litwy, byli już przedtém między Grekami, Rumunami, Węgrami i Niemcami. Podobne wnioski wyprowadza on o Cyganach morawsko-czeskich, rosyjskich, fińskich, skandynawskich, baskijskich, angielsko-szkockich, hiszpańskich, itp. w znakomitéj swéj pracy p. t. *Ueber die Mundarten u. die Wanderungen der Zigeuner Europa's*, mianowicie w części III. (Denkschriften der Kais. Akad. d. Wiss. Wien 1874.—philosoph. histor. Classe XXIII. 1—47).

Nic więc dziwnego, że jakkolwiek Cyganie żyją w stanie półdzikim, i nikomu nie przyjdzie dziś na myśl uczyć się języka cygań-

skiego w tym celu, co np. francuskiego lub angielskiego, to przecież uczeni zajmują się żywo ich mową, zwyczajami, obyczajami i wogóle całém ich życiem. Niewykształcony, koczowniczy naród cygański nie troszczy się o literaturę, a przecież jest od pewnego czasu przedmiotem zajęć naukowych i literackich. Do najstarszych prac literackich polskich z tego wieku, dotyczących Cyganów, należą, o ile mi wiadomo: *I. Daniłowicza*, O cyganach wiadomość historyczna, Wilno 1824 i *T. Narbutta*, Rys historyczny ludu cygańskiego, Wilno 1830. Późniéj w M. Wiszniewskiego Pomnikach historyi i literatury polskiéj II spotykamy artykuł o cyganach (str. 59—86); podobnie w dziełach Czackiego III. 285—304. (Poznań 1845) jest ciekawy zbiór wiadomości historycznych o Cyganach w Polsce. Od tego czasu spotyka się coraz częściéj prace o Cyganach, tak np. w dodatku do Gazety lwowskiéj 1851. (14, 15) znajduje się artykuł, p. t. Cyganie w królestwie polskiém, a w Przeglądzie poznańskim XIII. 412 z tego samego roku napisał H. Serwatowski „O cyganach w Galicyi." I w innych krajach oświeconéj Europy dość już dotychczas o tym ludzie koczowniczym pisano. Dość dokładną literaturę podaje *prof. Miklosich* w pracy wyż wymienionéj, która w kilkunastu dużych zeszytach zawiera zebrane i umiejętnie opracowane wszystko, czego się dotychczas o języku Cyganów dowiedziano. Uwzględnił on tam nietylko całą odnośną literaturę, lecz nadto korzystał z licznych zbiorów i materyałów rękopiśmiennych, jakie mu zewsząd nadsyłano. To téż dla badaczów dzieło to ma wartość nieocenioną.

Praca dra A. Kaliny, któréj tytuł w nagłówku przytoczyłem, jest również bardzo cennym przyczynkiem do ogólnéj gramatyki języka cygańskiego. Traktuje w niéj autor głównie o języku Cyganów słowackich, obok tego jednak znajdujemy tu i owdzie notatki o języku Cyganów polskich i serbskich. Mamy tu krótką gramatykę tego języka, w dodatku 38 krótkich piosnek cygańskich i dwa małe ustępy prozą, wszystkie z przekładem francuskim na boku, a na końcu słowniczek. Materyał miał autor obfity, jak to sam w przedmowie wyznaje, należało go więc tylko należycie opracować. I rzeczywiście,— co do zebrania, uporządkowania i przedstawienia całego materyału nie można nic autorowi zarzucić, lecz za to objaśnienia, opierające się na gramatyce porównawczéj języków indoeuropejskich, nie wytrzymają krytyki. Gdyby autor był przedstawił tylko fakta, nie wdając się w ich tłómaczenie, praca wyglądałaby daleko lepiéj. Tymczasem tłómaczenia różnych zjawisk językowych, oparte na gramatyce porównawczéj, każą nam zapomnieć, że książka ta pisana w r. 1880 a wydana w r. 1882, i przenoszą nas myślą o całe pół wieku wstecz, tj. w czasy Boppa i pierwszych pionierów umiejętnych badań lingwi-

stycznych. Nie dość to teraz zacytować tu i owdzie zdanie Boppa, Potta, itp.—nawet i powaga Schleichera w obec postępu dzisiejszych badań rzadko już gdzie wystarczy. Przy wszelkich bowiem objaśnieniach, które oni podają, potrzeba ściśle w to wglądnąć, czy nie sprzeciwiają się one późniéj odkrytym prawom głosowym, jakie są różnym językom właściwe.

Przedewszystkiém należało ściśle wyłączyć z całego materyału najpierw wyrazy obce, jakich w języku Cyganów jest mnóstwo, daléj twory analogiczne, a dopiéro w pozostałym materyale szukać pewnych praw głosowych, językowi cygańskiemu właściwych. Spotykamy tu wprawdzie gdzieniegdzie uwagi ogólne o wpływie języków obcych, a szczególniéj słowackiego, lecz te nie wystarczą. Nie miejsce tu wykazywać szczegółowo wszystkie uchybienia, jakie z powodu tego powstały; ograniczę się więc tylko na kilku przykładacb, które słuszność mego twierdzenia dostatecznie wykażą.

Wyraz *niukos* (wnuk) nie ma nic do czynienia ze „sanskr. napât, słow. netij, grec. ἀνεψιο, łac. nepot, niem. nefo“ (str. 16), lecz jest po prostu wyrazem słowiańskim *wnuk*. Podobnie wyraz *korako* (kruk) nie odpowiada wcale „greckiemu κορώνα“, (str. 17), lecz jest czysto greckim wyrazem κόραξ, -ακος.

W wyrazie *vódi* (dusza, duch) ma dźwięk *v* zastępować pierwotne *m*, które widzimy w „sanskr. mati, grec. μητι“ (str. 15), tymczasem na str. 16 u góry czytamy, że to samo *v* powstało z *g* wyrazu *gódi*, który również „duszę“ oznacza. Widoczna tu więc sprzeczność w twierdzeniach autora, gdyż z tego trudno osądzić, czy *v*, czy téż *g* ma zastępować pierwotne *m*. Gdy się jednak zważy, że prócz vodi, godi, mniéj więcéj w tym samym znaczeniu spotykamy u Cyganów serbskich, bessarabskich, greckich i włoskich *ogi*, a u węgierskich i czeskich *vod'i* (gdzie -d'i brzmi prawie jak -gi), z pewnością prawie można twierdzić, że wyraz ten przyswoili sobie Cyganie *z armeńskiego* (ormiańskiego) języka, gdzie, *vogi*, *hogi*, *ogi* to samo ma znaczenie. Potwierdza to i ta okoliczność, że wszyscy Cyganie europejscy wyraz ten posiadają, jakkolwiek nieraz w mniéj lub więcéj odmiennéj formie, która jednak da łatwo się wyjaśnić. Np. polscy. Cyganie zowią serce *odž'i*, duszę *dži* (por. słownik u Narbutta), podobnie Cyganie rosyjscy *di*, skand. *si*, angiels. *z'i*, niem. *dzi*, *z'i*, hiszp. *ocz'i*, a nawet azyatyccy *gi* (Miklos. Denkschrif. XXVI. 66). Widocznie najpierw byli Cyganie w styczności z Ormianami, i wyraz od nich przejęty w ciągu swéj wędrówki rozmaicie zmodyfikowali. W takim więc razie trudno mówić, że cygańskie *v* zastępuje pierwotne *m*, lub podobnie; bo zmiana ta byłaby właściwością języka armeńskiego, jeżeli wogóle jaki związek między armeńs. vogi, a „sanskr. mati,

greck. μητι" istnieje. Prędzéj już można mówić o takiéj zmianie dźwięku *m* w *v* w środku i na końcu wyrazów, np. *nav* (imię), gdyż to samo zjawisko spotyka się częściéj i w innych dyalektach indyjskich, np. hind. nav, kurd. nāvē, nāv (Miklos. Denkschr. XXVII. 22); lecz i tu da się porównać armeńs. an*w*an.

Wyraz *páni* (woda), wspólny prawie wszystkim Cyganom (u niektórych *pai*, *paj*), nie można zestawiać ze „sanskr. phêna, litews. pénas, słow. pěna," itd. (str. 17), gdy w sanskrycie mamy téż pānīja, a w nowszych dyalektach indyjskich, jak hind. sindh. również pānī (por. Beames, A comparative grammar of the modern aryan languages of India I. 149 nast.).

Wyraz *dugo* (długi) nie wykazuje téż żadnych zmian głosowych, językowi cygańskiemu właściwych, w stosunku do „sanskr. dîrgha, grec. δολιχός, łac. longus, gock. lagga" (str. 17), gdyż jest on u Cyganów przyswojony ze serbskiego *dug*. Podobnie wyraz *duvar* (vudar) niepotrzebnie autor zestawia z łac. „fora" itp. (str. 17), bo zmiany tu zupełnie inne. Zamiast całego tego porównania wystarczyłaby uwaga, że obok sanskr. dvâra jest już w prakrycie duāru, w staropers. duvarā, i w dzisiejszym Sindhi duvāru (Pott, Die Zigeuner in Europa u. Asien II. 78).

Zresztą wogóle wszystkie te zestawienia na str. 16—17, nie wykazują wcale owego „rapport de cette dernière (langue tzigane) avec les autres langues indo-europ.," bo są najczęściéj niestosownie dobrane. Np. cygańskiemu *devel*, sankr. djō-, łac. jov-, odpowiada prędzéj Ζευ— (*djev-) niż θεός, które ma w sanskrycie odpowiedni sobie temat div-, i ze słow. divъ, litews. dêvas również zestawione być nie może, słowiańskie bowiem *i*, i litew. ē wskazuje na pochodzenie swe z dwugłoski.

Nie stosowne téż wcale jest użycie w porównaniu wymarzonéj formy greckiéj φρητηρ, obok sanskr. bhrātar, łac. frater, słow. bratrъ gock. brôthar, itp. Forma ta bowiem możliwa jest tylko w jednym dyalekcie starogreckim, tj. w jońskim, podczas gdy wszystkie inne mają φράτηρ lub φράτωρ, co przecież nawet daleko bliższe jest innym językom indoeuropejskim. Cygańskie *phrál* wykazuje tę samą zmianę pierwotnego dźwięku *bh*, jaka była niezawodnie w najstarszym greckim języku.

Sanskryckiemu *hanu*, greck. γένος, gock. kinnus odpowiada wyraz łac. *gena*; — gen*u* zaś, które autor przytacza (str. 17), występuje w greckim jako γόνυ, w sanskr. zaś džānu. W każdym jednak razie wątpię, by cygańskie *pahuni* odpowiadało sansk. hanu; Miklosich zestawia je z grec. πώγων (Denksch. XXVII. 28).

Ciekawa, co za forma lub jakim tematem jest grec. στεγα (str. 17);—lepiéj już było przytoczyć wyraz στέγος, lub τέγος, lub téż oba razem (Gustav Meyer, Griech. Gram. §. 252); w ten bowiem sposób stosunek cygańskiego *taha* byłby widoczniejszy.

W ogóle w cytowaniu różnych wyrazów nie ma żadnéj jednostajności; raz przytacza autor według upodobania temat, drugi raz formę 1. przyp. l. p. lub téż inną jaką. Np. cygańskie *merav* (umieram) zestawia autor dla wykazania odpowiedniości dźwiękowych z „łac. morti, litews. mirti, sanskr. mrti, słow. morъ, moriti“ (str. 17), jak gdyby już w słow. formy z suffiksem -ti- nie było (sъ-mrьtь), jeżeli w ogóle ta forma z cyg. merav miała być porównaną. Przy takich cytatach potrzeba zawsze na to pilnie baczyć, by forma zacytowana zupełnie odpowiadała swemu celowi.

Jeszcze kilka uwag. Sanskryckiemu przysłówkowi *iha* odpowiada w zendzie *ida*, nie zaś *idha* (str. 38); bo pierwotne *dh*, *gh*², *bh* przechodzi w językach irańskich na *d*, *g*, *b*, podobnie jak w słow. litews. i celt. Sanskryckie pančan (pięć) wcale nic nie ma z *kankan*'em do czynienia (str. 47), jakkolwiek twierdził to Schleicher, bo z innych języków indoeur. pokazuje się, że najstarszą formą indoeur. tego wyrazu było *penk²e*; słowiańskie zaś *pętь* nie mogło powstać z *pęk-tь* (str. 47), bo według praw głosowych języka starosł. wynikłoby z tego *pęštь*, podobnie jak mamy pešti (z pek-ti, peką), dъšti (litews. dukte'), itp. Pytanie, czy tego *t* w stsłow. pę*t*ь nie należy uważać za dźwięk, zastępujący pierwotne *k²*, podobnie jak w języku greckim przed ε, ι, np. πεντε, τε (łac. que), τις (łac. quis), τέσσαρες (quattuor), itp.

Wyraz *ennja* (dziewięć) mógł powstać z nowogrec. ἐννεά (str. 48), ale w wyrazie Cyganów serbskich *inja* widzimy po części wpływ armeński, gdzie *inn* (dziewięć) powstało według Hübschmana (Kuhn, Zeitschrift für vergl. Sprf. XXIII, 33) z *invan, *envan. Z sanskr. navan, łac. novem, gock. niun, które autor przytacza, wyrazu tego bezpośrednio porównywać nie można. Prawdopodobnie bowiem, już w epoce praindoeur. istniały dwie formy: **énvm* (ἐννέα, armeńs. inn) i **névm* (sanskr. navan, łac. novem), które były do siebie w tym samym stosunku, co **onmn* (ὄνομα, armeńsk. anwan) do **nomn* (nomen, sanskr. nāman, cyg. nav).

Nie można téż mówić, że greckie εἴκοσι jest „au lieu de δϝικατι de δϝιδεκατι“ (str. 48), bo sanskr. vimçati, zend. vīsaiti, łac. vīginti doryc. i beoc. ϝίκατι wskazują, że już w praindoeur. musiało być tylko *vīkmti, które swoją drogą mogło powstać z jeszcze starszego *dvī-dekmti. Podobnież trudno mówić o sanskr. çatá (sto), że powstało z „daça daçata“ (str. 49).

Aoryst ἔσχεθον nie różni się niczém od innych podobnych aorystów, jak ἔλιπον; nie może więc być mowy na str. 62 o aoryście na—θον, lecz wogóle o słowach na—θω, których wiele przytacza Curtius (Verbum II³ 367). Nawet aoryst na—θην powstał tylko z analogii do tych słów (por. G. Meyer, Griech. Gram. § 533).

Dziwię się, że autor przy końcówkach osobowych słów (str. 69) nie wspomina o końcówkach drugorzędnych, właściwych czasom historycznym. Cygańskie bowiem zakończenia -m, -s, i t. d. łatwiéj z tymi dałyby się zestawić. Ostatecznie schodzi autor na to samo, tylko inną drogą, bo każe bez przyczyny odpadać końcowym samogłoskom i t. p. (str. 70 i nast.). Teorya o zlaniu się końcówki *-m* (z -mĭ) 1 os. l. p. z poprzedzającą samogłoską w słow. *-ą*, greckie -ω, łac. -ō i t. p. (str. 70) pewnie już bardzo szczupłą ma liczbę zwolenników, do których widocznie i Dr. Kalina należy.

Na tych uwagach poprzestanę, gdyż ciasne ramy oceny nie pozwalają mi wdawać się we wszystkie szczegóły, o których mianowicie w odmianie zaimków i słów wartoby pomówić.

Mimo to wszystko muszę jeszcze raz powtórzyć, że praca D-ra Kaliny jest już dla swego bogatego materyału nader cennym dla badaczów nabytkiem.

Jan Hanusz.

Lipsk, w czerwcu 1882.

— W połowie ubiegłego miesiąca Lipca ukazał się pierwszy numer gazety „**Kraj**,“ tygodnika polityczno-społecznego, wychodzącego w Petersburgu pod redakcyą p. Erazma Piltza. W dwóch numerach tego pisma, które już rąk naszych doszły, znajdujemy treść obfitą i dość urozmaiconą. Oprócz artykułów naczelnych, zawierających przegląd spraw wewnętrznych i polityki zagranicznéj, oprócz wiadomości urzędowych i politycznych, mamy tu korespondencye z Warszawy, Krakowa i Wiednia, nowiny z „Ziem słowiańskich,“ dwie stałe, jak się zdaje, rubryki, zatytułowane: „Sprawa rusińska w Galicyi“ i „Sprawa żydowska,“ daléj przegląd prasy, wiadomości bieżące z Petersburga i wielu miast naszych i rosyjskich, dział krytyczno-bibliograficzny, artykuły o rzeczach społecznych, jak sprawa czynszowników lub sprzedaż dóbr w „kraju południowo-zachodnim,“ jak zmiana taryfy celnéj i t. d.

Feljeton pierwszego numeru napisał p. W. Spasowicz „Zamiast programu.“ Potrąciwszy o niektóre wspomnienia, związane z Petersburgiem, tłomaczy racyą bytu nowego pisma, staje pod chorągwią zasad demokratycznych, oświadczając, że w ich przeprowadzaniu

„środki tylko moralnie godziwe, drogi tylko nie krzywe“ użyte być winny. Odcinek drugiego numeru zawiera wspomnienie pośmiertne o Krystynie Ostrowskim.

„Kraj“ uczynił nam ten zaszczyt, że rubrykę „przeglądu prasy“ rozpoczął od wycieczki polemicznéj przeciwko „Ateneum,“ z powodu zdania, jakie w zeszłym miesiącu wypowiedzieliśmy o *pozornéj tylko* analogii między położeniem naszych prowincyj, a położeniem guberni nadbaltyckich. Oponent nasz zarzuca, żeśmy „dojrzeli w tém porównaniu tylko jedną stronę, że jeżeli analogia w stosunku do Królestwa..... jest dość daleka, za to jest dość bliską w kraju Zachodnim, gdzie podobnie jak w prowincyach nadbaltyckich, własność większa i mniejsza są narodowościowo odmienne.“ Przyznajemy, że pod tym jednym, jedynym względem zachodzi pewna analogia do kraju zachodniego; ale dwubarwność etnograficzna nie wystarcza sama jedna, do utożsamienia sytuacyi politycznéj pewnych krajów. W Irlandyi np. własność ziemska jest w rękach lordów angielskich, a rolę uprawia ubogi wieśniak celtycki, a jednak Irlandya w innem znajduje się położeniu aniżeli prowincye, o których tu mowa. Po za owym jedynym względem etnograficznym, kraina nad dolną Dźwiną nie przedstawia w naszych oczach żadnego podobieństwa do ziem naniemeńskich lub naddnieprzańskich. Prowincye nadbaltyckie mają swe przywileje, dyplomami cesarskiemi zatwierdzone; mają sejmiki, mają samorząd parafialny, korporacyjny i gubernialny, mają prawo posługiwania się językiem niemieckim w sprawach urzędowych i publiczno-społecznych, mają swój własny kodeks praw; posiadają one mnóstwo szkół niemieckich, posiadają niemiecki uniwersytet w Dorpacie i niemiecki instytut politechniczny w Rydze. Reformy prawodawcze, przedsiębrane dla tych prowincyj, nie spadają im niespodzianie, owszem, obywatele dopuszczeni bywają do głosu już to drogą prasy już przez uczestnictwo w komisyach przez rząd ustanowionych. Szlachta nadbaltycka używa wpływu w sferach wysokiej administracyi, a jéj członkowie zajmują najwyższe stanowiska w służbie cywilnéj i wojskowéj. Wszystkie te okoliczności składają się razem na to, że mimo kiełkujących w pewnéj warstwie ludności aspiracyj demokratycznych, mieszkańcom narodowości niemieckiéj w prowincyach nadbaltyckich idzie przedewszystkiém o zachowanie dogodności stanu obecnego. Czy takie lub podobne dogodności istnieją w kraju zachodnim—o tém redakcya „Kraju“ wie zapewne lepiéj od nas.

Kiedy już los tak zdarzył, że nasze zapoznanie z „Krajem“ poczęło się od potyczki koleżeńskiéj, pozwolimy sobie przenieść spór na inne jeszcze pole, z powodu wzmianki o Krystynie Ostrowskim, warty-

kule naczelnym numeru 2-go. Sąd o faktach, oddzielonych od nas całym ubiegłym półwiekiem, nie może być ścisłym, jeżeli je oderwiemy od właściwego im tła i nie uwzględnimy tego organicznego związku, który zachodził między niemi a innemi zdarzeniami spółczesnemi lub bliskiemi. Fakt taki, jak gromadna emigracya, musiał mieć swoje przyczyny. Kto czytał w dzienniku praw wyroki najwyższego sądu kryminalnego i rozporządzenia administracyjne ówczesne, ten się wielu rzeczom nie będzie dziwił, ani dzisiejszym łokciem innych czasów mierzył. Nie nazwalibyśby też „ogromnym deficytem rozbitego żywota" — takiego żywota, który zostawił po sobie choćby tylko piśmienne, ale nie bez wartości, owoce. Co do „kołatania u drzwi obcych," mniemamy, że ono może być „upokarzającem" tylko ze względu na pobudki, jeśli te są poniżające, ale nigdy ze względu na „skutki," które przecież nie od nas zależą. Tradycya wspomina o policzku danym Boduenowi, ale nie uważa ona, żeby ten policzek był „upokarzającym" dla zacnego założyciela przytułku dla porzuconych niemowląt; tradycya, w której się wychował Ostrowski, mówiła: „dla ciebie zjadłe smakują trucizny, dla ciebie więzy, pęta niezelżywe." Być wiernym do grobu swojemu hasłu — to nie deficyt: buhalterya etyczna uzna to za najlepsze zamknięcie moralnego bilansu żywota jednostki ludzkiéj.

Po téj małéj sprzeczce, życzymy szczerze nowemu organowi jak największego powodzenia, nie wątpiąc, że to powodzenie wyjdzie na korzyść i społeczeństwu naszemu, uważanemu jako całość, i tym licznym gromadkom braci naszych, rozrzuconym po niezmierzonych obszarach, które północno-wschodnie strony starego lądu zaległy.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

— Koło artystyczno-literackie, wypełniając uchwałę swego walnego Zgromadzenia z dnia 10 Maja r. b., ogłasza niniejszém konkurs na napisanie dokładnego i krytycznego życiorysu Adama Mickiewicza.

Zanim dzieła i życie wielkiego wieszcza znajdą godnego siebie w literaturze biografa i krytyka, pragniemy tymczasem przygotować niejako grunt dla niego, przez krytyczne zebranie i uporządkowanie szczegółów życia Adama od kolebki aż do śmierci. Nie idzie nam zatem o wyczerpujące studium, o pomnik literacki poety, lecz o życiorys treściwy, opowiedziany przystępnie, zalecający się tak stylem poprawnym jak i czystością języka.

Autor pracy odpowiadającej tym warunkom otrzyma 500 złr. nagrody, oraz 15% od ceny *netto* każdego sprzedanego egzemplarza, co prawdopodobnie drugie tyle mu przyniesie.

„Koło“ wydaje rękopism własnym nakładem najdalej w 3 miesiące po ogłoszeniu rezultatu konkursu i zastrzega sobie jego własność na przeciąg lat pięciu. Wrazie gdyby pierwsze wydanie przed ubiegiem tego czasu wyczerpanem zostało, autor zaś pracę swoją pragnąłby powiększyć, uczyni to bez osobnego wynagrodzenia, zwłaszcza, że podwyższona wówczas cena drugiej rozszerzonej edycyi zapewni mu większa tantiemę.

Autor nagrodzony obowiązuje się w razie potrzeby uczynić zmiany lub poprawki wskazane przez komitet oceniający.

Objętość rękopismu nadesłanego na konkurs powinna wynosić 10 do 12 arkuszy druku. Ostateczny termin nadesłania prac oznaczony jest na dzień 1 Kwietnia r. 1883.

Nagrodę otrzyma autor natychmiast po jej przyznaniu, tantiema zaś po każdem półrocznem obliczeniu będzie wypłacaną.

Do Komitetu oceniającego zaprosił Wydział Koła artystyczno-literackiego pp. Władysława Ludwika Anczyca, Dra Adama Asnyka, Michała Bałuckiego, Kazimierza Bartoszewicza, Dra Adama Bełcikowskiego, Dra Piotra Chmielowskiego, Dra Ludomiła Germana, Dra Antoniego Małeckiego, Mieczysława Pawlikowskiego, X. Ignacego Polkowskiego, Dra Stanisława Smolkę i Dra Stanisława hr. Tarnowskiego.

Rękopisy wraz z kopertą zapieczętowaną, zawierającą nazwisko autora, winny być nadesłane pod adresem:

„KOŁO ARTYSTYCZNO-LITERACKIE w KRAKOWIE.“

Kraków, d. 3 Czerwca 1882.

Sekretarz: *Dr. Ludomił German* Prezes: *Juliusz Kossak.*

— „Koło artystyczno-literackie“ w Krakowie ogłasza niniejszém konkurs na wykonanie ilustracyi do ustępu z tragedyi Juliusza Słowackiego: „Balladyna,“ a mianowicie do słów:

Kirkor .... Moje smugłe lanie
Czy mnie kochacie?

(Akt I scena 3cia).

Przeznaczona na ten cel kwota 500 zlr. rozdzieloną zostanie jak następuje:

1. Autor rysunku, uznanego za najbardziéj odpowiadający myśli poety i wymaganiom artystycznym, otrzyma za ten rysunek jako też za cztery dalsze ilustracye do „Balladyny“ razem kwotę 350 zlr.— która to kwota mniéj więcéj podwoi się z tantiemy przyznanéj autorowi od sprzedanych egzemplarzy.

2. Za pozostałą kwotę 150 zlr. zakupuje „Koło“ dwa inne rysunki uznane za najlepsze po nagrodzonym, płacąc za każdy po 75 zlr.

Rysunki wysokości 40 cntm. szerokości 33 cntm. mogą być wykonane kredką, węglem lub tuszem. Tylko rysunki zupełnie wykończone uwzględnione zostaną przez komisyą oceniającą.

Ostatni termin nadesłania prac konkursowych oznaczony został na dzień 1szy Października r. b.

Autor nagrodzony otrzyma od komitetu „Koła“ tematy do dalszych czterech rysunków i zobowiąże się złożyć takowe w oznaczonym czasie i odpowiednio wykończone.

Do komisyi oceniającéj zaproszeni zostali pp. Bronisław Abramowicz, dr. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Kazimierz Bartoszewicz, Ludomir Benedyktowicz, Walery Gadomski, Juljusz Kossak i prof. Löffler.

Każdy rysunek, z dołączeniem koperty zapieczętowanéj i opatrzonéj godłem, a zawierającéj wewnątrz nazwisko i adres autora, powinien być złożony lub nadesłany na ręce komitetu Koła artystyczno-literackiego w Krakowie (Rynek, l. 16).

Kraków dnia 30 Czerwca 1882 r.

za Sekretarza: *Kazimierz Bartoszewicz.* Prezes: *Juliusz Kossak.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Lipca 1882 r.

---

1. **Biblioteka nauk matematycznych.** I. *Dr. Karol Hertz.* Kurs Geometryi zastosowany do użytku szkół męzkich i żeńskich. 1. Planimetrya. Warszawa. Lesman i Świszczowski. 1882. (str. VIII. 167)
2. *Dr. Th. Billroth.* **O pielęgnowaniu chorych w domu i w szpitalu** Przekład z 2-go wydania niemieckiego. Warszawa. 1882. Nakład „Kroniki lekarskiej" (str. XII. 281). Cena egzemplarza rsr. 1, w kartonie rsr. 1 kop. 30.
3. **Żydzi na wsi** p. *Jana Jeleńskiego.* Wydanie drugie. Warszawa. 1882.
4. **Tanie wydawnictwa czytelni Jana Jeleńskiego:** Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach? opisał *Janek Mrówka,* wydanie drugie powiększone. Cena kop. 7½. Warszawa. 1882.
5. **Krótka Gramatyka Polska.** Ułożył *Wincenty Dawid*, wydanie piąte pomnożone i poprawione. Cena kop. 40. Warszawa. 1882.
6. **Przyczynek do historyi zboru Ewangielicko-Augsburskiego Warszawskiego 1650—1781.** Napisał *Ks. Dr. Leopold Otto* pastor. Warszawa. 1881.
7. **Les oeuvres d'imagination, essai d'esthétique litteraire** par *Jules Guillemin*, professeur de littérature française à Varsovie. Varsovie. 1882.
8. **Ziemia Kujawska pod względem historycznym. jeograficznym. archeologicznym, ekonomicznym i statystycznym,** opisana przez *Maksymiliana Boruckiego.* Włocławek u Hermana Neumana. 1882. Zeszyt 1-y.
9. **Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce** przez *Juljusza Falkowskiego.* Tom. II Poznań u J. Żupańskiego. 1882. Cena marek 6.
10. **Udział Czechów w rozwoju oświaty i nauki lekarskiej w dawnej Polsce.** napisał *Dr. Hubert hr. Krasiński.* Mowa miana na zjeździe przyrodniczo-lekarskim w Pradze Czeskiej d. 27 Maja 1882 roku.
11. **Encyklopedya Wychowawcza.** Tom II. zeszyt 7-y, całego dzieła zeszyt 15-y. Od *Chemija* do *Chreptowicz.*
12. **Przed rokoszem. Studyum historyczne z czasów Zygmunta III** napisał *August Sokołowski.* Kraków. 1882. str. 227. 8-vo.
13. **Hołdy Pruskie—podług źródeł dziejowych** opisał *Cezar Biernacki.* Warszawa. Gebethner i Wolf. 1882, str. 54.
14. **Wspomnienia z podróży po Syryi Gabryela Charmes.** Przekład *A. Chlebowskiej.* Warszawa. nakład Filipa Sulimirskiego. 1882 (str. 210).
15. **Jan Kochanowski** Dzieła. Tom I-y. Warszawa u Centnerszwera.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu. przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM
Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Іюля 1882 года.